

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HARRIET ELIZABETH STOWE

CHATA WUJA TOMA

Copyright by Tower Press

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

W którym czytelnik zawiera znajomość z prawdziwie humanitarnym człowiekiem

O zmierzchu któregoś dnia zimowego, w mieście P. w stanie Kentucky dwaj dżentelmeni siedzieli przy butelce wina w dostatnio urządzonej jadalni, omawiali ważną zapewne sprawę. Nawiasem mówiąc, powyższe określenie stosuje się jedynie do jednego z tych panów, drugi bowiem był raczej przeciwieństwem dżentelmena. Niski i krępy, o grubej twarzy, nacechowanej bezczelnością i napuszoną brutalnością, sprawiał wrażenie osobnika spod ciemnej gwiazdy, gbura, przepychającego się łokciami przez życie. Ubiór jego był dostosowany do twarzy: kamizelka grała wszystkimi barwami tęczy, błękitny krawat, luźno związany, był upstrzony ciemnymi punkcikami, na grubych palcach skrzyły się liczne pierścienie, a ze złotego łańcucha zwisały mnogie grona breloków, które potraçał nieustannie, z upodobaniem przysłuchując się dźwiękom. Mowa jego była brutalna, naszpikowana usterkami i gminnymi, czasem ordynarnymi wyrażeniami.

Natomiast drugi pan, mr. Shelby był dżentelmenem w każdym calu. Dom ten należał do niego i świadczył o dobrym smaku i luksusowych przyzwyczajeniach gospodarza.

– Zapewniam pana, że Tom jest wyjątkowym człowiekiem – mówił gospodarz – i wszędzie dano by mi za niego tę cenę. Jest niezwykle zdolny i uczciwy. Prowadzi moje gospodarstwo wzorowo i regularnie jak mechanizm zegarowy.

– Uczciwy? O ile Murzyn może być uczciwy? – odparł szyderczo mr. Halley i dołał sobie wina do szklanki.

– O nie, powiadam panu, że niebywale uczciwy i religijny. Jego pobożność wzmogła się szczególnie pod wpływem misji wędrownej, która odwiedziła nasz kraj cztery lata temu. Ufam mu bezgranicznie i nieraz powierzałem mu odpowiedzialne i pieniężne zlecenia. Nigdy nie zawiódł zaufania.

– Niektórzy ludzie nie chcą wierzyć, aby Murzyn mógł być naprawdę szczerym chrześcijaninem – odezwał się Halley – a ja w to wierzę. Niedawno nawet nabyłem taką gratkę za psie pieniądze, bo wytargowałem ją u jegomościa, który miał nóż na gardle i płótno w kieszeni. No i zarobiłem na czysto sześćset dolarów. Dobry był numer – a juźci. Na ogół religia jest dobrą rzeczą u Murzyna. Sęk w tym, że rzadko się spotyka prawdziwą religię! Przeważnie grają komedię.

– A ja panu powiadam, że Tom nie udaje. Niedawno wysłałem go do Cincinnati po pięćset dolarów. Po drodze kuszono go: „Uciekaj Tomie do Kanady!” – „Nie” – odpowiedział – „Nie mogę tego zrobić, gospodarz ma do mnie zaufanie”. Przykro mi się z nim rozstać... Ale do rzeczy. Dam panu Toma i basta. Jeśli ma pan odrobinę sumienia, to zadowolony się pan Tomem.

– Ja, mr. Shelby, sumienia mam akurat tyle, ile powinien mieć kupiec! A w ogóle z dobrym człowiekiem jestem skłonny do ustępstw, ale cóż robić, czasy nastały takie ciężkie!... Słowo daję okropne czasy!

Westchnął ciężko i znowu napełnił szklankę.

– No, niechże pan powie ostatnie słowo, Halley! – odezwał się Shelby po krótkim milczeniu.

– Czy nie ma pan no, bodaj jakiegoś chłopca lub dziewczynki na dobitkę?

– To znaczy... widzi pan, nie mógłbym się nikogo teraz pozbyć. Prawdę mówiąc, zdecydowałem się sprzedać któregoś z niewolników tylko dlatego, że mnie warunki materialne zmuszają. Nie lubię rozstawać się z niewolnikami. Tak jest, mój panie.

W tej chwili drzwi otworzyły się cicho, i na progu stanął ciemny chłopczyk cztero- lub pięcioletni. Był wyjątkowo ładny. Czarne, połyskujące jak jedwab, miękkie włosy, rozkosznymi kędziorkami okalały przepiękny owal dziecięcej, smagłej twarzy. Spod gęstych i długich rzęs spoglądały błyszczące, czarne jak agat, łagodne i wesołe oczy. Nosił ubranko z żółtego i paśowego aksamitu; w kolorze tym było mu bardzo do twarzy. W ruchach jego była jakaś komiczna, dziecięca pewność siebie, właściwa wszystkim pieszczołom.

– A! Harry! Proszę bardzo! – zawołał mr. Shelby – Chwytaj!

Podrzucił do góry szypułkę winogron. Chłopczyk podskoczył i zręcznie złapał owoc.

Gospodarz roześmiał się. Przywołał chłopca i pogłaskał go po głowie.

– A teraz, pokażesz temu panu, że umiesz tańczyć i śpiewać.

Chłopczyk zaśpiewał dziką i dziwną pieśń murzyńską, uzupełniając melodię komicznymi ruchami nóg, rąk i całego ciała, znakomicie dostosowanymi do jej rytmu.

– Chwacki chłopak! – zawołał mr. Halley, rzucając mu kawałek pomarańczy.

– A teraz Harry pokaże, jak chodzi dziad Cujoy, kiedy dokucza mu reumatyzm – rzekł mr. Shelby.

W tej chwili figura chłopczyka zmieniła się nie do poznania: z garbem na plecach, opierając się na lasce, Harry pokuśtykał po pokoju, zataczając się i potykając o różne przedmioty.

Obaj mężczyźni parsknęli niepohamowanym śmiechem.

– Hurra! Brawo! Co za szelma! – krzyknął mr. Halley. – No interes ubity!

Podniósł się i położył dłoń na ramieniu mr. Shelby.

– Biorę tego chłopca i sprawa załatwiona!

W tej chwili drzwi otworzyły się cicho i do pokoju zajrzała młoda, może dwudziestopięcioletnia niewolnica. Z pierwszego wejrzenia można było przyjąć ją za matkę małego Harry'ego. Miała takie same połyskujące włosy, takie same oczy i rzęsy. Zarumieniła się gwałtownie, czując na sobie cyniczne spojrzenie mr. Halley'a. Była bardzo zgrabna. Jej subtelne ręce i piękne nogi nadawały jej szczególną wytworność.

– Przepraszam – rzekła z zakłopotaniem – Przyszłam po Harry'ego.

– Jeśli chcesz, zabierz go ze sobą – odpowiedział mr. Shelby.

Skorzystała z pozwolenia skwapliwie. Wzięła chłopca na ręce i szybko wyszła z pokoju.

– Towar, paluszki lizać! – zawołał Halley – Przysięgam na Jowisza, to istny skarb! Z taką dziewczyną może pan wzbogacić się w Nowym Orleanie! Widziałem, jak płacono tysiące za gorsze okazy.

– Nie zamierzam bogacić się w ten sposób – odpowiedział sucho mr. Shelby. I aby zmienić temat, odkorkował nową butelkę, nalał mr. Halley'owi i zapytał go, jak mu smakuje wino.

– Pierwsza klasa! – zawołał mr. Halley, klepiąc swego rozmówcę po ramieniu, i dodał obcesowo: – No, niech pan powie, ile pan żąda za tę dziewczynę?

– Nie jest do sprzedania, mr. Halley. Moja żona nie może się bez niej obejść. Nie sprzedałbym jej na wagę złota.

– Kobiety nie umieją rachować. Niech no pan pokaże im, ile można kupić brylantów, piór i złotych zegarków za złoto wagi najdroższego im człowieka, a zobaczy pan, inaczej zaśpiewają!... Jestem gotów założyć się! Naprawdę!

– Nie, Halley! Nie warto o tym mówić. Skoro powiedziałem, że nie, to rzecz skończona!

– W takim razie niech mi pan da chłopca. Zdaje się, że na to zasłużyłem?

– Ale na co panu chłopiec? Co pan z nim pocznie?

– Mam przyjaciela, który się tym zajmuje. Jego specjalność to ładni chłopcy. Wie pan, to towar dla amatorów. Poszukiwany w bogatych domach. Pański diabełek będzie się bardzo nadawał.

– Nie chciałbym go sprzedać! – odpowiedział w zamyśleniu gospodarz. – Widzi pan jestem człowiekiem humanitarnym. Nie lubię odrywać dzieci od matek.

– Rozumie się, rozumie się! Nawet bardzo, że tak powiem, zrozumiale!... Te baby od razu w bek, lament, krzyki, spazmy!... Myśli pan, że sprawia to komu przyjemność? Trzeba się do tego zabierać umiejętnie, że tak powiem... Ot wysła pan matkę na tydzień – co? – i wszystko pójdzie jak z płatka. Zanim wróci, już po harapie! A potem małżonka szanownego pana podaruje jej jakieś kolczyki albo różne drobiazgi, no i uspokoi się baba.

– Mój Boże! Co też pan mówi, mr. Halley.

– Co tam, to nie są nasze białe kobiety! Wszystko zależy od tego, jak się do nich zabrać! Powiadają na przykład, że od handlu niewolnikami serce czerstwieje. Wcale tego nie uważam! Chodzi o to, że ja nie postępuję tak jak inni. Widziałem takich, co to odrywali dzieci od matek przemocą i z miejsca sprzedawali. Matka krzyczy, płacze, rozpacza... I co w tym dobrego? Podły system, powiadam panu! To tylko psuje towar! Widziałem w Nowym Orleanie dziewczuchę – można śmiało powiedzieć – piękna! No i co? Zmarnowali ją, właśnie wskutek tego systemu. Idiota, który ją kupił, chcąc pozbyć się jej dziecka, oderwał je siłą... Popatrzałby pan na nią... Rozwścieczona jak prawdziwa biała matka. Miota się, krzyczy, huczy, przeklina – aż strach było patrzeć... Jednak dziecko zabrali. A ona wzięła i zwariowała, i po tygodniu wyciągnęła kopytka!... Kto stracił? Właściciel. A dlaczego? Dlatego, że nie był ostrożny! Nie ma o czym mówić! Zawsze lepiej być ludzkim, humanitarnym. Przekonałem się z własnego, że tak powiem, doświadczenia!

Po krótkiej przerwie, rozsiadłszy się w fotelu i skrzyżowawszy ręce, pełen zadowolenia z siebie i zarazem udanej skromności, ciągnął dalej:

– Rozumie się, nie należy siebie samego chwalić, ale mówię dlatego, że to święta prawda, że tak powiem... Zdaje się, powszechnie wiadomo, że nikt nie ma tak wspaniałych partii Murzynów, jak, ja... Wszyscy moi niewolnicy są dobrze utuczeni i zdrowi i umiera ich znacznie mniej, niż u innych. A cały mój sekret polega na tym, że ja z nimi obchodzę się po ludzku. Tak, muszę powiedzieć, że humanitarność jest podstawą mego interesu!

Mr. Shelby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Naturalnie! – mruknął niepewnie, przerażony bezczelnością handlarza.

– Trzeba panu wiedzieć, że kpiono ze mnie za to... Takie poglądy nie są w modzie, ale ja, mój panie, dam sobie za nie głowę odrąbać! Wszak im to zawdzięczam majątek! No tak! Mogę powiedzieć, że moje myśli dobrze mi zapłaciły za wyprodukowanie.

Halley roześmiał się, uważając koncept za nader dowcipny.

W zapewnieniach tego człowieka było tyle bezczelności i osobliwego nonsensu, że mr. Shelby nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– To dziwne – kontynuował gość, zachęcony śmiechem gospodarza. – Nie mogłem przekonać swoich kolegów. Miałem takiego jednego, pracowałem z nim do spółki. Zręczny był facet? Tylko względem Murzynów istny diabeł! Uważał, że tak powinno być, bo poza tym nie znałem lepszego nad Toma Lokera człowieka.

Powiadam czasem: „I po co tłuc murzynki po łbie, kiedy płaczą i tęsknią? Co ci z tego przyjdzie? Jaki pożytek? Niech sobie wyją, ani cię to ziębi, ani grzeje. Taka już ich natura! Walisz je, a one brzydą i chorują, i tracą na wartości! Wierzaj mi, że ludzkie traktowanie, że tak powiem, bardziej popłaca! Jemu na głowie kołki ciosaj – nie pomoże! Napsuł mi pięściami tyle towaru, że zerwałem z nim, chociaż kuta była bestia na wszystkie nogi i serce miał złote.

– I uważa pan naprawdę, że pański system jest lepszy?

– O panie! Trzeba tylko dobrze wytresować Murzyna, a wówczas to można z nimi robić, co się żywnie spodoba.

– W takim razie przypuszczam, że moi Murzyni są źle wytresowani.

– Możliwe. Wy tu, w Kentucky rozpieszczacie Murzynów, a to im tylko na szkodę wychodzi. Weźmy takiego, na przykład, negra. Pan Bóg po to nieboraka stworzył, aby przechodził z rąk do rąk, aby dziś można go było splawić Tomowi, jutro Dickowi, a pojutrze – lichu wie komu. I nie należy w nich wpajać przeróżnych tam fantazji, nadziei, bo to tylko pogarsza ich sytuację. Dlatego też powiadam, że lepiej wyszliby na tym pańscy Murzyni, gdyby pan traktował ich tak, jak na innych plantacjach...

W milczeniu obaj wyłuskiwali orzechy. Wreszcie odezwał się Halley.

– No i co pan postanowił?

– Poradzę się żony. Niech pan przyjdzie między szóstą a siódmą.

Handlarz niewolników pożegnał się i wyszedł.

– I ja nie mogę spuścić tego łotra ze wszystkich schodów! – z głuchą rozpaczą myślał mr. Shelby – gdyby mi dawniej powiedziano, że będę zmuszony sprzedać Toma jednemu z tych przeklętych handlarzy niewolników, odpowiedziałbym: czy jestem gorszy od psa?! A jednak to konieczne! Tak, konieczne! A synek Elizy? I ile przykrości doznam od żony!... O, te długi!

W stanie Kentucky sytuacja niewolników była o wiele lepsza niż gdzie indziej. Spokojne, regularne gospodarstwo rolne nie wymagało tej gorączki pracy, która była konieczna w stanach południowych. Gospodarze zadowalali się skromniejszym dochodem i nie zapominali całkowicie o interesach swych bliźnich.

Na widok różnych scen, objawiających rozczulającą wierność niewolników, oddanych swym panom całą duszą, liczni podróżnicy poddawali się urokom wskrzeszonych legend czasów patriarchalnych. Niestety, nad wzruszającymi scenami poszczególnych sielanek unosił się upiór groźnego prawa. Póki prawo uważało Murzynów za rzecz, będącą nieograniczoną własnością pana, póki ruina, nieostrożność białego gospodarza mogła zmusić niewolników do przejścia od spokojnego i względnie szczęśliwego życia pod opieką humanitarnego właściciela do życia pełnego udręki, nieludzkiego mozołu i ostatecznej rozpacz – póty hańba straszliwa plamiła sumienie ludzkości.

Mr. Shelby był dobrym i troskliwym gospodarzem. Ale wskutek nieudanych spekulacji finansowych zabrnął w długi. Weksle jego znalazły się w rękach mr. Halley'a, który pragnął z tego ciągnąć jak największe korzyści.

Eliza, podchodząc do drzwi, usłyszała, jak mówiono o sprzedaży Murzynów. Chciała postać chwilę i podsłuchać, ale w tej chwili zawołała ją gospodyni. W każdym razie zdawało się jej, że napomykano o jej synu. W przerażeniu przytuliła chłopca do piersi i pobiegła do pani Shelby.

– Elizo, co się z tobą dzieje? – zapytała mrs. Shelby, zdziwiona wyjątkową niezręcznością i roztargnieniem niewolnicy.

– O, wielmożna pani! W jadalni pan rozmawiał z kupcem... Czy pan zgodzi się sprzedać mego Harry'ego?

– Ależ nie, Elizo! Co za głupstwa! Wiesz, że pan nie sprzedaje niewolników, jeśli jest z nich zadowolony. Zresztą komu potrzebny twój Harry?... Przestań płakać i ubierz mnie. Czy ja bym pozwoliła! Jesteś naprawdę przesadna, gdy chodzi o twego synka. Ktokolwiek do nas przychodzi, od razu myślisz, że przyszedł zabrać Harry'ego.

Słowa mrs. Shelby uspokoiły Elizę. Miała bezgraniczne zaufanie do swej pani, która słusznie słynęła z rozumu, podniosłych zasad, wrodzonej szlachetności i religijności. Pani Shelby w istocie nie okłamywała jej. Wierząc w dobroć męża i nie znając jego kłopotów finansowych, nie posądzała go o haniebne zamiary sprzedania niewolników.

ROZDZIAŁ II

Matka

Elizę wychowywała sama pani Shelby. Dlatego uchodziła w tym domu za pupilkę. Jak większość mulatek miała czarujący wdzięk, grację ruchów i miękki, pieszczotliwy głos; naprawdę oślepiającą urodę łączyła z zaletami pięknego i szlachetnego charakteru. Wychowana starannie w dobrych zasadach, uniknęła licznych demoralizujących pokus, które gubią większość ładnych niewolnic.

Mąż jej – Jerzy Harris – był pięknym silnym i bardzo pracowitym niewolnikiem. Przez jakiś czas pracował w fabryce worków, gdzie wkrótce zajął przodujące stanowisko. Wynałazł nawet maszynę do trzepania konopi. Niebywale zdolny, zjednał sobie ludzi wdziękiem swych manier, osobliwym urokiem nieprzeciętnej osobowości. A jednak był rzeczą, tylko rzeczą swego srogiego właściciela, który nie omieszkał skorzystać z praw własności. Zwiedziwszy pewnego razu fabrykę, w której Jerzy pracował, obejrzawszy jego wynalazek, pod wpływem jakiejś tępej zazdrości odebrał go z fabryki, mimo gorących próśb i namów dyrektora, i zmusił do ciężkich robót polnych. Sam Jerzy nie miał nic do powiedzenia, musiał słuchać, zaciskając zęby i poskramiając swój gniew i rozpacz.

Elizę poślubił jeszcze za szczęśliwych czasów pracy w fabryce. Przez dwa pierwsze lata widywali się bardzo często i nic nie zakłócało ich szczęścia, prócz śmierci dwóch niemowląt, które zmarły wkrótce po urodzeniu. Dopiero okrutny kaprys właściciela, za jednym zamachem zniweczył ich szczęście i nadzieje na lepszą przyszłość.

Jerzy nie widział przed sobą nic prócz ciężkiego trudu, okrutnych zniewag i nędzy. Gospodarz i jego synalek bili go, znęcali się nad nim i szukali sposobów coraz okrutniejszych pogłębienia jego niedoli. Nienawidząc rodziny Shelby, właściciel Jerzego krzywym okiem spoglądał na jego małżeństwo z Elizą i wreszcie postanowił go ożenić z własną niewolnicą. Wprawdzie małżeństwo z Elizą było uświęcone przez Kościół, ale wszak Murzyn jest tylko rzeczą, której nie dotyczą sakramenty białych. Powściągając swój gniew do czasu, Jerzy postanowił w najbliższym czasie uciec do Kanady i zwierzył się ze swego planu Elizie. Upatrywał ratunek jedynie w ucieczce do kraju, gdzie nie ma niewolnictwa.

ROZDZIAŁ III

Wieczór w chacie wuja Toma

Chata wuja Toma była niewielką z desek skleconą przybudówką do domu właściciela. Do chatki przylegała działka ogrodu, bardzo starannie utrzymywana. Wzdłuż fasady wiły się pędy ogromnej pąsowej begonii i pełzającej róży, przykrywające gęstym listowiem nieociosane deski przybudówki.

Następuje wieczór. W „domu” jest już po kolacji, więc ciotka Chloe, pierwsza kucharka na folwarku, spieszy do chatki, aby przyrządzić wieczerzę, własnemu mężowi. Twarz ciotki Chloe jest czarna, błyszcząca, jak pierogi jej kucharskiego kunsztu, i z bezgraniczną dobroduszością wygląda spod zalotnego turbanu.

Kucharka była z niej znakomita, oddana swej pracy całą duszą i całym sercem. Nie było gąski, ani indyczki, która by nie zadrżała na jej widok od łap do czubka, w przeczuciu bezsławnej i przedwczesnej śmierci. Na próżno inni adeptci sztuki kulinarnej głowili się nad sekretem nieskończenie urozmaiconych pierogów – arcydzieła jej kunsztu. Brała się do pracy z istnym natchnieniem zwłaszcza, gdy trzeba było wydać proszony obiad. Czyniła to z wielką satysfakcją i z wewnętrznym zadowoleniem, i zawsze cieszyła się szczerze na widok gości.

Szeroka izba była urządzona bardzo skromnie.

W jednym kącie stało łóżko, przykryte śnieżno białą pościelą, obok na podłodze leżał dywanik. To uświęcony zakątek ciotki Chloe i nikt nie śmiał tu wtargnąć bez jej pozwolenia.

W drugim kącie – drugie mniej paradne łóżko. Na ścianach obrazy, ilustrujące historię świętą, i portret generała Washingtona.

Na skleconej z desek ławce siedzą dwaj chłopcy, o czarnych puciołowatych twarzach, kędzierzawych włosach i płomiennych oczach. Z uwagą przyglądają się pierwszym nieudanym próbom chodzenia, niespełna rocznego niemowlęcia.

Na wprost kuchenki stoi stary, kulawy stół, przy którym siedzi wuj Tom, prawa ręka mrs. Shelby – Murzyn herkulesowej budowy, o wysokim i szerokim torsie, kulistej głowie i spokojnym, poważnym obliczu rasowego Afrykanina. Uderza w nim jakiś swoisty stop godności osobistej z pokorną i wzruszającą prostotą.

Uważnie spogląda na tablicę, na której kreśli ogromne litery pod dyktando trzynastoletniego syna dziedzica, Jerzego.

– Nie tak, wuju Tomie – poprawia Jerzy – U ciebie wychodzi nie „b”, lecz „w”.

– Istotnie? – pyta wuj Tom, z bezgranicznym szacunkiem patrząc na chłopca.

– Jak to biali wszystko robią łatwo! – odezwała się ciotka Chloe z dumą zerkając na Jerzego. – Serce się raduje, gdy młody panicz przychodzi wieczorami uczyć nas mądrości.

– Ale teraz jestem strasznie głodny, cioteczko Chloe – odpowiedział chłopiec – Czy placuszki prędko będą gotowe?

Chloe już po chwili rzuciła na talerzyk wspianiały, zarumieniony i pachnący placek i nałaza do talerza doskonałej zupy.

Po kolacji ciotka Chloe nakarmiła dzieci, umyła najmłodszą dziewczynkę, posadziła ją na kolanach ojca i zaczęła sprzątać ze stołu. Chłopcy zaś biegali wkoło Toma i Jerzego, wydając ogłupiające, dzikie okrzyki. Swawolili nie zwracając uwagi na groźby matki, póki nie ogarnęło ich zmęczenie. Wówczas ciotka Chloe rozstawiła składane łóżko i zawołała:

– Piotr, Mojżesz do łóżka! Dziś odbędzie się u nas zebranie.

– Mamo, nie chce się nam spać. Pozwól i nam słuchać. To takie wesołe!

– Złóż łóżko z powrotem – wstawił się Jerzy – i pozwól im posłuchać, o czym rozprawiają starsi.

– No, niech i tak będzie – zgodziła się Murzynka.

– Na czym oni będą siedzieć? – narzekała ciotka Chloe, sprząając izbę. – Od iluż to lat odbywają się każdej niedzieli mityngi u wuja Toma, a nigdy nie ma na czym siedzieć.

Czyniąc zadość zafrasowanej gospodyni wtoczono do pokoju dwie beczułki, napełniono je kamieniami i nakryto deszczułkami. Przewrócono również do góry dnem kilka kadzi, parę dużych drewnianych wiader i naprawiono niepewne stołki.

Niebawem chata wuja Toma zapełniła się gromadką ludzi różnego wieku, poczynając od siwego osiemdziesięcioletniego starca i kończąc na wyrostkach. Z początku gwarzono o tym i owym. Następnie zaczęły się śpiewy. Intonowano może gęgliwie, ale z prawdziwym uczuciem, psalmy o brzegach Jordanu, o ziemi Chanańskiej i o Nowem Jeruzalem. Niektórzy nawet śmieli się i płakali ze wzruszenia, jak gdyby już widzieli przed sobą Ziemię Obiecaną. Następnie Jerzy Shelby odczytał dwa rozdziały Pisma Świętego. Wychowany w duchu religijnym, teraz zaś zachęcony uwagą słuchaczy komentował święte teksty, a czynił to

z taką wymową i tak rozumnie, że zyskał pochwały młodych i błogosławieństwa starszych słuchaczy.

Lecz za prawdziwy autorytet w sprawach religijnych uchodził wuj Tom. Wyróżniał się między rodakami przyrodzoną moralnością i niepospolitym, jasnym i tęgim umysłem. To też w tym gronie uchodził niejako za kapłana, za najlepszego nawet z kapłanów.

Tym razem modlił się tak żarliwie i przemawiał tak namiętnie i wymownie, że słuchacze płakali z zachwytu i wzruszenia.

Tymczasem w „domu” mr. Shleby i mr. Halley przeglądali uważnie jakieś dokumenty.

– Wszystko w porządku – orzekł w końcu handlarz niewolników – brak tylko pańskiego podpisu.

Mister Shelby podpisał ze skwapliwością człowieka, który chce czym prędzej pozbyć się niemilej sprawy.

– Interes ubity! – wołał mr. Halley chowając dokumenty do teczki i podnosząc się ociężale.

– Tak, interes ubity – powtórzył w zamyśleniu gospodarz i pożegnawszy mr. Halley’a, zaciągnął się mocnym cygarem.

ROZDZIAŁ IV

Podsluchana rozmowa

– Arturze – zapytała mrs. Shelby swego męża – któż to był u ciebie?

– Niejaki Halley – odpowiedział z zakłopotaniem mr. Shelby.

– Czy handlarz niewolników?

– Dlaczego tak sądzisz, Emilio? – zapytał mr. Shelby, niespokojnie spoglądając na żonę.

– Mówiła mi Eliza. Przyszła do mnie zrozpaczona i twierdziła, że siedzi u ciebie handlarz niewolników i chce kupić jej chłopca. Powiedziałam jej, że chyba oszalała.

– Tak, Emilio – odezwał się po chwili mr. Shelby, gdyż postanowił od razu wyjaśnić męczącą sytuację. – Nigdy bym dotychczas nie przypuszczał. Ale jestem w tak okropnym położeniu, że nie mam innego wyjścia i muszę sprzedać któregoś z naszych ludzi.

– Sprzedać?... I temu osobnikowi?... To niemożliwe!...

– Niestety, tak, sprawa już załatwiona... Sprzedałem Toma...

– Toma? Tego dobrego i oddanego całą duszą człowieka, który służy u nas od dzieciństwa?... Ale wszak przyrzekłeś go wyzwolić... O Boże wielki! Teraz mogę uwierzyć we wszystko, w to nawet... że potrafisz sprzedać małego Harry’ego, jedyną pociechę jego matki, mojej biednej Elizy!

– Masz słuszość – odpowiedział z mimowolną goryczą mr. Shelby – sprzedałem również Harry’ego... Zresztą cóż dziwnego? Wszyscy dookoła codziennie niemal sprzedają i kupują niewolników i nikt nie patrzy na nich jak na potworów moralnych – jak ty teraz na mnie.

– O, Boże, nie chodzi o sam fakt sprzedaży, ale o tych, których sprzedałeś. Czy nie mogłeś wybrać innych?

– Nie mogłem. Za nich płacono mi najwięcej... Owszem, za Elizę chcieli mi dać tyle, ile za Toma i Harry’ego razem. Ale znając twoje przywiązanie do tej dziewczyny, odmówiłem. Przeto proszę cię, abyś mnie nie sądziła zbyt surowo.

– Wybacz, mój przyjacielu. Jestem tak oszołomiona i zmartwiona, że sama nie wiem, co mówię. Ale czy nie można inaczej poradzić? Ja osobiście gotowa jestem wyrzec się wielu rzeczy. Nie, to chyba niemożliwe! Oderwać Toma od tego wszystkiego, cośmy go sami

nauczyli czcić i kochać! Pozbawić Elizę dziecka i skazać ją na przedwczesną śmierć z rozpacz?

– Ach Emilio, wierz mi, ja sam cierpię głęboko, ale nie mogłem inaczej postąpić. Nie wtajemniczałem cię dotychczas w nasz stan majątkowy. Muszę ci wyznać, że groziła nam zupełna ruina, że gdybym nie sprzedał Toma i chłopaka, musiałbym sprzedać dom i całe gospodarstwo. Halley miał moje weksle i mógł mi dyktować warunki. Spieniężyłem wszystko, co mogłem, zadłużyłem się nawet, ale i tego było mało.

Mrs. Shelby nie odpowiadała. Ukryła twarz w dłoniach i cicho jęczała.

– Przekłęte niewolnictwo! – rzekła wreszcie. – A ja, naiwna, wyobrażałam sobie, że można to zło przemienić w dobro.

– Emilio, zdaje się, że stajesz się abolicjonistką¹.

– Abolicjonistką? O gdyby wszyscy abolicjoniści tak znali niewolnictwo jak ja, to inaczej by jeszcze mówili! Jaka szkoda, że nie mam innych klejnotów, prócz tego złotego zegarka. Gdybym mogła ocalić małego Harry'ego, oddałabym wszystko, co posiadam.

– Niestety, nic już się nie da naprawić. Jutro rano Halley przyjedzie po swą własność. Ja wyjadę wcześniej... nie będę mógł patrzeć na uprowadzenie Toma... Radzę ci wyjechać również z samego rana z Elizą do sąsiadów. Lepiej będzie, jeśli nie zobaczy.

– O, nie, nigdy w życiu! – zawołała mrs. Shelby – Nie porzucę biednego starego Toma. A Eliza? Co się z nią stanie! Za jakie grzechy spotyka nas tak ciężka kara!

W sąsiednim pokoju stała Eliza i podsłuchiwała. Przeczuciwała prawdopodobnie, że o niej toczy się rozmowa.

Kiedy mrs. Shelby umilkła, Eliza, blada, drżąca, po cichu wycofała się z pokoju i wróciła do siebie. Na łóżku leżał Harry i uśmiechał się błogo przez sen.

– Biedne dziecko moje! – szepnęła matka – sprzedano cię! Ale nie bój się, mój miły chłopczyku, uratuję cię!

Na arkusiku papieru szybko nakreśliła kilka zdań:

„Droga pani! Niech mnie pani nie uważa za niewdzięczną. Słyszałam pani rozmowę z panem. Muszę uratować swe dziecko; nie bierzcie mi tego za złe. Niech panią Bóg wynagrodzi za dobre serce”.

Napisała adres, po czym związała w węzełek bieliznę i ubranie syna. Ubrała się prędko i obudziła chłopczyka.

– Cicho, Harry – rzekła – zły człowiek chce przyjść i zabrać mego małego Harry'ego. Ale ja nie pozwolę, aby cię zabrano; i wolę sama z tobą odejść, uciec od złego człowieka.

Otuliwszy się chustą, wzięła go na ręce i cichaczem przez werandę wyszła z domu.

Noc była świeża, jasna i gwieździsta. Eliza zatrzymała się przed chatą wuja Toma i lekko stuknęła do okna.

– Kto tam? – rozległ się głos Chloe, która po chwili uchyliła zasłony. – Ach, mój Boże, to Eliza! Tom, wstawaj prędko! Eliza przyszła.

Tom zerwał się z łóżka i zapalił świecę, która oświetliła blade i znękaną oblicze Elizy.

– Uciekam – z trudem chwytając dech, szepnęła Eliza. – Nasz pan sprzedał moje dziecko!

– Sprzedał! – zawołali z przerażeniem małżonkowie.

– Tak – odpowiedziała Eliza – Słyszałam jak pan mówił do pani, że sprzedał mego synka, a także ciebie, wuju Tomie... sprzedał handlarzowi, który jutro rano po was przyjedzie...

Murzyn z ciężkim jękiem osunął się na stołek i spuścił głowę na piersi.

– Boże, ratuj nas nieszczęsnych! – krzyknęła ciotka Chloe. – Nie mogę uwierzyć! Cóż złego uczynił Tom, że pan sprzedał go handlarzowi?

– Nic złego – odparła Eliza. – Pan nie chciał go sprzedać, a pani, powiadam wam, to istny anioł... Błagała, wstawiała się za nami, ale pan powiedział, że to było konieczne, bo inaczej handlarz zabrałby mu cały dom i gospodarstwo. Nie powinnam uciekać, ale muszę.

¹ Abolicjonizm – ruch polityczny w Stanach Zjednoczonych Ameryki, który dążył do zniesienia niewolnictwa.

– Tomie, a ty dlaczego nie uciekniesz? – zwróciła się ciotka Chloe do męża. – Uciekaj z Elizą, póki czas. Idź prędzej, zbieraj się. Dam ci coś na drogę i idź z Bogiem!

Tom podniósł głowę, rozejrzył się wkoło, po czym rzekł ze smutkiem ale stanowczo:

– Nie, nie ucieknę. Niech ucieka Eliza. To nawet jej powinność, jeśli chce ustrzec dziecko od zagłady. Ale słyszałaś, co mówiła. Jeśli ja ucieknę, to handlarz wyzuje mego pana z całego majątku. Nie, nie wystawię mego pana na zgubę. Jest niewinny i nie zasługuje na wymówki. Jestem przekonany, że nie zapomni o tobie i o naszych dzieciach.

Odwrócił się, spojrzął na czarne kędzierzawe główki; oparł się o grzbiet krzesła i ukrył twarz w dłoniach. Głuche łkanie wstrząsnęło jego potężnym ciałem i łzy przez palce stoczyły się na podłogę.

– Widziałam się dziś wieczorem z mężem – rzekła Eliza. – Powiedział mi, że nie zniesie już niewoli, i że wkrótce ucieknie. Zawiadomicie go o mnie... Powiedzcie, że postaram się dotrzeć do Kanady. Że kocham go całym sercem i że, jeśli nie przeznaczono nam się widzieć, to...

Przez kilka chwil walczyła ze łzami. Opanowała się wreszcie i dodała:

– Powiedzcie mu, aby nie grzeszył, abyśmy mogli bodaj po śmierci spotkać się w Królestwie Bożym...

Jeszcze kilka słów i łez, błogosławieństw i westchnień, i oto młoda mulatka, tuląc do siebie zdziwionego chłopczyka, bez szmeru wysunęła się z chaty Toma.

ROZDZIAŁ V

Nieoczekiwane odkrycie

Małżonkowie Shelby, trapieni niepokojem i zmartwieniami, długo nie mogli zasnąć. Nazajutrz obudzili się później niż zwykle.

– Cóż to nie widać Elizy? – odezwała się mrs. Shelby, dzwoniąc bez skutku na służącą.

Po chwili wszedł młody murzyn z gorącą wodą do golenia dla mr. Shelby.

– Endy – rzekła dziedziczka – zawołaj Elizę. Dzwoniłam może z dziesięć razy, ale ona prawdopodobnie nie słyszała.

Murzyn wrócił wkrótce, błyszcząc wybałuszonymi oczyma.

– Pokój Elizy jest pusty – wykrztusił ze zdumieniem – komoda i szafa otwarte, wszystkie rzeczy rozrzucone. Zdaje się, że Eliza uciekła...

Państwo Shelby od razu domyślili się prawdy.

– Widocznie przeczuła coś! – zawołała pani Shelby. – Dzięki Bogu! Mam nadzieję, że uszła daleko.

– Być może – wymamrotał mr. Shelby – Ale ja jestem w przykrew sytuacji. Halley wie, że z niechęcią odstępuję chłopczyka. Teraz pomyśli, że byłem w zмовie z Elizą, i oszukałem go po prostu... Jest to sprawa mego honoru, dlatego muszę za wszelką cenę odszukać uciekinierkę.

Po chwili w domu powstał gorączkowy ruch; niewolników ogarnęła prawdziwa panika. Biegali, krzatali się, czynili sobie szeptem zwierzenia. Cała gromada chłopców wybiegła na drogę, pragnąc podzielić się niespodzianką z niefortunnym handlarzem. Ledwo się ukazał, wtajemniczyli go w zajście. Skutek nie zawiódł ich. Halley jął miotać najbardziej wyszukane przekleństwa ku wielkiej radości czarnej zgrai.

– Czy to prawda, mr. Shelby – zagadnął obcesowo gospodarza Halley, wbiegając do jadalni, że ta dziewczka uciekła wraz ze swym bęk...

– Niech się pan liczy z obecnością mojej żony – przerwał mu ostro mr. Shelby.

– Ach, wybaczy pani! – kłaniając się, rzekł handlarz, z trudem hamując wściekłość. – Ale czy to prawda?

– Sir, jeśli chcesz ze mną rozmawiać, to powinien pan stosować się do powszechnie przyjętych prawideł grzeczności – poprawił go znów mr. Shelby. – Endy, zabierz panu kapelusz i laskę! Niech pan siada... Tak, niestety, muszę potwierdzić, Eliza dowiedziawszy się w jakiś tajemniczy sposób o naszym interesie, uciekła w nocy z dzieckiem.

– Spodziewałem się, że postara się pan wystrychnąć mnie na dudka!

– Cóż to ma znaczyć? Jeśli pan wątpi w moją uczciwość, to mam na to odpowiedź, która nie bardzo się panu spodoba.

Halley zmiarkował pogroźkę i zniżonym tonem zaczął narzekać na nieoczekiwaną stratę.

– Powtarzam jednak panu – nalegał mr. Shelby – że nie pozwolę wątpić o mojej uczciwości. Jestem gotów uczynić wszystko, co mogę aby ułatwić panu pościg. Dam panu swych ludzi, konie i czego pan poza tym zażąda. Ale – dodał innym tonem – radzę panu powściągnąć swój gniew i zjeść śniadanie. Przez godzinę uciekiniarka nie daleko zajdzie. Mając do dyspozycji konie, łatwo ją będzie dogonić.

Halley wysapał się z gniewu i został do śniadania.

Tymczasem wrzenie wśród Murzynów wzmagalo się z każda chwilą. Omawiali ucieczkę Elizy i sprzedaż Toma, wyrażając przeróżne domysły. Sam przezwany Czarnym, ponieważ był w istocie czarniejszy od reszty swych rodaków, popisywał się i przechwalał swoją przenikliwością i mądrością.

– Ej, Samie! – zawołał, wychodząc na ganek Endy – Pan kazał osiodłać Billa i Jerry.

– W jakim celu?

– Mamy obaj pomagać mr. Halley'owi przy pościgu.

– Ach tak! A więc Czarny Sam przydaje się na coś. Doskonale! Nie będę sobą, jeśli nie schwytam głupiej baby!

– Ech ty – ofuknął go Endy – Pani nie życzy sobie, aby schwytano Elizę. Gotowa różgami wynagrodzić twoją zbyteczną gorliwość. Lepiej stosować się do życzeń pani, bo pan koniec końców zawsze przyznaje jej rację.

Czarny Sam w zamyśleniu podrapał się w głowę.

– Ba! – zawołał z niepowtarzalną intonacją właściwą jedynie Murzynom i pobiegł do stajni. Po chwili przytroczył osiodłane konie do słupa, przy którym stał już wierzchowiec Halley'a.

Następnie podniósł ostrą trójboczną szyszkę bukowego drzewa i niepostrzeżenie wsunął ją pod siodło wierzchowca Halley'a w ten sposób, żeby przy najmniejszym nacisku kłuła konia, nie zostawiając śladu.

W tej chwili na werandę wyszła pani Shelby. Przypomniała Samowi, że Jerry niedawno uderzył się w nogę. Zabroniła mu więc przesilać szlachetne zwierzę. Murzyn wymownie ją zapewnił, że będzie *oszczędzał* rumaka.

Udobruchany dobrym śniadaniem, mr. Halley wyszedł wreszcie na werandę, nucąc coś wesoło.

– Komu w drogę, temu czas! – zawołał do obu oczekujących go forysiów. – Trzeba się spieszyć, ponieważ zmarnowaliśmy wiele czasu.

– Jesteśmy gotowi, sir – odpowiedział z niskim ukłonem Czarny Sam. – Pomożemy tylko panu dosiąść bieguną, po czym pomkniemy jak wichur, i tyle co nas widział!

Ledwo Halley rozsiadł się na siodle, wierzchowiec stanął dęba i po chwili zrzucił z siebie niefortunnego jeźdźca wprost pod kopyta obok stojących koni. Czarny Sam wrzasnął, udając, że usiłuje okiełznać zwierzę, w istocie zaś krzykiem i gestykulacjami płoszył konia, który wreszcie wyrwał się i, rżąc głośno, pomknął przez otwarte na oścież wrota na rozległą łąkę. Tuż za nim galopowały konie, mr. Shelby, a dalej uganiał się Sam i Endy, wrzeszcząc i

krzycząc co sił w gardle. Psy zaszczekały, Murzyniątka sekundowały im dzielnie, skacząc z uciechy i klaszcząc w dłonie.

Pościg trwał bardzo długo, dzięki wyjątkowej gorliwości Sama i jego towarzysza. Cwani Murzyni udawali, że wybijają się z sił, ścigając spłoszone rumaki. Halley pędził za nimi, klnąc na czym świat stoi, to przystawał, tupał w bezsilnej złości nogami i trzaskał z bicza, co potęgowało niepokój przerażonych zwierząt.

Dopiero po dwóch godzinach Sam przyprowadził spienione rumaki.

– Złapałem! – zawołał z triumfem – gdyby nie ja można byłoby polować na nie do jutra!

– Gdyby nie ty, bałwanie, wszystko byłoby w porządku – rzucił ze wściekłością Halley – zbałamuciłem trzy godziny. Jedziemy, a uważaj – nie rób głupstw!

– Jak to, zamierza pan teraz jechać? – zapytał ze zdumieniem Sam. – Chce pan zamorzyć nas i konie? Wszak padamy ze zmęczenia, a szkapy są pokryte mydlinami. Przed obiadem mowy nie ma o wyjeździe.

Chcąc nie chcąc, Halley musiał na to przystać. Tym bardziej, że namawiała go mrs. Shelby, zapewniając, że obiad wkrótce będzie podany. Wszedł więc do domu, nadrabiając miną, podczas gdy Sam radośnie błyskając oczyma odprowadził konie do stajni.

ROZDZIAŁ VI

Bohaterstwo matki

Nikt chyba nie zaznał takiej desperacji i nie czuł się tak bezbronny jak Eliza po wyjściu z chaty wuja Toma. Biegła po przemokłej ziemi, przyciskając do siebie z całej siły małego Harry'ego, którego chciano jej odebrać. Odgłos jej własnych kroków, chrzęst gałęzi, cień jakiś na drodze – wszystko przerażało ją i pozbawiało przytomności. Pod wpływem cudownej nieznannej siły nie czuła wcale ciężaru dziecka. Najśłabszy dźwięk, który wydawał się podejrzany, przyspieszał jej krok i podwajał jej nieludzką energię. Pędząc przed siebie jak na skrzydłach, wznosiła oczy ku niebu i cicho błagała: „Panie litościwy, pomóż mi! Zlituj się nade mną i nad moim dzieckiem!!!”

Harry tymczasem, uspokojony pieszczotliwymi słowami matki, zasnął. Jego cichy oddech, owiewający jej włosy, i dotyk ciepłych rączek dodawały jej sił i otuchy.

Dawno już minęła fermę swego pana i przylegający las, i zorza zabarwiła już wschodnią stronę nieba. Eliza kierowała się ku niewielkiemu miasteczku T. w pobliżu rzeki Ohio. O, gdyby dotarła do brzegu i przeprawiła się na drugą stronę rzeki, już by jej Halley nie dogonił. Inne musiałyby usuwać przeszkody i innych unikać niebezpieczeństw, ale przynajmniej najgroźniejsze byłyby przezwyciężone.

Ponieważ na trakcie ukazali się pierwsi przechodnie i zaturkotały pierwsze wozy, więc Eliza obudziła chłopca, poprawiła mu włosy i zsadziła na ziemię. Trzymając go za rączkę, poszła przed siebie, oczywiście znacznie zwolnionym krokiem.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy na skraju drogi ukazał się gęsty las. Weszła pomiędzy drzewa, ponieważ Harry był głodny i spragniony. Nakarmiła go i po krótkim odpoczynku wróciła na trakt. Powoli odzyskiwała spokój. Zmiarkowała, że nic jej nie grozi ze strony przechodniów. Nie miała potrzeby unikać znajomych, którzy znając dobroć państwa Shelby, nie mogliby posądzić ich niewolników o ucieczkę. Nieznajomi zaś nie domyślali się, że jest niewolnicą, gdyż zarówno ona jak i jej synek mieli cerę zaledwie śniadą.

Uspokojona więc zdecydowała się koło południa wstąpić do niewielkiej czystej fermy, aby posilić się i nieco odpocząć.

Właścicielka fermy przyjęła ją bardzo życzliwie. Eliza zmyliła opowieść o chorej bogatej szwagierce, mieszkającej w miasteczku T., którą zamierzała odwiedzić. Dobroduszną gospodyni uwierzyła jej, ugościła sutym posiłkiem i pozwoliła przespać się prawie trzy godziny.

Na godzinę przed zmierzchem uciekinierka dotarła do rzeki Ohio, na wprost miasteczka T. Biedna matka ledwo powłóczyła nogami, ale była pełna dobrej nadziei. Spojrzała na rzekę, która oddzielała ją od ziemi obiecanej, od ziemi wolności.

Było to wczesną wiosną. Rzeka rozlała, niosąc na wzburzonych falach olbrzymie bryły lodu. Ponieważ w tym miejscu koryto tworzyło ostry skręt, więc naniosło tu wiele kry. Rozfalowane rozbijające się wzajemnie bryły ciągnęły się niemal od brzegu do brzegu.

Eliza w zamyśleniu spoglądała na rzekę. Widok ten zmroził jej krew w żyłach. O promie nie mogło być mowy. Weszła do zajazdu, stojącego opodal, aby dowiedzieć się o innych możliwościach przeprawienia się na drugi brzeg.

– Czy żaden prom ani łódka nie przewozi na drugi brzeg? – zagadnęła oberżystkę gotującą wieczerzę.

– Nie, teraz nie ma ani promu, ani łódki. – Widząc strapioną i zrozpaczoną twarz Elizy, dodała: – Pani musi koniecznie pojechać? Czy jakiś krewny zachorował w T.?

– Tak, syn mój zachorował – skłamała Eliza – Dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się o tym. Szłam całą noc i cały dzień i byłam pewna, że zastanę prom na rzece.

– Ach, co za nieszczęście! – westchnęła oberżystka, która również była matką – Jakby tu pani pomóc? Ej, Salomonie, Salomonie! – zawołała, wychylając się przez okno.

Na progu stanął mężczyzna w skórzanym fartuchu, o zabrudzonych rękach.

– Salomonie, nie wiesz, czy sąsiad zamierza przepawić wieczorem przez rzekę swoje beczki, czy odstąpił od zamiaru?

– Powiedział mi, że spróbuje, jeżeli tylko będzie najmniejsza możliwość – odpowiedział Salomon.

– Słyszysz pani? – zwróciła się oberżystka do Elizy – Jeden z naszych sąsiadów chce się przepawić przez rzekę ze swym towarem. Powinien tu wkrótce przyjść na kolację. Radzę pani poczekać tu i poprosić go... Ach, jaki miły chłopczyk! – zawołała, zauważywszy Harry'ego, który dotychczas chował się za suknią matczyną.

Eliza ułożyła synka na łóżku w sąsiedniej komórce i siedziała przy nim, dopóki nie zasnął. Ona sama nie mogła spać. Trapiły ją okrutne myśli. Lękała się, że u samego celu może ją dogonić prześladowca. Usiadła przy oknie, wychodzącym na rzekę, i skierowała pełne rozpaczy spojrzenie w nieoczekiwaną okrutną przeszkodę.

Porzuciwszy chwilowo uciekinierkę, wrócimy do tych, którzy ją ścigali.

ROZDZIAŁ VII

Pościg

Mrs. Shelby przyrzekła mr. Halley'owi, że obiad będzie wkrótce podany, ale w istocie nie mogła dotrzymać tego przyrzeczenia. Służba wiedziała dobrze, że tym razem dziedziczka nie będzie się gniewać za spóźnienie. Dokładano więc wszelkich starań, aby obiad wypadł jak najpóźniej. Mister Halley ledwo mógł powściągać swą wściekłość. Miotał się po jadalni jak dzika bestia z oczyma krwią nalany.

– Niech poczeka, zbrodniarz przeklęty – powiedziała z oburzeniem ciotka Chloe – zbrodniarze, odrywają dzieci od matek, mężów od żon, wbrew przykazaniom bożym. Żyją z cudzych cierpień, z cudzej krwi. Tu na ziemi mają wieczne święto, więc czyż należy im

jeszcze życzyć, aby i po śmierci mieli wieczną radość? I dla kogo stworzony jest diabeł, jeżeli nie dla takich oprawców! – zakończyła, uderzając pięścią po stole, po czym, zasłaniając twarz fartuchem, gorzko się rozplakała.

– Pismo Święte każe się modlić za tych, którzy nam krzywdę wyrządzają – zauważył łagodnie Tom. – Dziękuj Bogu, że ty sama nie jesteś taka... Ja osobiście wolę tysiąc razy być sprzedanym, niż mieć na sumieniu występki tych, co nami handlują. Jestem bardzo zadowolony, że pan nie odjechał dziś rano. Byłaby to dla mnie najcięższa zniewaga. Ulegam woli Najwyższego. Pan mój nie mógł inaczej postąpić, był zmuszony mnie sprzedać. Ja to pojmuję, ale lękam się, że wszystko się do góry dnem przewróci, gdy mnie nie będzie. Ludzie tutejsi są wszyscy dobrzy, ale zbyt lekkomyślni. To mnie najbardziej niepokoi.

W tej chwili wezwano Toma do jadalni.

– Tomie – oświadczył mu mr. Shelby – zobowiązałem się zapłacić temu panu tysiąc dolarów, jeśli nie znajdzie cię na miejscu, gdy zajdzie potrzeba... Dziś ten pan ma inne sprawy do załatwienia. Jesteś więc dzisiaj wolny i możesz czynić, co ci się podoba, mój przyjacielu.

– Dziękuję, panie – odpowiedział Tom, patrząc nań z bezgranicznym oddaniem.

– Zapamiętaj to sobie – odezwał się mr. Shelby – i nie odpłacaj złem za dobre, jak to zazwyczaj czynią Murzyni.

– Mój panie – odpowiedział Tom, prostując się i zwracając do mr. Shelby – miałem osiem lat, a pan nie miał jeszcze roku, gdy nieboszczka starsza pani złożyła pana na moich rękach i rzekła: „Oto jest twój młody pan, pamiętaj o tym i opiekuj się nim.” Otóż proszę, aby pan zaświadczył wobec wszystkich, czy nie wywiązałem się rzetelnie z powierzonej mi opieki, czy wyrządziłem panu jakąś krzywdę zwłaszcza od czasu, jak się stałem chrześcijaninem?

– Miły Tomie – zawołał wzruszony do łez mr. Shelby – Bogu wiadomo, żeś był mi wiernym i oddanym sługą. Wierz mi, że gdyby nie ostateczna konieczność, nie sprzedałbym cię za żadne skarby świata.

– I ja daję ci słowo szczerzej chrześcijanki – dodała mrs. Shelby – że wykupimy cię, skoro tylko zbierzemy trochę pieniędzy... Proszę pana, mr. Halley, aby pan dał nam nazwisko i adres człowieka, który kupi Toma.

– Mogę jeszcze bardziej iść wam na rękę – rzekł handlarz – jeśli chcecie, to mogę za rok przywieźć go z powrotem i odsprzedać wam.

– Doskonale – odpowiedziała mrs. Shelby. – Przypuszczam, że będziemy mogli wykupić go za rok, i że pan nic nie straci... na swojej uprzejmości.

Wreszcie o godzinie drugiej Sam i Endy przyprowadzili wypoczęte konie i przywiązali je do słupa. Niebawem ruszono w drogę. Mr. Halley oświadczył, że zamierza ścigać uciekinierkę w kierunku rzeki. Był pewny, że Eliza jak i wszyscy czarni zbiegowie zamierza schronić się w Kanadzie, gdzie niewolnictwo jest zniesione.

– Słusznie – odpowiedział Sam. – Ale sęk w tym, że stąd prowadzą dwie drogi: szeroki trakt i boczna dróżka. Którądy każe pan jechać?

Endy był nieco zdumiony nieznanym mu topograficznym odkryciem przyjaciela, niemniej gorąco potwierdził.

– Jeśli pojedziemy boczna ścieżką – zapytał mr. Halley – to kiedy dotrzemy do rzeki?

– Boczna dróżka jest trochę krótsza od traktu – odpowiedział czarny Sam, mrugając jednym okiem w stronę swego towarzysza. – Ale nie radzę jechać nią. Kilkakrotnie próbowałem pójść tamtędy, ale nigdy nie starczyło mi do końca cierpliwości. Jest to wyjątkowo nudna i jednostajna droga, nie spotkasz tu żywej duszy, ani osiedla w pobliżu. Można jeszcze zbłądzić i znaleźć się Bóg wie gdzie.

Halley był przekonany, że Murzyn kłamie i pragnie go zwieść, że namawia go do traktu, ponieważ jest przeświadczony, iż uciekinierka obrała boczna drogę.

– Wyprowadź na boczna drogę – rozkazał stanowczo.

Wjechali na boczną drogę, dawno już zarzuconą, odkąd przeprowadzono prosty i szeroki trakt. Droga była zapuszczona, ścieżka ledwo widoczna, bo zarośnięta gęsto trawą i na domiar o dwie mile od fermy mr. Shelby zagrodzona uprawnymi polami i rozległymi folwarkami. Przebiegły Sam wiedział o tym: pragnął jak najbardziej opóźnić pościg. Jechał zasepiony, z miną pokorną towarzysząc mr. Halley'owi po drodze, do której go rzekomo wbrew woli zmuszono.

Naraz, minawszy ostry zakręt, cała kawalkada znalazła się przed otwartymi wrotami obszernej fermy. Zagroda świeciła pustką, ponieważ wszyscy jej mieszkańcy pracowali na polu. Ogromny spichlerz zagroził jeźdźcom dalszą drogę.

– Ot, widzisz – rzekł triumfująco Sam – dalej nie pojedziemy, bo tu wszędzie dookoła ciągną się pola. Uprzedzałem pana, że na drodze bocznej natkniemy się na przeszkody, a pan nie chciał mi wierzyć!

– Łotrze, wiedziałeś, że droga tu się kończy! – z wściekłością krzyknął Halley grożąc mu batem.

– Wszak mówiłem, że daleko nie zajedziemy – odpowiedział z zimną krwią Czarny Sam.

Jedyne, co Halley mógł teraz zrobić, to skrócić i starać się wydostać na trakt. Tak też uczynił.

Dzięki tym przeszkodom mały Harry spał już od godziny, gdy kawalkada dojechała do zajazdu.

Traf zrządził, że w tym czasie Sam wyprzedzał mr. Halley'a. Z daleka już zauważył w oknie Elizę, patrzącą w przeciwną stronę. Chcąc ją uprzedzić o niebezpieczeństwie, postarał się, aby wiatr zerwał mu kapelusz z głowy, co było pretekstem do wydania przeraźliwego okrzyku. Eliza odwróciła się, zobaczyła go i w lot ogarnęła sytuację.

Schwytała dziecko na ręce i wyskoczyła przez przeciwległe okno na dwór. Stąd przez furtkę pobiegła do rzeki. W tej chwili zauważył ją mr. Halley. Zeskoczył z konia i pomknął za Elizą, która pędziła jak strzała. Po chwili uciekinierka stanęła na brzegu. Ale pogoń była blisko. Widząc tuż za sobą prześladowców, wyteżyła wszystkie duchowe i cielesne siły i, wydając okrzyk desperacji, skoczyła z ładu na bryłę lodu. Był to czyn szaleńczy, zupełnie beznadziejny. Zaskoczeni prześladowcy mimo woli krzyknęli z przerażenia;

Olbrzymia bryła pod ciężarem Elizy z trzaskiem pogrzyła się w wodę. Ale to nie powstrzymało energicznej matki. Ślizgając się, potykając i skacząc przebiegała z jednej bryły na drugą. Zgubiła obuwie, podarła pończochy i zraniła sobie nogi. Nie czuła tego przejęta jedną wolą i jednym pragnieniem. Jak gdyby we śnie dotarła cudem do przeciwległego brzegu, gdzie jakiś mężczyzna pomógł jej wyskoczyć na łąd.

– Chwacka kobieta! – zawołał ze zdumieniem nieznajomy.

Eliza poznała go. Był to drobny farmer, mieszkający w sąsiedztwie mr. Halley'a.

– O, mister Simmens, ratuj mnie pan! – zawołała, wyciągając doń wolną rękę.

– Co się z tobą stało? Jeśli mnie wzrok nie myli, jesteś niewolnicą mrs. Shelby.

– O, tak, tak... Sprzedali mego synka... tego chłopczyka. Tam stoi handlarz, na tamtym brzegu... O, mister Simmens, miej pan litość nad nami! Bo i pan ma małego synka.

– Mam syna – potwierdził Simmens – poza tym lubię odwagę i chętnie bym ci pomógł, ale nie wiem gdzie cię schronić. Jedyne co mogę zrobić, to radzić ci wejść do tamtego białego domu opodal brzegu. Tam mieszkają bardzo poczciwi i litościwi ludzie. Jestem pewny, że ci pomogą. Już nieraz zdarzyło mi się ukryć takich jak ty zbiegów. Idź z Bogiem i nie bój się niczego!

Podziękowawszy mu z całego serca, Eliza skierowała się ku wskazanemu domowi.

Halley zaś, oszołomiony bohaterstwem uciekinierki, śledził ją uważnym spojrzeniem, przekonany, że za chwilę będzie świadkiem jej zagłady. Dopiero, kiedy zniknęła na drugim brzegu, ochłonął i badawczo przyjrzał się czarnym twarzom swych towarzyszy.

– To sztuka! – zawołał Tom obracając zdumionymi oczyma i roześmiał się na głos.

– Czego łośtrze śmiejesz się ze mnie? – ściągając brwi, krzyknął Halley.
– Bóg z panem, mój panie! Jakbym odważył się śmiać z pana? Ani mi to w głowie nie powstało! Po prostu śmieję się bo przypominam sobie, jak ona skakała po krze, niczym kotka. Łód się pod nią łamie, a ona nic, skacze sobie spokojnie. Cha-cha-cha!
Endy wtórował mu z całej duszy.
– Jeżeli nie przestaniecie, to skórę wam wyłoję! – krzyczał rozwścieczony handlarz niewolników, podnosząc bicz.
Obaj Murzyni uniknęli rzemienia i w mig dopadli swych wierzchowców.
– Do widzenia, wielmożny panie! – zawołał Sam machając kapeluszem. – Pani nasza na pewno niepokoi się o Jerry, panu zaś jesteśmy już niepotrzebni. Pozwoli pan życzyć sobie wesołej drogi i powodzenia w interesach!
Co rzekłszy, puścili konie w cwał i po paru chwilach zniknęli za zakrętem.
Lecz długo jeszcze w uszach mr. Halley’a brzmiał całkiem już bezceremonialny śmiech jego czarnych towarzyszy.

ROZDZIAŁ VIII

Umowa

Zapadał zmierzch. Przeciwny brzeg rzeki był już ledwo widoczny. Oszołomiony i rozjątrzony handlarz niewolników miał przed sobą rzekę, szeroko rozlaną, burzliwą, pokrytą płynącymi górami lodu, groźną przestrzeń, przez którą cudem przeprawiła się zrozpaczona niewolnica.

Jeszcze kilka chwil medytował rozzłoszczony handlarz, po czym wszedł do zajazdu, aby zastanowić się nad sytuacją. Gospodyni wprowadziła go do małego, pokoiku. Wyciągnął się na starej skórzanej kanapie i zatopił w ponurych myślach o niepewności ludzkich planów, wyrachowań i przypuszczeń.

Naraz drgnął niespokojnie, wyrwany z zamyślenia czymś ostrym, krzykliwym głosem, rozlegającym się za oknem.

– Niech mnie diabli biorą, jeśli to nie jest Tom Loker – zawołał zrywając się z kanapy i podchodząc do okna.

Ale za oknem domniemanego Toma już nie było. Halley pobiegł do jadalni. Jego przypuszczenie okazało się słuszne. Przy bufecie stał ogromny mężczyzna o srogiej, dzikiej fizjonomii, ubrany w bawoli kozuch wywrocony sierścią na wierzch. Była w jego prezencji i postawie jakaś nieposkromiona wściekłość i okrutny bestializm.

Przy nim stał, rzec można, jego kontrast. Mały i wąły, miał jednak w ruchach zręczność i giętkość żbika. Jego mała chuda twarzyczka o ostrych rysach, o długim haczykowatym nosie i żywych, gorejących jak węgiel czarnych oczach była istnym uosobieniem przebiegłości. Gładko uczesane włosy były przylizane do jajowatej głowy. Z pierwszego wejrzenia widać było, że się ma przed sobą chytrego, ostrożnego i zaciętego osobnika.

Olbrzym kazał sobie podać butelkę rumu i od razu opróżnił ją do połowy. Towarzysz jego pił miętową nalewkę, łyk po łyku.

– A Loker! – zawołał Halley, podchodząc do olbrzyma – skądże się tu wziął? Co porabiasz przyjacielu?

– Halley! – ze zdumieniem odezwał się Loker, ściskając dłoń byłego współnika. – Raczej ty powinieneś odpowiedzieć, skąd się tu wziąłeś?

– Wpadłem w tarapaty – odpowiedział Halley – Opatrzność zesłała mi cię na pomoc. Jeżeli nie ty, to już tylko diabeł mógłby mi pomóc!

– O co właściwie chodzi? – wycedził niechętnie Loker, znowu podnosząc butelkę.
– Ten pan jest twoim przyjacielem? – zapytał Halley.
– Tak, mój kompan. Nazywa się Marks – wyjaśnił Loker.
– Bardzo mi przyjemnie – odezwał się wymieniony – Jeśli się nie mylę, mam przyjemność widzieć mr. Halley’a?

– Tak jest, we własnej osobie – potwierdził handlarz niewolników – skoro się przekonałem, iż wszyscy jesteście z tej samej mąki, proponuję wejść do mojej kłitki. Tam będziemy mogli pogadać spokojnie... No stara strzygo – rzekł zwracając się do gospodyni – podaj nam gorącej wody, cukru, rumu, dobrych cygar i zakąsek. Zrozumiano?

Wkrótce potem zjedli doskonałą kolację, Halley przygotowywał gorący poncz i wtajemniczał kolegów w perypetie swej niedoli. Loker słuchał w milczeniu z najeżonymi brwiami, Marks zaś nie spuszczał oczu z warg handlarza, łowiąc chciwie każde słówko.

– Te matki! – zalił się na zakończenie Halley – zdawałoby się, że dzieci są dla nich ciężarem i że powinny się cieszyć, kiedy się ich ciężaru pozbawia, a w rzeczywistości jest wręcz przeciwnie.

– To prawda – potakiwał Marks. – Wiem o tym z własnego doświadczenia. Kiedy jeszcze handlowałem niewolnikami, udało mi się pewnego razu kupić ładną, silną, zdrową i na domiar bardzo wesołą dziewczynę. Miała garbatego i pod wszelkim względem ułomnego synka. Chciałem pozbyć się go i oddałem jakiemuś jegomościowi, który zgodził się wychowywać go za darmo. Byłem pewny, że matka będzie szczęśliwa. A jakże! Zaczęła wyrabiać takie brewerie, płakać, tarzać się po ziemi, gryźć sobie ręce, tłuc się w piersi, iż byłem pewny, że dostała pomieszania zmysłów. Tak, kobiety są dziwnymi istotami.

– Tak – odezwał się Halley – miałem podobną przygodę. Zeszłego lata dostałem młodą niewolnicę z dzieckiem. Na okręcie znalazłem kupca na Murzynka. Kiedy dobiliśmy do lądu zamierzałem mu oddać chłopca, ale matka nie chciała go wypuścić z rąk. Wyrwała jednemu z majtków nóż, skoczyła na pakę i nie dopuszczała nikogo do siebie. Dwaj marynarze zaczęli się skradać z tyłu, aby schwytać ją i związać. Niestety, zauważyła ich i skoczyła do wody wraz z dzieckiem. Na nic się nie zdały poszukiwania. Straciłem poważną sumę.

– Nie umiecie się z niewolnikami obchodzić; mnie się nic podobnego nie zdarzyło jeszcze – wtrącił z pogardą Tom Loker.

– Jak pan sobie radzi? – zapytał zaciekawiony Marks.

– Jak? Bardzo zwyczajnie. Kiedy kupuję niewolnicę z dzieckiem, podchodzę do niej i pokazuję jej swe zdrowe pięści i z miejsca powiadam: „Słuchaj no ślicznotko, jak mi słówko piśniesz, to popsuję twoją urodę. Zrozumiano? To dziecko jest moją własnością; nie masz do niego żadnych praw. Jak tylko znajdę kupca, to bez wahania go spławię”. Przy tym robię taką minę, że dziewczyna od razu miarkuje, kogo ma przed sobą, i staje się korną niewolnicą. A jeśli w chwili właściwej zapomina się, to...

Dokończył zdanie wymownym ruchem pięści.

– Jesteś zanadto zły. Tomie – odpowiedział po krótkiej pauzie Halley, który wypił kilka szklanek ponczu. – Nie trzeba zapominać, że człek oprócz ciała ma również duszę. Jak zbiję sobie mająteczek, to poważnie zajmę się ratowaniem swej duszy. Jestem człowiekiem wierzącym i nie wstydzę się do tego przyznać. Dlatego powiadam: po co wyrządzać komu krzywdę, jeśli można się bez tego obejść? Uważam, że to bardzo nierozsądne...

– Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że masz duszę – przerwał mu Loker. – Na próżno tak myślisz. Nawet sam czort nie znalazłby jej, choćby cię miał przepuścić przez sito.

– Jesteś dzisiaj w złym humorze, Tomie – rzekł Halley – Żal mi ciebie i dlatego chciałbym cię skierować na prawdziwą drogę...

– Przestań wygadywać brednie! – zawołał Tom ze złością – między nami jest jakaś różnica?... Ty jesteś bardziej tchórzliwy ode mnie – i wszystko. Chcesz oszukać diabła i uratować swą skórę, ale nie sędzę, aby ci się to udało.

– No, dość tego, panowie – wtrącił Marks – pomówmy lepiej o interesie... Czego pan sobie właściwie życzy, mr. Halley? Abyśmy pomogli panu schwytać uciekinierkę? Tak?

– Ona mi jest niepotrzebna, bo nie należy do mnie – odparł Halley – chcę mieć chłopca, którego kupiłem.

– A jaka ona jest, ta dziewczyna?

– Bardzo ładna, biała, zgrabna, wykształcona. Chciałem dać za nią osiemset a nawet tysiąc dolarów.

– Ładna, biała i wykształcona – powtórzył Marks błyszcząc oczyma i wysuwając do przodu długi nos – dobry początek, Loker! Poszukamy na własne ryzyko, schwytemy ich, chłopca oddamy mr. Halley’owi, a matkę sprzedamy w Orleanie. Jak myślisz, Loker?

Loker zamiast odpowiedzi zamknął swą olbrzymią paszczę, póki – mówił Marks była otwarta – niczem drapieżna bestia, chwytająca upragnioną zdobycz.

Marks zrozumiał go i zwrócił się do Halleya:

– Widzi pan, my tu wszędzie mamy znajomych sędziów, którzy nam idą na rękę. Tom schwyta dziewczynę. Ja zaś ubiorę się elegancko – to sprawia wrażenie – pójdę do sędziego i pod przysięgą stwierdzę, że uciekinierka jest moją niewolnicą. Nie pierwszy to raz i nie ostatni! Każdy ma swój talent! Tom jest niezwykły, kiedy potrzebna jest pięść, natomiast kłamać nie potrafi. Jak nawet skłamię, to od razu wpadnie. Ale o ile mi wiadomo, na całym świecie nie ma człowieka, który by umiał tak łągać jak ja... Wróćmy do rzeczy, panowie. Zgoda, mister Halley?

– Ale jak to, ja nic na tym nie zarobię? – zapytał Halley.

– Mało ci, że dostaniesz z powrotem bachora? – odpowiedział Tom – czego ci się jeszcze zachciewa?

– A to, że wam daję do rąk tak wygodny interes, to się nie liczy? Dajcie mi dziesięć procent, a będę zadowolony.

Tom Loker zaklął siarczyście i stuknął pięścią w stół:

– Co ty stroisz z siebie głupca, Halley? Dla twojej przyjemności mamy się tłuc po kraju i znosić wszelkie niewygody? Jak będziesz za wiele żądał, to sprzątniemy ci sprzed nosa matkę i chłopca! A gdy będziesz za bardzo natrętny, to nic łatwiejszego, jak wysłać cię... szukać zeszlorocznych kuropatw. Zrozumiałeś?

– No, no, nie żołądkuj się tak, Tomie – rzekł z wymuszonym śmiechem Halley – ja tylko żartowałem. Rozumie się, że obchodzi mnie tylko bachor, a z matką możecie zrobić, co się wam żywnie spodoba. Jeśli przyrzekniecie mi oddać chłopca za tydzień, to będę w zupełności zadowolony.

– Ale ja nie bardzo – odpowiedział chmurząc brwi Loker – jeśli chcesz, abyśmy się do tego wzięli, to daj nam pięćdziesiąt dolarów. Póki nie dasz nie ruszę palcem!

– Ale z jakiej racji mam dać wam pięćdziesiąt dolarów, kiedy możecie zarobić tysiąc a nawet więcej?...

– A koszta pościgu, zapomniałeś o tym? A jeśli nam się nie uda, to kto ma ponosić wydatki?! Pracować dla kogoś nie mam zamiaru. Jeśli capniemy zwierzynę, to zwrócę ci twoje pięćdziesiąt dolarów i nie będę miał żadnych pretensji, a jeżeli nie, to będę je uważał za wynagrodzenie. Jak znajdę zbiegów to chłopca odeślę do Cincinnati. Zostawię go u Granny Balcker na wybrzeżu.

Marks wyciągnął z kieszeni gruby pugilares, wyjął złożony na cztery części arkusz i zaczął czytać półgłosem:

– „Birns za chłopca i Jima, żywego czy umarłego – trzysta dolarów. Edward–Dick i Lucy, małżeństwo – sześćset dolarów. Dziewczyna Polly i jej dwoje dzieci – żywcem lub za głowę pięćset dolarów”. Przeglądam nasze bieżące interesy, mr. Halley, aby się zorientować kiedy będziemy mogli rozpocząć pościg za pańską zwierzyną. Niektóre polecenia są nadzwyczaj łatwe: trzeba tylko w ślad za zbiegami wysłać kulkę lub przysięg, że są zabić... Pozostałe

sprawy nie są pilne... Pomówimy szczegółowo, Halley, widział pan, jak dziewczyna dotarła do przeciwległego brzegu?

– Owszem, widziałem na własne oczy.

– Myślę, że powinniśmy dziś jeszcze przedostać się na drugą stronę – odezwał się Tom.

– Ale jak? Promy i łódki są nieczynne.

– Mówiła mi gospodyni, że ktoś zamierza przepłynąć się dziś w nocy przez rzekę. Musimy z tego skorzystać, póki ślad nie ostygł. Zrozumiano, przyjacielu? Zaraz się dowiemy.

Co rzekłszy, wybiegł z pokoju.

– Macie chyba dobre psy ze sobą? – zapytał Halley.

– Brytany, jak się patrzy. Ale cóż z tego, kiedy nie ma pan zapewne żadnej rzeczy uciekiniarki – odpowiedział Marks.

– Myli się pan! – zawołał triumfująco Halley – zgubiła po drodze czepek i chustkę.

– Znakomicie. Daj mi pan te rzeczy!

– Żeby tylko psy nie zmarnowały dziewczyny!

– To prawda, z psami nie zawsze jest wygodnie. A w danym wypadku nie przydadzą się wiele. Dziewczyna znalazła chyba schronienie w jakimś domu. Z psami dobrze jest polować na plantacjach.

– No przyjaciele – zawołał Tom Loker w drzwiach – oczekiwany jegomość przyszedł. Przygotuj się do drogi, szanowny panie Marks.

Halley wręczył, co prawda niechętnie, pięćdziesiąt dolarów Tomowi i pożegnał się z nim i z jego towarzyszem.

ROZDZIAŁ IX

Nawet senator może być ludzki

Kominek rzucał wesołe światło na drogi kobierzec w wykwintnie urządzonej jadalni senatora Bearda. Gospodarz w pantoflach domowych, niedawno przedtem wyszytych przez żonę, siedział w fotelu przy kominku. Pani Beard krzątała się po pokoju, doglądając porządku i starając się uspokoić rozswawolone dzieci.

– Tomie, nie ruszaj klamki, to nie zabawka!... Mary, zostaw w spokoju nieszczęsną kotkę i nie wrywaj jej ogona!... Jim, co to ma znaczyć! Natychmiast złaż ze stołu!... Ach, mój przyjacielu – rzekła zwracając się do męża – gdybyś wiedział, jak się cieszymy, żeś wrócił dziś do domu.

– Ja sam jestem szczęśliwy, że po tak uciążliwej podróży nareszcie znalazłem się u siebie w domu. Jestem tak zmęczony, że nie możesz sobie wyobrazić. Ciężkie są trudy pracodawców!

Uśmiechnął się, gdyż pomyślał w tej chwili, że poświęca się dla dobra ojczyzny.

– No i czego dokonaliście tam w senacie? – zapytała senatorowa, skoro wszyscy zasiedli do stołu.

– Nic szczególnego.

– Jak to nic szczególnego? Omawialiście przecież ustawę zabraniającą udzielania pomocy zbiegłym Murzynom!

– Tak, moja droga. Rzeczywiście uchwaliliśmy prawo, zabraniające udzielania najmniejszej pomocy niewolnikom z Kentucky. Ci abolicjoniści doprowadzili naszych braci z Kentucky do ostatecznej rozpaczki. Trzeba było, nie obrażając uczuć sprawiedliwości i prawdziwego chrześcijaństwa, uspokoić wzburzone umysły.

– I w tym celu zabraniać pomagać biednym nieszczęśliwym istotom, które o tę pomoc błagają?

– No tak. Pomagać im – to znaczy zachęcać do ucieczki...

Mrs. Beard była dobrą, cichą i skromną kobietą. Była niezmiernie łękliwa i nieśmiała: byle drobnostka przerażała ją lub wywoływała rumieniec na policzkach. Twarz jej była delikatna jak dojrzała brzoskwinia, niebieskie oczy, cichy, miękki i przyjemny głos tchnęły szczerością i dobrocią. Nie widziała świata poza mężem, dziećmi i zagrodą; nigdy nie rozkazywała, zawsze prosiła i przekonywała. Wszakże istniało coś, co wytrącało ją ze zwykłej równowagi: w żaden sposób nie mogła się pogodzić z okrucieństwem.

Taką była mrs. Beard. Tego wieczoru, wysłuchawszy odpowiedzi męża zarumieniona i drżąca ze wzruszenia, zerwała się z miejsca i, stanąwszy przed senatorem, zapytała go:

– Powiedz mi Johnie, czy naprawdę wierzysz, że wasze prawo jest sprawiedliwe i zgodne z nauką Chrystusa?

– Lecz moja droga...

– Nigdy nie spodziewałam się po tobie czegoś podobnego, Johnie! Zostawiać nieszczęsnych ludzi bez pomocy, cóż może być brzydszego, bardziej haniebnego, niemoralnego i nieludzkiego na świecie! Co się zresztą ze światem stanie, jeżeli nam kobietom nie wolno będzie udzielić posiłku i noclegu, ludziom umierającym ze zmęczenia i głodu? Dlatego jedynie że są niewolnikami, a więc ludźmi po stokroć nieszczęśliwymi!

– Nie denerwuj się, droga Mary. Twoje uczucia są bardzo szlachetne i godne najwyższego uznania. Ale, widzisz, rozsądek powinien brać górę nad uczuciami. Trzeba pohamować swe szlachetne skłonności gdy chodzi o uspokojenie wzburzonego kraju...

– Wszystko to bzdury, Johnie, twoje argumenty trącą polityką, na której się absolutnie nie znam. Za to znam dobrze Ewangelię i wiem, że należy *nakarmić głodnego, odziać nagiego, napoić spragnionego i pocieszyć cierpiącego*. Tak postępowałam w miarę możliwości dotychczas i tak nadal będę postępowała, nie zważając na prawa, które uchwalacie sobie w senacie.

– A jeśli wywołasz tym nieszczęścia społeczne?

– Nie sądzę, aby czyniąc zadość Bożym przykazaniom, można było wywołać nieszczęście. To niemożliwe... Zostaw mnie w spokoju, Johnie, ze swymi argumentami. Wszystko jedno, nie przekonasz mnie... Lepiej odpowiedz mi na pytanie: czy mógłbyś odpędzić od swych drzwi biedaka, padającego ze znużenia, chłodu i głodu? Powiedz, czy byłbyś do tego zdolny?

Senator Beard był z natury bardzo dobrym i miękkim człowiekiem. On sam nie mógł prosiącemu odmówić pomocy. Żona wiedziała o tym i dlatego właśnie zadała to pytanie.

– Bóg świadkiem, że trudno by mi było tak postąpić – wyszeptał cicho, unikając wzroku żony.

– Więc czemu gwałt zadajesz sercu, Johnie. Wszak takie okrucieństwo nie może być *powinnością*, albowiem przeczy *powinnościom* chrześcijańskim... Jeśli chcą uniknąć ucieczki niewolników, to niech się z nimi po ludzku obchodzą. Wiedz, że ja osobiście nigdy nie dam posłuchu okrutnemu prawu!

– Mary, Mary bądź rozsądna...

– Nienawidzę rozsądku, Johnie. Wy, panowie politycy, myślicie, że wszystkiego można dokonać chłodnym rozsądkiem... Zresztą w duszy podzielasz moje zdanie i pierwszy zapomnisz o zasadach senatorskich, gdy trzeba je będzie zastosować.

W tej krytycznej dla senatora chwili ukazał się stary „ochmistrz” Cujo i poprosił gospodynię do kuchni. Senator, przyciśnięty do muru, dziękował niebu za wyzwolenie i odprowadza żonę spojrzeniem, tkliwym i jednocześnie drwiącym.

Lecz po chwili usłyszał miękki głos żony:

– Johnie, Johnie, chodź tu! Ale już!

Senator rzucił gazety na stół i pospieszył do kuchni.

Na ławce leżała zemdlona młoda, piękna kobieta. Suknia jej była podarta i przepojona szronem, nogi ledwo okryte postrzępionymi pończochami, zmarznięte i zranione.

Na widok tego rozciągniętego na ławce omdlałego ciała, senator zadrzał. Mrs. Beard i ciotka Dinah, jedyna czarna, usługująca w domu senatora, usiłowały doprowadzić nieznajomą do przytomności. Stary zaś Cujo ogrzewał rękoma zziębnięte nóżki małego chłopczyka.

– Biedna kobieta! – westchnęła ciotka Dinah przecierając spirytusem skronie nieznajomej – zemdląca zapewne wskutek tutejszego ciepła. Weszła dosyć pewnym krokiem i prosiła, aby jej pozwolono rozgrzać się trochę. Nie zdążyłam jej zapytać, skąd przychodzi i dokąd idzie, gdy naraz zwała się z ławki. Spójrzcie, jakie to ma delikatne rączki. Widać nigdy się czarnej pracy nie imaly.

Tymczasem nieznajoma ocknęła się. Twarz jej wyrażała w tej chwili ostateczną rozpacz. Podnosiła się i zawołała:

– Harry! Gdzie mój Harry? Więc zabrali go!

– Tu jestem mamó! – odezwał się chłopczyk i podbiegł do matki.

– O, Bogu dzięki – zawołała Eliza – gdyż ona to była – przyciskając do siebie syna. – Tu jesteś mój Harry!... O, pani – zwróciła się błagalnie do mrs. Beard – niech nas pani ratuje! Nie pozwólcie im odebrać mi dziecka!

– Nie bój się, biedna kobieto. U nas nic złego ci się nie stanie – uspokoiła ją senatorowa.

– Niech panią Bóg błogosławi! – rzekła przez łzy uciekinierka, pokrywając ręce pani Beards pocałunkami wdzięczności.

Dzięki troskliwości pani Beard, Eliza uspokoiła się zupełnie. Pościelono dla niej łóżko przy kominku. Położyła się z dzieckiem i od razu zasnęła kamiennym snem.

Państwo Beard wrócili do jadalni. Nie mogli kontynuować urwanej rozmowy, mimo że mieli doskonałą ku temu sposobność.

– Ciekaw jestem, co to za kobieta? – odezwał się w końcu senator.

– Dowiemy się później, gdy wypocznie – odpowiedziała senatorowa.

– Zdaje się... – zaczął mrs. Beards, ale od razu urwał.

– Co ci się zdaje?

– Że jest trochę wyższa od ciebie, ale że twoje suknie będą na nią dobre.

– Zobaczymy! – odpowiedziała z uśmiechem pani domu.

– Ja myślę...

– Co jeszcze myślisz?

– Że można jej będzie oddać ten wełniany płaszcz, którym okrywasz mnie gdy ucinam sobie po obiedzie drzemkę... Wszak jest prawie naga.

Mrs. Beard nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż w tej chwili weszła Dinah i oznajmiła, że nieznajoma obudziła się i pragnie pomówić z panią domu.

Mrs. Beard weszła do kuchni, za nią mąż i dwoje starszych dzieci, młodsze bowiem matka ułożyła już do snu.

Nieznajoma siedziała na łóżku i ze smutną powagą wpatrywała się w płomień. Twarz jej była o wiele pogodniejsza i spokojniejsza.

– Chciałaś ze mną pomówić? – zapytała łagodnie mrs. Beard. – Już nie jesteś tak zmęczona?

Eliza odpowiedziała ciężkim westchnieniem i spojrzeniem tak smutnym, że wzruszona pani Beard omal się nie rozplakała.

– Nie bój się, moja droga – rzekła – jesteś wśród przyjaciół. Powiedz mi skąd przybywasz i jak można ci pomóc?

– Jestem z Kentucky. Przybyłam tu dziś w nocy.

– Jakże przeprawiłaś się przez rzekę? – zapytał mrs. Beard.

– Po krze.

– Po krze?! Ale to niemożliwe!

– Tak było w istocie. Bóg pomógł mi przejść. Oni byli już bardzo blisko. Nie miałam wyboru, chociaż byłam pewna, że nie przejdę. Było mi zresztą wszystko jedno – zginąć czy...

Postanowiłam umrzeć raczej niż oddać siepaczom mego małego Harry'ego... Lecz Najwyższy dopomógł mi...

– Jesteś niewolnicą? – pytał w dalszym ciągu senator.

– Tak. Należę do pewnego pana z Kentucky.

– Żle się z tobą obchodzili?

– O, nie. Moi państwo byli bardzo dobrzy.

– Cóż więc skłoniło cię do ucieczki?

Eliza zauważyła dopiero teraz, że mrs. Beard nosi żałobę.

– Pani – zapytała – czy nie straciła pani dziecka?

Nieoczekiwane pytanie zadrasnęło niezagojoną ranę w sercu senatorowej: dopiero miesiąc przedtem straciła jedno z dzieci.

Mrs. Beard odwrócił się i podszedł do okna. Żona jego rozplakała się.

– W jakim celu pytasz o to? – zapytała wreszcie z mimowolną niechęcią. – Skoro koniecznie chcesz wiedzieć, to wiedz, że straciłam.

– A więc zrozumie mnie pani lepiej – odpowiedziała Eliza – straciłam dwoje dzieci, jedno po drugim i pozostał mi tylko ten chłopczyk, najdroższy mój skarb na świecie... I oto, niech pani pomyśli, chciano mi go odebrać i sprzedać!... Tak, sprzedać na południe! Tego nie mogłam znieść. Zabrałam synka i uciekłam wczoraj w nocy. Handlarz, który go kupił, zarządził pościg. Dogonili mnie i schwytaliby, gdybym nie skoczyła na krę... Nie wiem jak to się stało. Pamiętam tylko, że jakiś mężczyzna pomógł mi się wydostać na ten brzeg.

Wzruszenie ogarnęło słuchaczy. Dzieci płakały gorzko i nie znajdując w kieszeniach chusteczek, ukryły twarz w matczynej sukni. Mrs. Beard cicho szlochała, ciotka Dinah zaś, wznosząc ku górze zalaną łzami błyszczącą twarz, machinalnie powtarzała: „Boże, zlituj się!” Stary Cujó wtórował jej, wycierając oczy rękawem kurtki. Jedynie senatorowi nie wypadło wobec wszystkich płakać; odwrócił się więc i udawał, że patrzy przez okno. Kaszlał często, głośno wycierał nos i przecierał chustką binokle.

– Dokąd zamierzasz się udać, biedna kobiecino? – zapytał – nie odwracając się mr. Beard.

– Do Kanady. Nie znam drogi... Czy daleko stąd do Kanady? – odezwała się naiwnie Eliza.

– Daleko, o wiele dalej niż możesz sobie wyobrazić – odparła mrs. Beard – ale pomożemy ci w miarę możliwości. Dinah niech ona dziś przenocuje w tym pokoju. Jutro zastanowimy się co się da zrobić... A tymczasem, moje dziecko – dodała zwracając się ponownie do Elizy – uspokój się i miej nadzieję w Bogu. On cię nie opuści.

Pożegnawszy nieszczęśliwą, mrs. Beard z mężem i dziećmi przeszła do jadalni. Dzieci położyły się spać. Senator długo chodził z kąta w kąt, mrużąc coś pod nosem. Na koniec doszedł do żony i rzekł:

– Wiesz co, Mary? Uciekinierka musi dziś jeszcze odejść, bo jutro niezawodnie ją odkryją. Gdyby była sama, można byłoby ją gdzieś ukryć. Ale czyż podobna ustrzec dzieciaka. Wyjrzy przez okno lub wyskoczy na dwór, ktoś go zobaczy i od razu rozniesie się wiadomość. Ładnie będę wyglądał, jeśli ich znajdą akurat u mnie i to nazajutrz po uchwaleniu ustawy... Nie, stanowczo musi opuścić nasz dom.

– Ale nie dzisiaj Johnie! – omal nie krzyknęła w przestrachu mrs. Beard – gdzie ona się podzieje w nocy?

– Wszystko już obmyśliłem – odpowiedział mąż, wciągając na nogi buty, które suszyły się dotychczas przy kominku. – Tak – kontynuował w zamyśleniu – to fatalna sytuacja. Ale nie ma rady – tak trzeba... Będę musiał sam się zająć tą sprawą... Otóż mój stary klient Van Tromp wrócił z Kentucky, wyzwoliwszy wszystkich niewolników. Zdaje się, że już powiedziałem ci, iż kupił za lasem o siedem mil stąd wcale ładną fermę. Jest to takie pustkowie, że nikomu na myśl nie przyjdzie szukać tam zbiegów. Odwiozę ją tam, a ty opowiadaj, że pojechałem załatwić coś w mieście. – Będę musiał zresztą zajrzeć do miasta. O,

gdyby wiedzieli, co zamierzam uczynić! Zresztą niech ich diabli wezmą! Niech myślą co chcą! Nie mogę inaczej postąpić – oto wszystko.

– Wiedziałam, że serce twoje lepsze jest od głowy – rzekła żona, kładąc mu na ramieniu swą małą dłoń. – Za to cię tak kocham, mój drogi – dodała całując go w policzek.

Senator podniósł się, aby wydać odpowiednie polecenie staremu Cujo. Na progu zatrzymał się, odwrócił do żony i rzekł, jękając się:

– Mary, jak uważasz... widzisz moja droga, po naszym biednym Harrym, zostało tyle odzieży... Należałoby dać coś temu Harry'emu...

Co rzekłszy, wyszedł pospiesznie z pokoju. Mrs. Beard odprowadziła go spojrzeniem, pełnym głębokiej miłości, po czym wyszła do pokoju, przylegającego do sypialni.

Przed komodą zatrzymała się i stała chwilę nieruchoma z nisko zwieszoną głową. Następnie otworzyła i wyciągnęła szufladę, w której leżało kilka małych ubranek, fartuszków, pończoszek i pantofelków. Pani Beard na widok tej garderoby, osunęła się na krzesło i gorzko zapłakała. Lecz wkrótce opanowała się, zaczęła wybierać z szuflady najtrwalsze i najprostsze rzeczy i związała je w węzełek.

Zamknąwszy komodę, przeszła do swojej szafy, wydobyła dwie proste suknie, ciepły kaftanik wierzchni i weszła do sypialni.

– Mary – rzekł senator gotowy do podróży, z paltem na ręku. – Już czas jechać. Idź i obudź ich.

Niebawem Eliza w sukni mrs. Beard wyszła na ganek, blada, okryta ciepłą chustą, Harry spał na jej ręku. Mr. Beard pomógł uciekinierce wsiąść do zamkniętego powozu. Eliza uchwyciła wyciągniętą do niej ręką mrs. Beard i gorąco ją ucałowała. Chciała wyrazić swoją wdzięczność, ale słowa uwięzły w krtani. Mr. Beard pożegnał się z żoną, zatrzasnął drzwiczki i kazał ruszyć z miejsca.

Od kilku dni deszcz nieustannie lał jak z cebra. Wybrzeża Ohio stały się prawdziwym trzęsawiskiem, drogi były grząskie i pełne kałuż, jak za starych dobrych czasów.

Powóz senatora Bearda przewalał się z boku na bok. Zdawało się, że w końcu się przewróci. Konie zatrzymywały się co kilka minut, ponieważ brnęły po kolana w lepkim błocie.

Dopiero o godzinie trzeciej w nocy powóz zatrzymał się przed dosyć rozległą fermą. Na wołanie i kołatanie Cujo wyszedł sam gospodarz John Van Tromp. Wysoki, barczysty, gęsto zarosnięty włosami, miał zdecydowany i energiczny wyraz twarzy. Nosił czerwoną bluzę myśliwską z flaneli. Najeżone włosy nadawały mu pozory rozbójnicze. Wszakże senator wiedział dobrze, że pod tą powierzchownością ukrywa się złote serce. Van Tromp był wyjątkowo szlachetnym i dobrym człowiekiem. Miał olbrzymią fermę w Kantucky i wielkie mnóstwo niewolników. Ale z biegiem czasu poznał niehumanizm i haniebną niewolniczkę. Idąc za głosem sumienia sprzedał plantację, puścił na wolność wszystkich niewolników i nabył mniejszą fermę w pobliżu Ohio, gdzie zaczął prowadzić spokojne, uczciwe życie.

Na widok senatora Bearda w towarzystwie młodej kobiety z dzieckiem, Van Tromp uśmiechnął się sarkastycznie, lecz nie wyrzekł ani słowa, czekając wyjaśnienia.

– Czy mógłby pan ukryć tę kobietę i to dziecko, których ściga handlarz niewolników?

– Myślę, że mógłbym – odpowiedział z lekką ironią Van Tromp. – Proszę wejść.

– No, dzięki Bogu! Od razu wiedziałem, że nie na próżno się do pana zwracam – oświadczył mr. Beard.

– Niech no pański handlarz zjawi się tu u mnie – zawołał Van Tromp, pokazując potężne pięści – przyjmę go tak dobrze, że się ucieszy... Mam siedmiu synów, takich drągali jak ja...

Parsknął głośnym śmiechem. Następnie obejrzawszy przy świetle świecy uciekinierkę, potrząsnął kilkakrotnie głową i wydał jakiś dźwięk, przypominający mruczenie. Otworzył drzwi małego pokoju, zapalił tam drugą świecę i wezwał Elizę.

– Chodź tu, droga. Urządź się w tym pokoju i czuj się jak u siebie w domu. Nie lękaj się niczego. Widzisz, jaka tu ochrona – dodał, wskazując wiszące na ścianie karabiny. – Nie radzę nikomu wtargnąć do mnie bez pozwolenia!... Chłopczyk śpi, rozbierz go i ułóż. Połóż się sama i śpij w spokoju. Nic ci w tym domu nie może grozić.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Ładna dziewczyna – odezwał się do senatora. – To czasem bywa powodem ucieczki, jeżeli kobieta ma uczciwe serce.

– Nie, tu zachodzi inny wypadek – odrzekł senator i opowiedział mu historię Elizy.

– Biedna kobieta! – zauważył Van Tromp, wysłuchawszy senatora.

– Polują na nią jak na dzikie zwierzę za to, że kocha swoje dziecko!...

W piętnaście minut później Van Tromp konno odprowadzał senatora do najbliższej gospody.

Przy pożegnaniu senator wsunął mu do ręki dziesięć dolarów i rzekł:

– To dla Elizy.

Życząc sobie nawzajem wiele dobrego, obaj szlachetni mężowie zamienili pożegnalny uścisk dłoni.

ROZDZIAŁ X

Wyjazd Toma

Ponure słońce zimowe zaglądało do okienek chaty wuja Toma. Posępne twarze mieszkańców harmonizowały z zachmurzonym niebem.

Ciotka Chloe, wycierając łzy, prasowała męskie koszule z grubego płótna. Tom siedział przy niej, opierając głowę na rękach i czytając leżącą na kolanach Biblię. Oboje milczeli. Była wczesna godzina. Dzieci spały jeszcze na składanym łóżku.

Po pewnym czasie Tom podniósł się, podszedł do śpiących dzieci i patrzył na nie długo, jak gdyby przeczuwając, że widzi je po raz ostatni.

Ułożywszy wszystkie koszule na krześle, ciotka Chloe usiadła i wybuchnęła nieutulonym płaczem.

– O, mój Boże – jęczała – wiem, że powinnam z pokorą znieść ten cios, ale nie potrafię... Sił mi nie starczy... Gdybym chociaż wiedziała, gdzie będziesz i jak ci się będzie powodzić... Pani powiada, że wykupi cię za rok czy za dwa, gdy tylko zbierze pieniądze. Ale czy żyje się tak długo na Południu? Tam zameczają niewolników straszliwą pracą na plantacjach. Opowiadano mi nieraz o tym.

– Nie wierz, Chloe – odrzekł wuj Tom – Bóg jest nie tylko tu, ale i tam, na Południu. We wszystkim jest Jego święta Wola. Nam śmiertelnikom nie wolno sarkać. Dziękuję Najwyższemu Twórcy, że sprzedano mnie, a nie ciebie i dzieci. Ja sam gotów jestem znieść wszystko, o ile wam tu będzie dobrze. Cóż ja – jestem mężczyzną! Zresztą Najwyższy da mi siły, abym mógł znieść wszystkie próby, którym mnie podda. Zresztą nie o nich należy myśleć, tylko o tych dobrodziejstwach, którymi nas dotychczas obdarzył.

– Ach, wszystkie te dobrodziejstwa są niczym wobec tych cierpień, które teraz nas oczekują!... Nie, pan nasz obszedł się z tobą bardzo niewdzięcznie. Sprzedał człowieka, który kierował całym gospodarstwem i myślał nie o sobie, ani o swej rodzinie, lecz jedynie o tym, aby nie zmarnowała się najmniejsza drzazga pańska! Niech im Bóg wybaczy, ale ja nie mogę, bo swoje długi spłacają krwią naszych serc!

– Chloe, jeśli mnie kochasz naprawdę, to nie bluźnij tak w ostatnich chwilach, jakie spędzamy ze sobą! Pomyśl o tym, że pana mego oddano pod moją opiekę, gdy był jeszcze

niemowlęciem. Nie dziw, że przywiązałem się do niego i dbam bardziej niż o siebie i o swoją rodzinę. My natomiast nie możemy wymagać wzajemności: pan nasz urodził się, abyśmy mu służyli, nie zaś aby nam służyć. Znam go dobrze i wiem, że nigdy by mnie nie sprzedał, gdyby mógł się bez tego obejść.

– Och, nie przekonasz mnie – rzekła ciotka Chloe. – Lepiej o tym nie mówić. Już czas szykować się do drogi... Zresztą kupiec chyba odbierze ci wszystko. Wszystko jedno, dam co trzeba. Wyciągnęła spod łóżka niewielką skrzynkę i zaczęła układać w niej rzeczy męża.

– Patrzaj – mówiła – tu kładę twoje flanelowe koszulki. Jeśli nie odbiorą ci, to uważaj aby nie zginęły, bo innych nikt ci nie da... Tu będą leżeć twoje nowe koszule, a stare kładę tam, widzisz?... A tu są skarpetki. Wszystkie wycerowałam, noś na zdrowie... Mój Boże, kto będzie cerował twoje skarpetki?!

Przykucnięta nad skrzynką ciotka Chloe oparła głowę na krawędzi i zrosiła gorzkimi łzami bieliznę męża.

– Kiedy pomyślę – rzekła po chwili, zabierając się znów do pracy – że nie będziesz tam miał nikogo, kto by reperował twoją bieliznę, pielęgnował cię i pocieszał, jeśli broń Boże zachorujesz, to pytam siebie: po co służyć wiernie ludziom, którzy w nagrodę mogą cię sprzedać? Ach, Boże mój! – zawołała, zrywając się nagle. – Zapomniałam zupełnie, że w piecu są pierogi... Już czas wyjąć je i dać ci po raz ostatni... Gdzie będziesz miał takie pożywienie, mój biedny mężu?

Dzieci obudziły się i natychmiast zerwały na równe nogi, widząc na stole pierogi, pieczone i konfitury, które podawano jedynie w szczególnie uroczystych wypadkach.

Nasyciwszy się, zmiarkowały o co chodzi i zaczęły ryczeć, pocierając oczy piąstkami. Tymczasem ojciec wziął na ręce najmłodsze dziecko i pozwolił mu szarpać się za włosy i nos. Dziewczynka piszczała z uciechy.

– Dziedziczka idzie do nas, sama pani dziedziczka! – oznajmił Mojżesz, siedzący przy oknie.

– To zbyt cenne – odpowiedziała z goryczą ciotka Chloe. – Po co ona teraz przychodzi?

Istotnie po chwili weszła pani Shelby. Ciotka Chloe w ponurym milczeniu podała jej krzesło.

– Tomie – zaczęła mrs. Shelby, blada jak trup i drżąca z podniecenia – ja chciałam... ja przyszłam...

Więcej nie mogła mówić, zakończyła zdanie gorzkim łkaniem.

– O pani, droga pani, niech pani nie płacze! – mamrotała, wtórując jej zresztą, ciotka Chloe.

Zapłakał również Tom, pokrywając pocałunkami córeczkę, która nie przestała piszczeć i radować się.

– Drogi mój Tomie – rzekła wreszcie mrs. Shelby – niestety, nie mogę ci ofiarować nic pożytecznego. Jeśli dam ci pieniądze, to ci je zabiorą. Rzeczy też ci nie zostawią. Lecz daję ci słowo honoru, że stale będę pytać się o ciebie i że wykupię cię, skoro tylko zbierzemy odpowiednią sumę. Do tego czasu przecierpisz, biedaku. Miej nadzieję w Bogu.

Jedno z dzieci zawołało, że nadchodzi Halley. Po chwili drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanął handlarz niewolników.

– Gotów jesteś, czarny filucie? – zawołał brutalnie, szpicrutą smagając cholewy.

Tom po raz ostatni ucałował dzieci i ze skrzynką na plecach wyszedł z chaty. Ciotka Chloe z dziewczynką na ręku oraz chłopcy szli za nim głośno płacząc.

Dookoła bryczki Halley'a zebrała się gromadka starych i młodych niewolników, którzy chcieli się pożegnać z przyjacielem.

Wszyscy ubolewali nad nim i głośno narzekali na niedolę niewolnika. Kobiety płakały, spoglądając nań żałośnie.

– Siadaj! – rozkazał handlarz, odsuwając Murzynów, którzy oglądali go z nienawiścią i niemą groźbą w oczach.

Tom zajął miejsce. Halley nałożył mu na nogi okowy z łańcuchem, wywołując okrzyk oburzenia obecnych.

– Mister Halley – rzekła drżącym głosem *mrs.* Shelby – zapewniam pana, że jest to zupełnie zbyt uczynna przezorność.

– Nie sądzę, pani – odezwał się gburowato handlarz – Dzięki pani pupilce straciłem wczoraj pięćset dolarów. Nie mam zamiaru ryzykować nadal.

– Szkoda, żeś nie stracił swojej przeklętej głowy! – szepnęła ze złością ciotka Chloe.

– Jaka szkoda, że nie ma panicza – powiedział ze smutkiem Tom. – Chciałbym się z nim pożegnać.

Jerzy Shelby od pewnego czasu gościł u sąsiadów i nie miał najmniejszego wyobrażenia o tym, co się działo w domu.

– Pozdrówcie ode mnie panicza – dodał po chwili Tom.

Halley usiadł na kozle i z całej siły zaczął okładać konia batem. Bryczka pomknęła po piaszczystej drodze, wioząc Toma, który nie spuszczał smutnych oczu z domu rodzinnego.

Mister Shelby nie był obecny przy wyjeździe Toma. Wolał uniknąć smutnego widoku; z samego rana pojechał do sąsiada.

Tymczasem bryczka Halley'a mknęła po trakcie. Po jakimś czasie zatrzymała się przed kuźnią. Halley wywołał kowala i, pokazując mu parę ręcznych okowów, polecił:

– Proszę mi zakuć tego draba po rękach i po nogach, ale jak najprędzej, bo nie mam wiele czasu.

– Boże wielki! – zawołał kowal, spojrzawszy na Toma. – Wszak to wuj Tom!... Czyż mister Shelby sprzedał go?...

– Naturalnie, że sprzedał. Chyba go nie ukradłem.

– Sprzedać takiego człowieka!... Nigdy bym nie uwierzył. Sir, tego człowieka nie trzeba zakuwać. Jest to najuczciwszy i najbardziej sumienny człowiek na świecie...

– Wiem, wiem – przerwał mu Halley. – Tacy właśnie najczęściej uciekają. Trzeba go porządnie zakuć, inaczej ucieknie ode mnie przy pierwszej lepszej okazji.

– No, trudno, niech się dzieje wola Boża – odpowiedział kowal. – Czy zamierza go pan sprzedać na południowe plantacje, gdzie Murzyni wymierają jak muchy na jesieni?

– I słusznie. Cóż byśmy robili, gdyby żyli długo? – odezwał się ze śmiechem Halley.

– A żona i dzieci zostały u *mr.* Shelby?

– Tak; ale to nie szkodzi, w nowym miejscu dadzą mu inną żonę. Bab nie brak nigdzie.

Tom nie wtrącał się do rozmowy. Siedział nieruchomo z nisko spuszczoną głową. Nagle usłyszał tętent cwału. Ledwo się Tom obejrzał, na bryczkę skoczył Jerzy Shelby i obejmując za szyję starego sługę, zapłakał głośno.

– Ach, co za podłość! – krzyczał nabrzmiałym od łez głosem. – Nie lękam się nikogo i twierdę wobec wszystkich, że ta sprzedaż jest podłością i hańbą... Gdybym był dorosły, nigdy by się nic podobnego nie zdarzyło!... – dodał, zaciskając wargi.

– Drogi master Jerzy, jakże jestem szczęśliwy, że Bóg pozwolił mi się z paniczem pożegnać – odpowiedział Tom. – Trudno mi było wyjechać, nie zobaczywszy panicza.

Mówiąc to, Tom niechcący poruszył nogą – zadzwoniły kajdany nożne.

– Boże wielki, jesteś zakuty?! – zawołał nieprzytomny z oburzenia Jerzy, podnosząc ręce ku niebu. – Zabiję tego starego łajdaka... zabiję!...

– Nie master, nie robi pan tego – uspokajał go Tom. – I niech pan lepiej nie krzyczy, bo tylko rozgniewa *mr.* Halley'a, co się na mnie skupi.

– W takim razie zapanuję nad sobą, chociaż przychodzi mi to z trudem... Ach, jakie to straszne. Wuju Tomie – dodał szeptem – przyniosłem ci dolara.

– Na próżno master, nie przyjmę w żadnym razie – odparł wzruszony Murzyn.

– Przyjmiesz, musisz przyjąć, jeśli nie chcesz mnie obrazić. Ciotka Chloe radziła przebić dziurkę w dolarze i przewlec sznurkiem, abyś go mógł nosić na szyi pod ubraniem. Ten złodziej nie zobaczy go i nie odbierze. Niech ci mój podarunek przypomina zawsze o tym, że przyjdzie czas, kiedy przybędę po ciebie. Nie dam ojcu spokoju, zamęcę go, dopóki cię nie wykupi...

– O master, czy można tak mówić o własnym ojcu?!

– Czemu nie, gdy postępuje niesprawiedliwie...

– Nie wolno panu osądzać ojca. Niech panicz zapamięta sobie moje słowa. Staraj się być zawsze dobrym, szanuj starszych i nigdy ich nie osądzaj. Kochaj matkę, tym bardziej, że takiej szlachetnej kobiety nie znajdziesz nigdzie na świecie. Czy może mi pan dać słowo, że będziesz się starał być dobrym człowiekiem?

– Mogę i daję – zapewnił poważnie Jerzy.

– Bóg słyszał pańskie przyrzeczenie, master. Nie gniewa się pan na mnie za to, co mówię?

– O nie, miły, drogi wuju Tomie! Jakże mogę się gniewać za to, że każesz mi być dobrym człowiekiem?

– Otóż to, mój chłopcze – przemówił czule Tom, gładząc kędzierzawą głowę Jerzego. – Ja już jestem stary, a pan zaczyna dopiero życie. Masz wiele przyrodzonych dobrych skłonności i wiele zalet i wiedzy. Korzystaj ze swej wiedzy i ze swych praw, aby czynić dobro, a wtedy rodzice będą dumni z ciebie. A rzecz najważniejsza – nigdy nie zapominaj o Bogu i Jego przykazaniach.

– Będę dobrym człowiekiem, przyrzekam ci to, wuju Tomie. Postaram się być jednym z najlepszych ludzi na świecie... A ty nie martw się, wuju Tomie. Zobaczysz, wnet już wrócisz do nas.

W tej chwili wyszedł z kuźni mr. Halley.

– Panie – zagadnął go Jerzy – opowiem rodzicom, jak się pan z Tomem obchodzi.

– A co mnie to może obchodzić! – odpowiedział handlarz.

– I jak panu nie wstyd handlować ludźmi i trzymać ich na łańcuchu, jak dzikie bestie?

– Jeśli ludzie tacy jak pan kupują i sprzedają niewolników, to z jakiej racji mam się wstydzić handlować nimi?

– Tak, ma pan słuszość, mr. Halley – odpowiedział po namyśle Jerzy. – Daję słowo, że nigdy nie będę kupował ani sprzedawał ludzi!...

Dosiadł swego konia i odwrócił się od handlarza.

– Bądź zdrów, wuju Tomie! – zawołał ze wzruszeniem. – Nie rozpaczaj i bądź pewny, że cię wyzwolę!

– Do zobaczenia, drogi paniczu! – odpowiedział drżącym głosem Tom, patrząc nań z czułością i zachwytem. – Niech Pana Bóg błogosławi...

Oglądał się za nim, póki nie przebrzmiał tętent konia, ostatni odgłos minionego szczęścia.

– Widzisz Tomie – rzekł Halley, rzucając na dno bryczki ręczne okowy – teraz nie zakuję ci rąk. Lecz uprzedzam cię, przy najmniejszym podejrzanym ruchu, zakładam ci na ręce łańcuchy. Obchodzę się dobrze z Murzynami, którzy mi nie odpłacają złem za dobre.

Tom zapewnił go, że nie ma najmniejszego zamiaru uciekać. Zresztą czy mógłby to uczynić, skoro ma nogi zakute. Lecz Halley zawsze w ten sposób zaczynał rozmowę z niewolnikami, aby ich pouczyć o skutkach nieposłuszeństwa.

ROZDZIAŁ XI

Starzy znajomi

W chłodny i deszczowy wieczór przed niewielką oberżą w Kentucky zatrzymał się jeździec. Zsiadł z konia i wszedł do ogólnej sali. Przy stołach siedzieli zdrowi i barczyści obywatele w bluzach myśliwskich, z kapeluszami na głowach i w długich butach. Rozpierali się na zgrubsza skleconych krzesłach, trzymając ręce w kieszeniach, wyciągając przed siebie nogi i nieustannie przeżuwali coś w ustach, bryzgając na wszystkie strony śliną. Kilku siedziało przy kominku trzymając nogi na żelaznej kratce.

Za bufetem stał oberżysta, również wysoki i mocno zbudowany, o dobrodusznej fizjonomii i wesołych oczach.

Czarni kelnerzy krząpali się, biegali, omal nie wywracając się o stoły, krzesła i wyciągnięte dolne kończyny gości.

Jeździec, który wszedł do izby, był drobnym ale krzepkim staruszkim o sympatycznym wyrazie twarzy. Był porządnie ubrany i sprawiał wrażenie człowieka z lepszego towarzystwa. Sam wniósł swą walizę i parasolkę, usiadł w odległym kącie i złożył swój bagaż pod krzesłem. Po czym rozejrzał się w około i z obrzydzeniem zerknął na swego sąsiada, który zadarł nogi do góry i gorliwie pluł na prawo i na lewo.

– Co jest? – zapytał starzec jednego z myśliwych, skupiających się przed naklejonym na ścianie afiszem.

– Rysopis zbiegłego Murzyna – brzmiała odpowiedź.

Starzec, nazwiskiem Wilson, wyjął z kieszeni okulary, przetarł je, podszedł do afisza i przeczytał co następuje:

„Od niżej podpisanego właściciela zbiegł młody niewolnik, imieniem Jerzy. Wysokość – pięć stóp sześć cali, kolor twarzy biały, włosy kędzierzawe, wykształcony, umie pisać i czytać. Prawdopodobnie będzie udawał białego. Na plecach i grzbiecie głębokie blizny, na prawej ręce wypalona litera G. Przyrzekam czterysta dolarów temu, kto dostarczy mi go żywego albo przyniesie dowód, że go zakatrupił...

Starzec dwukrotnie przeczytał ogłoszenie, jakby uczył się na pamięć.

Sąsiad jego podniósł się, wyprostował potężne barki i podszedł również do ogłoszenia.

– Ach, to tak – rzekł, przebiegłszy oczyma treść. – To splunięcia warte! – dodał, splunął na środek plakatu i wrócił na miejsce.

– Co pan zrobił? – odezwał się oberżysta. – Tak nie można...

– Dlaczego nie można? Nie można pluć na ten nędzny świstek?! Ja bym z przyjemnością splunął w mordę osobnikowi, który to nabazgrał. Na pewno szubrawiec; gdyby był dobrym człowiekiem, nikt by od niego nie uciekał... Takie ogłoszenia – to hańba naszego kraju.

– Mówiąc prawdę, pan ma słuszość – odpowiedział gospodarz i powstrzymał się od uwag, gdy inni myśliwi, idąc za przykładem swego kolegi, jęli zapluć ogłoszenie.

– Tak, pan ma najzupełniejszą słuszość – zwrócił się mr. Wilson do sąsiada, wybacząc mu nawet niezbyt wykwinne maniery. – Muszę panu powiedzieć, że znam dobrze niewolnika, którego opisuje ogłoszenie. Sześć lat pracował w mej fabryce i był najlepszym robotnikiem. Wynalazł nawet maszynę, niezmiernie cenną i udoskonalającą produkcję. Maszyna ta obecnie jest bardzo rozpowszechniona. Jego właściciel ma na nią patent.

– Trzeba jednak przyznać – wtrącił się siedzący opodal myśliwy o grubych rysach twarzy i o złym spojrzeniu – że uczeni niewolnicy są zawsze ambitni i zuchwali. Dlatego bije się ich i piętnuje. Nie karano by ich, gdyby byli posłuszni.

– Tak, niełatwo jest człowieka przemienić w bydlę – sucho odciął się pierwszy myśliwy.

– Mogę pana zapewnić, że uczeni Murzyni absolutnie nie przynoszą żadnej korzyści właścicielowi – kontynuował tamten, puszcżając mimo ucha wzgardliwe odezwanie się swego rozmówcy. – Nikomu się nie chce tolerować ich zadartych nosów i bohaterskich min.

– Gdybym miał pańskie przekonanie, prosiłbym Boga, aby stworzył specjalnie dla mnie rasę niewolników bez duszy i uczuć, w rodzaju kamiennych bałwanów.

Tymczasem przed oberżę zajechał niewielki powóz, zaprzężony w jednego konia. Pasażer, młody człowiek, bardzo przystojny, o dystygowanej szlachetnej prezencji wszedł do izby wraz ze swym służącym Murzynem, niosącym bagaż.

Goście z zaciekawieniem obejrżeli przybysza. Wysoki, zgrabny, miał twarz Hiszpana: smagłą, o dużych czarnych oczach, o jedwabistych kruczych włosach, o małych pięknych ustach i orlim nosie. Ze spokojną pewnością siebie wyminął zręcznie labirynt wyciągniętych nóg, ruchem ręki wskazał służącemu miejsce, gdzie ma złożyć bagaż, zdjął kapelusz, uklonił się zebrany, po czym podszedł do lady i podał swe nazwisko: Henry Buttler z Ocklandu hrabstwa Shelby. Odwróciwszy się, zauważył ogłoszenie, podszedł i przeczytał.

– Jim – rzekł następnie do służącego – zdaje mi się, że spotkaliśmy tego niewolnika. Przeczytaj i powiedz mi, co myślisz o tym.

– Tak, to prawda, panie – odpowiedział Murzyn. – Nie zwróciłem tylko uwagi na piętno.

– Ja również – odezwał się Henry Buttler, po czym zwrócił się do gospodarza i poprosił o osobny pokój.

Na znak gospodarza służba pospieszyła przygotować najlepszy pokój dla bogatego na pozór znamienitego gościa. Ten tymczasem usiadł spokojnie i zagadnął swego sąsiada.

Fabrykant Wilson od pierwszej chwili nie spuszczał oka z przybysza. Wydawało mu się, że spotkał go już kiedyś, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Wkrótce jednak przypomniał sobie i zaczął się wpatrywać w młodego człowieka takim smutnym i wylękniętym wzrokiem, że zwrócił na siebie jego uwagę.

– A, mister Wilson! – zawołał Henry Buttler, podchodząc doń i podając mu rękę. – Ledwo pana poznałem. Ileż to czasu nie miałem szczęścia widzieć pana... Może mnie pan już zdążył zapomnieć? W takim razie pozwoli pan, że się przypomnę. Jestem Henry Buttler z Ocklandu z hrabstwa Shelby.

– Pamiętam już, pamiętam... Bardzo mi miło – wymamrotał mr. Wilson.

Kelner wrócił i oznajmił, że pokój jest gotowy.

– Mr. Wilson, chciałbym panu powiedzieć coś interesującego. Czy nie byłby pan łaskaw wstąpić do mego pokoju na chwilę? – zapytał Buttler.

Starzec wstał i poszedł za młodym elegantem. Numerowy zaprowadził ich do obszernego pokoju na drugim piętrze.

Młody człowiek stanął przed mr. Wilsonem i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zajrzał mu prosto w oczy.

– Jerzy, to ty? – krzyknął starzec, cofając się o krok.

Czytelnicy moi prawdopodobnie domyślili się, że młody wytwornis jest mężem Elizy, że to jego rysopis był podany w ogłoszeniu.

– Tak, to ja – odpowiedział spokojnie.

– Tak mi się zdawało, ale nie chciałem zaufać swym zmysłom...

– Tak, przebrałem się znakomicie – z uśmiechem powiedział mulat. – Przyciemniłem sobie trochę twarz, aby wyglądać na Hiszpana i poczereniłem włosy. W ten sposób nikt nie posądzi mnie o identyczność z poszukiwanym niewolnikiem.

– O, Jerzy, rozpoczęłeś niebezpieczną grę.

– Nie szkodzi. Jeśli przegram, zapłacę głowę.

Trzeba zaznaczyć, że ojciec Jerzego był białym, matka zaś jedną z owych pięknych czarnych niewolnic, które są zdane na łaskę kaprysów i pożądań swych tyranów. Ojciec Jerzego należał do jednej z najstarszych i najszlachetniejszych rodzin w Kentucky i Jerzy

odziedziczył po nim swą piękną, arystokratyczną, na wskroś europejską powierzchowność, swój świetny umysł i nieugiętą dumę.

Mister Wilson walczył ze sobą: chciał pomóc Jerzemu, a jednocześnie brzydził się wykroczeń i bezprawia.

– A więc uciekłeś, Jerzy? – odezwał się po krótkiej pauzie. – Wiesz, że to mnie bardzo martwi... Jako człowiek szczery, muszę ci to powiedzieć.

– Czemu to pana martwi? – uśmiechnął się Jerzy.

– Ponieważ naruszyłeś prawo swego kraju – odparł Wilson.

– Czy można mówić o moim kraju? – zapytał z goryczą mulat. – Nie znam innego kraju poza mogiłą, w której dawno bym już chciał spocząć.

– Nie należy tak mówić. Twoje słowa dyktuje pycha, potępiona przez Pismo Święte...

– Niech się pan nie powołuje na Pismo Święte – zawołał Jerzy z groźnym błyskiem w oczach. – Odwołuję się bezpośrednio do Pana Boga i proszę Go, aby osądził, czy popełniam grzech, szukając wolności osobistej...

– Rozumiem cię, Jerzy – rzekł wzruszony fabrykant. – Ale poczuwam się do obowiązku powstrzymać cię od błędnej drogi. Doprawdy, to ryzykowna i niebezpieczna próba i wątpię, czy ci się powiedzie. Jeśli cię schwytają, będziesz ostatecznie zgubiony. Skatują cię w najstraszliwszy sposób, a potem sprzedadzą na Południe.

– Wiem o tym, mister Wilson – odparł spokojnie Jerzy i pokazał ukrytą pod surdudem parę pistoletów i nóż myśliwski. – Oto moja odpowiedź, żywcem mnie nie wezmą. Albo wolność, albo sześć stóp ziemi.

– Ach, Jerzy, co ty mówisz... Zastanów się: wykraczasz przeciwko prawom swego kraju.

– Znowu *meo* kraju! Niechże pan zrozumie, że wy, ludzie wolni, macie swój kraj, ale nie my, niewolnicy. I jakie możemy mieć prawa? Sami praw nie stanowimy, a tych, które się nam narzuca, nie możemy uznać, ponieważ służą jedynie do ujarzmiania nas. Niech mnie pan uważnie wysłucha, a dopiero potem niech pan mnie osądzi... Przede wszystkim proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie; czyż nie jestem takim samym człowiekiem, jak pan? O tak, jestem taki sam, jak wszyscy ludzie. Ojciec mój był tutejszym arystokratą, ale dbał o mnie tyle, że po jego śmierci sprzedano mnie wraz z końmi i psami, aby spłacić długi nieboszczyka. Sprzedano również matkę moją i wszystkie jej dzieci. Każde otrzymało innego właściciela. Gdy na licytacji nastąpiła na mnie kolej, matka rzuciła się do nóg mego nabywcy, błagała go, aby kupił ją także, aby nie odrywał jej od ostatniego dziecka. W odpowiedzi odrzucił ją kopnięciem. Widziałem jak matka upadła, zalewając się krwią. Słyszałem jej rozdzierające serce krzyki i szlochanie, gdy nabywca przytroczył mnie do siodła, aby mnie zabrać ze sobą...

– Ach, jakie to straszne!

– Starszą siostrę, dziewczynę wyjątkowej urody, kupił mój pan. Z początku bardzo się z tego cieszyłem. Ale wkrótce stała się dla mnie źródłem nowych katuszy: słyszałem, jak ją nieustannie okrutnie torturowano. I ja nie mogłem jej pomóc! A wie pan, mr. Wilson, dlaczego znęcano się nad nią? Ponieważ broniła dziewiczego honoru, którego wasze prawa odmawiają niewolnicom! W końcu skuto ją z partią niewolników i wysłano na rynek do Nowego Orleanu. Od tej pory nie wiem, co się z nią stało... Tymczasem rozwijałem się mimo niesprzyjających warunków. Upłynęły lata, długie lata. Nie miałem ojca, ani matki, ani siostr, ani braci – słowem nikogo, kto by mnie przytulił do siebie i pocieszył. Nie doznałem nic prócz uderzeń, głodu i chłodu... Tak, mr. Wilson, byłem tak wygłodzony, że zbierałem kostki, którymi gardziły psy. I nikt nie powiedział mi dobrego słowa, dopóki nie oddano mnie do pańskiej fabryki... Potem spotkałem swoją piękną żonę. Wie pan, jaka ona piękna i dobra? Pobraliśmy się. Byłem szczęśliwy. Niestety – niedługo. Właściciel zabrał mnie z fabryki i kazał mi harować na roli. Żeby mnie ostatecznie poniżyć i torturować, zażądał, abym rzucił żonę i poślubił inną niewolnicę... Widzi pan zatem, że nie było takiej podłości, takiego

okrucieństwa, takiej niesprawiedliwości, której nie dopuszczałaby wasza sprawiedliwość. I wy wymagacie, abym szanował kraj, w którym obowiązują takie prawa! Nie, to nie jest *mój* kraj. Ojczyzną moją będzie Kanada, jeśli dotrę tam, albowiem prawa tamtejsze będą mnie bronić. Do ostatniej kropli krwi będą walczył o wolność. Tak walczyli moi przodkowie, ojcowie mego ojca, tak ja będę walczył.

Podczas przemowy Jerzy chodził z kąta w kąt i żywo gestykulował. Oczy jego to zachodziły łzami, to zapalały się groźnymi błyskami. Słuchacz jego był wzruszony. Miał łzy w oczach.

– A propos, gdzie jest pańska żona? – zapytał.

– Uciekła z naszym dzieckiem, mr. Wilson i nie wiem, gdzie się teraz znajduje. Być może, nigdy się już nie zobaczymy na tym świecie. Mister Shelby zabrnął w dług. Aby się z nich wywikłać, nie wahał się skorzystać z praw tego kraju, pozwalających odrywać dzieci od matek! – z goryczą odpowiedział Jerzy.

– Jakie to wszystko okropne! – mruzczał fabrykant, szperając w kieszeniach – masz rację, mój drogi... Proszę cię, weź to – dodał, podając Jerzemu paczkę banknotów – to ci się może przydać.

– Nie, nie, dziękuję, drogi mój panie Wilson – zawołał Jerzy. – Nie przyjmuję. Uczynił pan dla mnie wiele dobrego. Nie chcę, aby pan się kompromitował. Dziękuję z całego serca, ale ofiary nie przyjmę. Przypuszczam, że mi wystarczą te pieniądze, które mam.

– Bierz, bierz, Jerzy. Proszę cię bardzo. Zrób mi tę przyjemność, mój chłopcze.

– Jeżeli to panu sprawia przyjemność, to przyjmę, ale pod warunkiem, że pozwoli mi pan zwrócić dług, skoro się urządzę w wolnym kraju.

– Ależ tak... Muszę ci jednak powtórzyć, że narażasz się, rozjeżdżając otwarcie po kraju. Cóż to za Murzyn towarzyszy ci?

– Człowiek pewny. W zeszłym roku uciekł do Kanady, ale wrócił, ponieważ dowiedział się, że właściciel mści się na jego matce. Wrócił, aby przy pierwszej lepszej sposobności uciec wraz ze swą matką.

– I co się z nią stało?

– Jest jeszcze u właściciela. Nie mógł jej dotychczas oswobodzić. Tymczasem odprowadzi mnie do Kanady i tam poleci swym przyjaciółom, a potem wróci tu po matkę.

– Zdumiewacie mnie swą odwagą, Jerzy. Jakże mogłeś tak śmiało wkroczyć do przepełnionej oberży. Mógł tu być jakiś znajomy...

– Czyż poznałby mnie? Jim jest też pewny, gdyż właściciel jego mieszka po tamtej stronie. Zresztą dawno już zaniechano poszukiwań za Jimem.

– A piętno na twojej ręce?

– Otóż i ono – odparł mulat i, zdjawszy rękawiczkę, pokazał świeże piętno. – To ostatni znak życzliwości i dobroci mego właściciela... Nie będę pana dłużej tu zatrzymywał. Przenocuję w tej gospodzie, a nazajutrz rano wyruszę w drogę. Spodziewam się, że następną noc spędzę po tamtej stronie Ohio. Będę podróżował w dzień, będę zajeżdżał do najbardziej uczęszczanych hoteli i jadał przy wspólnych stołach. Najlepszy to sposób uniknięcia podejrzeń... Żegnaj pan, drogi panie, dziękuję panu za wszystko i życzę wszystkiego najlepszego... Jeśli usłyszysz pan, że mnie schwytano, to wiedz, że nie żyję.

Wymienili ze sobą serdeczny uścisk dłoni. Mister Wilson po omacku kierował się ku wyjściu. Było dosyć jasno, ale wzruszenie przesłoniło mu oczy mgłą.

Jerzy w zamyśleniu odprowadzał go wzrokiem. Naraz błysnęła mu w głowie jakaś myśl. Dogonił starca i wprowadził go z powrotem do pokoju. Zamknął za nim drzwi i z wysiłkiem powiedział:

– Mister Wilson, przyznaję panu słuszność: istotnie narażam się na wielkie niebezpieczeństwo. Oprócz mojej żony nie mam nikogo, kto by się przejął moją śmiercią i pożałował mnie... Tak, a ona będzie się zamartwiać i tęsknić, ponieważ kocha mnie. Proszę

pana bardzo, jeśli się dowiesz, gdzie moja żona się znajduje to prześlij jej tę szpilkę, którą mi podarowała na Boże Narodzenie... Z zapewnieniem, że kochałem ją do ostatniej chwili życia... Czy zechce pan wyświadczyć mi tę przysługę?

– O, przyjacielu, rozumie się, o ile mi się tylko uda! – odpowiedział starzec, ujmując drżącymi palcami szpilkę i połykając łzy.

– Niech jej pan powie, że pragnę, aby na zawsze została w Kanadzie, o ile tam tylko dotrze. Niech jej pan powie, aby wychowała naszego syna jako wolnego obywatela kraju wolności.

– Dobrze, Jerzy, wykonam twoje polecenie. Ale da Bóg, że szczęśliwie dotrzesz do Kanady. Wszechmocny nie odmówi ci pomocy. Miej nadzieję w Bogu...

– Czy istnieje taki Bóg, w którym można pokładać ufność?! – zawołał Jerzy z taką rozpaczą, że fabrykant przestraszył się. – Nie przeczę, że dla was istnieje Bóg, ale czy jest on naszym Bogiem?

– Nie bluźnij, mój synu. Bóg istnieje, istnieje, to nie ulega wątpliwości. Otoczony chmurami i mrokiem, ale tronem jego jest prawda i sprawiedliwość. Jeżeli nie na tym świecie, to na tamtym dobro zatriumfuje, a zło zostanie ukarane!

Jerzy zastanowił się, po czym rzekł:

– Dziękuję panu za słowa pociechy.

Rozstali się w milczeniu.

ROZDZIAŁ XII

Na licytacji i na okręcie

Handlarz niewolników i jego ofiara mknęli traktem, zatopieni w rozmyślaniach.

Halley, ogarniając Toma spojrzeniem znawcy, taksował go w myślach i kalkulował, ile można na nim zarobić.

Tom zaś wspominał teksty Pisma Świętego, które by pozwoliły mu łatwiej znosić przeciwieństwa losu.

Handlarz wyciągnął z kieszeni kilka gazet i z uwagą zaczął przeglądać ogłoszenia.

„Wyprzedaż licytacyjna Murzynów. W zgodzie z decyzją sądu z dnia 20 lutego przed Pałacem Sprawiedliwości w mieście Washington w stanie Kentucky odbędzie się wyprzedaż z licytacji następujących Murzynów: Hagar – lat 60, Johna – lat 30, Bena – 21, Saula 25, Alberta – 14. Wyprzedaż odbędzie się na korzyść wierzycieli i spadkobierców Jessy Blackforda”.

– Trzeba będzie pojechać na tę licytację – odezwał się na głos Halley – a więc najbliższy kierunek – Washington. Skoro tylko przybędziemy do miasta, zamknę cię, dopóki nie załatwię swych interesów.

Tom zachował milczenie i tylko pomyślał: na pewno ci wszyscy wystawieni na sprzedaż niewolnicy mają bliskich, rodziców, żony, dzieci, z którymi także trudno im będzie się rozstać! Poza tym obrażała go nieufność handlarza, wiedział bowiem zbyt dobrze, że jest nieuzasadniona.

Wieczorem Halley i jego milczący towarzysz przyjechali do Washingtonu. Halley zostawił Toma w więzieniu, sam zaś zajechał do najlepszego hotelu. Nazajutrz, 20 lutego ogromny tłum zebrał się przed Pałacem Sprawiedliwości.

Niewolnicy tworzyli osobną grupkę. Hagar, prawie że ślepa wyglądała bardzo staro, starzej, niż na lat sześćdziesiąt. Była zgarbiona i ledwie trzymała się na spuchniętych z reumatyzmu nogach. Przy niej siedział jej syn, Albert, ładny i zdrowy czternastoletni chłopak.

Było to ostatnie dziecko, które jej zostawiono; pozostałe dzieci sprzedano już dawno na Południe. Trzymając na głowie chłopca drżącą rękę, z przerażeniem patrzyła na każdego; kto zbliżał się i oglądał go.

– Nie lękaj się, ciotko Hagar – szepnął jej na pocieszenie John – mister Tomasz jest poczciwym człowiekiem i przyrzekł sprzedać was jednemu nabywcy.

– A jużci, mogę się jeszcze przydać – odpowiedziała Hagar – umiem gotować, myć, szyć... Jeśli kupią mnie tanio, to nic na tym nie stracę...

W tej chwili do gromadki podszedł Halley. Rzucił przelotne spojrzenie na cały transport „towaru”, po czym przysunął się do Johna, otworzył mu usta, zajrzał, pomacał dziąsła i zęby, potem kazał Murzynowi wyprostować się i przerobić kilka ruchów gimnastycznych, które by pozwoliły określić siłę jego mięśni. Następnie przeszedł do innych i poddawał ich również szczegółowemu badaniu. Gdy kolej doszła do Alberta, matka jego z niepokojem odezwała się:

– Ten chłopak nie będzie sprzedany beze mnie. Nas sprzedają razem. Jestem jeszcze silna i mogę pracować, ciężko pracować.

– Możesz pracować na plantacjach? – odpowiedział szyderczo Halley – od razu widać jaka z ciebie robotnica!

Zadowolony z żartu zapalił cygaro, włożył kapelusz na bakier i wsunął ręce do kieszeni.

– Jak się panu towar podoba? – zapytał go jeden z licytatorów Tomasz Flint.

– Niczego sobie. Wziąłbym cały transport z wyjątkiem tej starej ruiny.

– Ale chcą ją sprzedać razem z chłopcem – zauważył licytator.

– Komu może przydać się stara wiedźma? – odpowiedział ze śmiechem handlarz. – Niewarta nie tylko chleba, który trzeba jej będzie dawać, ale nawet szczypty soli.

– A zatem nie bierze jej pan?

– Oczywiście, że nie. Co ja, wariat jestem, aby płacić za taką starzyznę i utrzymywać ją! Nie, pokorny sługo, nie jestem takim głupcem.

– A jednak i takie znajdują swych amatorów. Ona może się jeszcze przydać do różnych robót; przy tym sprzedadzą ją za grosze.

– Nawet za darmo jej nie wezmę!

– Szkoda, wielka szkoda! Chłopiec jest najmłodszym synem i ostatnim z licznej rodziny. Powiadają, że stara jest tak do niego przywiązana, iż umrze, gdy się ich rozłączy.

– Zbyt ciężko pracuję, aby trwonić pieniądze na filantropię. Zresztą już dawno powinna była zdechnąć; na pewno na tamym świecie szukają jej ze świeczką. Nie ma już o czym mówić. Chłopca kupię, aby go sprzedać na plantacje. Będzie z niego korzyść.

– Biedna kobieta! Jakże będzie cierpiała!...

– Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

W tej chwili nadszedł taksator.

Hagar odruchowo uściśnęła syna.

– Nie odchódź ode mnie mój kochany. Sprzedadzą nas razem.

– O mamo, lękam się, że nie – odpowiedział chłopak, patrząc na nią zażawionymi oczyma.

– Ależ na pewno – twierdziła starszuszka, pragnąc przekonać nie tyle syna, co siebie samą – nie może być inaczej... Umrę bez ciebie..

I oto taksator oznajmił, że licytacja się zaczyna. Wkrótce wszyscy niewolnicy, z wyjątkiem Hagar i jej syna zostali sprzedani po wysokich cenach, świadczących o wielkim popycie na tego rodzaju „towar”.

– Podejdź chłopcze, pokaż się! – zawołał wreszcie taksator.

– Niech pan nas razem sprzeda, błagam pana – zawołała Hagar.

– Milcz babo! – krzyknął brutalnie taksator. – Nie twoja rzecz, jak go sprzedamy... No chłopcze, podskocz trochę, pokaż swą zwinność!

Chłopiec pobiegł do estrady, wycierając łzy, które gradem spływały mu po policzkach. Za nim rozległ się rozdzierający jęk.

Albert miał wielkie powodzenie. Przetarg był bardzo ożywiony, handlarze przelicytowywali się, lecz w końcu zwyciężył Halley. Prócz chłopca nabył jeszcze dwóch dorosłych niewolników.

Chłopak podszedł do swego właściciela ze spuszczoną głową. Ale po chwili podniósł ją i spojrzał na drżącą z przerażenia matkę.

– Panie miłosierny, niech pan i mnie kupi... Na miłość Boską, niech mnie pan kupi... Ja umrę na pewno, jeśli pan mnie nie kupi! – krzyczała nieszczęśliwa matka, padając Halley’owi do nóg i chwytając go za ręce.

– O wiele prędzej umrzesz, jeśli cię kupię – odezwał się ze śmiechem handlarz.

Biedną staruszkę nabył sam licytator Tomasz Flint, który w duszy przyrzekł sobie uspokoić ją i ułatwić jej życie, o ile to będzie możliwe.

Tłum zaczął się rozchodzić. Żegnając się, sprzedani Murzyni otoczyli starą Hagar, której rozpacz nie miała granic.

– Wszystko jest w rękach Najwyższego. Nie trać nadziei ciotko Hagar – pocieszał ją John.

– Jaką jeszcze mogę mieć nadzieję? – odpowiedziała nieprzytomna z bólu.

– Nie mów tak, droga matko – odezwał się Albert. – Dzięki Bogu, że nabył cię dobry pan.

– Cóż mam z tego? Na co mi jego dobroć? – rozpacziała Hagar. – O, Albercie, drogie moje piskle! Ostatnie z gniazda!... Boże, co mam teraz...

– Zabierzcie ją! – rozkazał Halley – widzicie, że to ją tylko męczy...

Zakął kupionych niewolników w kajdany i zapędził ich do więzienia.

W kilka dni potem wsiadł z nimi na statek „Piękna rzeka”, odbywający kursy na rzece Ohio.

Statek wesoło sunął w dół rzeki. Pogoda była rozkoszna. Gwieździsta flaga wolnej Ameryki trzepotała w przezroczystym powietrzu. Radosna pogoda udzielała się pasażerom i załodze. Jedynie niewolnicy nie brali w tym udziału; siedząc lub leżąc na pakach bagażowych, półszepem opowiadali sobie swoje smutne przeżycia.

– Chłopcy! – zawołał z góry Halley – mam nadzieję, że nie nudzicie się razem! W każdym razie starajcie się, abym nie ujrzał ponurych gęb. Jeśli będziecie się zachowywać jak należy, to nic złego wam się nie stanie.

Ale czyż mogli nie mieć „ponurych gęb”, skoro oderwano ich od najdroższych osób, chyba już na zawsze?!

Na jednym z przystanków któryś z licznych agentów Halley’a wywołał go na brzeg. Wkrótce handlarz wrócił w towarzystwie Murzynki z dzieckiem.

Nowa pasażerka usiadła na pokładzie i zaczęła się bawić z dzieckiem. Halley podszedł do niej i powiedział jej z obojętną miną kilka słów. Murzynka przeraziła się i zawołała:

– Nie, to niemożliwe! Nie mogę uwierzyć!

– Jeśli nie wierzysz mi, to chyba uwierzysz dokumentom – odparł Halley, pokazując jej jakiś papier. – Jest to akt kupna stwierdzający, że pan twój sprzedał kobietę Lucy i jej dziecko handlarzowi Halley’owi.

Nieszczęsna kobieta krzyknęła i zemdląca.

Ocucona przez Halley’a, zaczęła gorzko płakać.

– Jakże mnie podstępnie oszukano! – płakała – mój pan zapewniał mnie, że wysyła mnie do Luisville do restauracji, gdzie pracuje mój mąż... Tak się cieszyłam, tak się cieszyłam!

Wytarła łzy, przycisnęła do siebie dziecko, usiadła na kuferku i wbiła nieruchome spojrzenie w rzekę.

– Bogu dzięki, z tą niewiele będzie kłopotu – pomyślał Halley.

Istotnie, młoda niewolnica uspokajała się w miarę oddalania od brzegu. Chłopczyk siedząc na jej kolanach ze śmiechem wyciągnął ręce do krążących w powietrzu ptaków.

- Miłe dziecko – zagadnął niewolnicę, któryś z pasażerów – ile ma miesięcy?
- Dziewięć i pół – odpowiedziała Lucy.

Pasażer oglądał go przez chwilę, po czym podszedł do Halley'a i rzekł:

– Nabył pan doskonały towar. Dziewczyna jest wcale niezła, a dziecko wyrośnie na olbrzymia. Zamierza pan wywieźć na Południe?

Halley skinął potakująco.

– Na plantacje? Ale gdzie ona podzieje dziecko? – kontynuował nieznajomy.

– Sprzedam je przy pierwszej sposobności.

– Ile pan żąda? Może bym go wziął. Skoro pan chce go się pozbyć, daję panu dziesięć dolarów.

– Co, pan drwi ze mnie? – odpowiedział z godnością Halley – za rok wart będzie sto dolarów, a za dwa lata – dwieście. Teraz oddałbym go za pięćdziesiąt, ani centa mniej.

– To pan się ze mnie śmieje! Dam panu najwyżej trzydzieści dolarów. Nie opuszczę ani centa.

– Opuszczam pięć, więcej nie mogę!

– No, niech i tak będzie – zgodził się nieznajomy – chłopczyk wpadł mi w oko.

– Gdzie się pan zatrzymuje?

– W Luisville.

– Doskonale. Przybędziemy tam o zmroku. Chłopak będzie spał. Weźmiemy go ukradkiem, trzeba tylko będzie uspić czujność matki.

Wieczorem, gdy statek przybył do Luisville, nabywca dziecka podszedł do Lucy i rzekł:

– Słyszałem, jak mówiłaś, że mąż twój pracuje w restauracji w Luisville. Może wysłano go na przystań po gości. Idź na schody i rozejrzyj się. Ja tymczasem potrzynam dziecko.

Lucy bez wahania oddała mu dziecko i wybiegła na schodki. Nieznajomy zaś porozumiewawczo skinął Halley'owi, wmieszał się w tłum i niezauważony przez Lucy opuścił statek.

Skoro statek odbił od brzegu, rozczarowana Murzynka wróciła na miejsce, gdzie stał nieznajomy z dzieckiem. Ale tu zastała jedynie Halley'a.

– Moje dziecko... gdzie jest moje dziecko? – zawołała przerażona.

– Nie ma go już na statku – odpowiedział Halley – skorzystałem z okazji i sprzedałem go w dobre ręce.

Serce Halley'a dawno już się obróciło w kamień. Rozpacz Lucy nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Lękał się tylko skandalu.

Ale Lucy nie zamierzała wywoływać skandalu. Nowy, nieoczekiwany cios całkowicie sparaliżował jej wolę. Osunęła się bezwolnie na kuferek i zastygła w bolesnym, pełnym niewypowiedzianej rozpacz bezruchu.

Jednak Halley nie był spokojny. Krążył dookoła niej i obrzucał ją strwożonym spojrzeniem. Niepokoił go jej zbyt spokój i milczenie.

Tom, który był świadkiem całego incydentu, litował się nad biedną kobietą, nie mogąc jej pomóc. Zbliżył się do niej i uspokajał ją słowami pociechy. Ale biedna kobieta odpowiedziała mu cichym, przeciągłym jękiem. Tom usadowił się przy niej, złożył ręce na jej głowie i cichym, nabrzmiałym od łez głosem, zaczął jej prawić o Bogu, o Jego bezgranicznym miłosierdziu. Ale był to głos wołającego na puszczy. Czy Lucy mogła w tej chwili przejąć się słowami Toma?!

Powoli cisza zaległa okręt. Pasażerowie ułożyli się do snu, aby ze świeżym zapasem sił przystąpić nazajutrz do nowych wrażeń. Nie rozlegał się żaden dźwięk, prócz huku maszyn i plusku rzeki. Tom zdrzemnął się na worku z wełną, w pobliżu nieszczęsnej Lucy. Tylko ona, podstępnie oszukana żona i matka, nie zmrznięła oka tej nocy na statku.

Nad ranem Tom ocknął się zniemacka. Zdawało mu się, że wyminął go jakiś czarny cień i z hukiem wpadł do wody. Rozejrzył się wokoło – na miejscu, gdzie siedziała Lucy, nie było

nikogo. Przerażony niewolnik pytał się majtków, czy nie widzieli Murzynki – odpowiedzieli przecząco. Tylko sternik słyszał jakiś głuchy dźwięk. Tom z rozpaczą w sercu wrócił na swe miejsce i zmówił modlitwę za biedną desperatkę.

Samobójstwo Lucy nie wzruszyło Halley'a. Przywykł do tego rodzaju nieszczęśliwych wypadków. Nie obchodził go los niewolnicy – zasmucała go jedynie strata pieniędzy. Skreślił Lucy z listy i zastanowił się nad sposobem powetowania straty.

ROZDZIAŁ XIII

U kwaków

Teraz przejdziemy do innego, bardziej sielankowego obrazu. Wejdziemy do przestronnej, jasnej i czystej kuchni o dwóch oknach i doskonale zaciągniętej pastą podłodze. W dużym starannie wybielonym piecu wesoło trzeszczy płomień. Na półkach moc naczyń. Między oknami stoi okrągły stół i kilka krzeseł, przy ścianie ustawione są stołki i fotel bujający.

Na krześle siedzi nasza dawna znajoma Eliza i zajmuje się ręczną robótką. Schudła bardzo i pobladła. Ale za to spojrzenie, którym śledzi wesoło bawiącego się na podłodze syna, nabrało stanowczego i bardziej świadomego wyrazu.

Obok niej starsza kobieta przemycza brzoskwinie. Mimo sześćdziesięciu lat, zachowała młodą jeszcze i dostojną urodę. Z kroju szarej sukni, z białego czepka i długiego szala, zarzuconego na plecy, można wnosić, że należy do sekty kwaków.

Mrs. Rachela Haliday, kołysząc się na skrzypiącym z lekka fotelu odezwała się do Elizy:

– Więc chcesz koniecznie uciec do Kanady?

– Tak, pani – odpowiedziała stanowczo Eliza – tu grożą mi liczne niebezpieczeństwa. Zajmę się tam byle czym. Mam nadzieję, że Bóg mnie nie opuści.

– A jednak szkoda mi się z tobą rozstać. Wiesz, że możesz u nas być, dopóki zechcesz.

– Dziękuję pani z całego serca za dobroć. Ale naprawdę boję się tu zostać. Stale mi się wydaje, że wróg krąży wokół domu.

– Biedna kobieta! – szepnęła mrs. Rachela, ocierając oczy. – I po co smucić się i niepokoić bez powodu!

W tej chwili na progu stanęła mała, pełna kobietka o wesołej, okrągłej i rumianej twarzyczce. Była ubrana tak samo jak Rachela Haliday.

– Rut! – zawołała gospodyni podnosząc się – jak się masz?

– Dzięki Bogu, dobrze – odpowiedziała wymieniona, starając się daremnie ukryć pod kwakerskim czepkiem sploty ciężkich i gęstych warkoczy.

– Rut, to twoja nowa przyjaciółka, Eliza Harris i jej mały synek – rzekła gospodyni.

– Bardzo mi miło poznać cię, Elizo – rzekła Rut, mocno potrząsając ręką Elizy. – Jaki wspaniały chłopak!

– A gdzie twój synek, Rut? – zapytała mrs. Rachela.

– Przeprowadziłam go, ale twoja Mary wyrwała mi go z rąk. Nie zdążyła wypowiedzieć ostatniego słowa, gdy młoda, kwitnąca zdrowiem dziewczyna, podobna do Racheli, wbiegła do kuchni, trzymając na ręku prześlizgniętą niemowlę.

– Otóż i on! – zawołała gospodyni – jak on się szybko rozwija!

Po chwili nadszedł gospodarz, Szymon Haliday, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Nosił szarą sukieną kamizelkę, takie same spodnie i szeroki szary kapelusz.

– Jak się miewasz i co porabia John? – zapytała Rut.

– Dziękuję, John i my wszyscy jesteśmy zdrowi.

– Czy dowiedziałeś się czegoś nowego? – zagadnęła męża Rachela.

– Piotr chce dziś wieczorem przyjść do nas z przyjaciółmi.
 – Tak! – odpowiedziała żona, patrząc w zamyśleniu na Elizę.
 – Nazywasz się Eliza Harris, prawda? – zwrócił się gospodarz do mulatki.
 Eliza potwierdziła.
 – Chodź matko do sieni – rzekł do żony.
 – Cóż się stało? – zapytała, idąc za nim.
 – Mąż Elizy jest w naszej kolonii i dziś wieczorem przyjdzie do nas.
 – Dlaczegoś jej nie powiedział?
 – Chciałem się ciebie poradzić. Piotr był wczoraj w sąsiedniej kolonii i spotkał tam zbiegłych, starą Murzynkę i dwóch mężczyzn. Jeden z nich nazywa się Jerzy Harris. Z tego co mówił wnoszę, że to mąż Elizy. Jak myślisz, czy od razu jej powiedzieć?
 – Poradzimy się Rut – odpowiedziała Rachela. – Rut, przyjdź na chwilę.
 – Oczywiście, że powinniście jej natychmiast powiedzieć – rzekła Rut, dowiedziawszy się co się święci – chodźcie prędzej, Eliza będzie szczęśliwa!
 Rachela wróciła do Elizy i zaprowadziła ją do sypialni. Zbiegła niewolnica, spodziewając się jakiejś złej nowiny, drżała ze strachu i zniecierpliwienia.,
 – Nie lękaj się Elizo. Czeką cię radość, a nie ból... Chodźże prędzej.
 W sypialni Rachela podbiegła do Harry’ego, uniosła go w górę, pocałowała i rzekła:
 – Ciesz się, chłopcze! Dzisiaj zobaczysz swego ojca! Ojciec twój przyjdzie tu! Rozumiesz?
 Chłopiec patrzył na nią ze zdumieniem, Eliza na przemian rumieniała się i bladła. Była tak wzruszona, że nie mogła się utrzymać na nogach. Osunęła się ciężko na krzesło i zemdląła.
 Wkrótce odzyskała przytomność. Rut cuciała ją, pocierając jej ręce. Elizie zdawało się, że ciężki głaz stoczył się jej z serca. Teraz dopiero mogła wypocząć po długich cierpieniach. Poczuli się zmęczeni. Siedziała z otwartymi oczyma, a jednak wszystko co się działo dookoła, zdawało jej się snem. Widziała jak nowe przyjaciółki krzątały się po pokoju, po czym zasiadły do herbaty. Słyszała niewyraźne szepty rozmowy, brzęczenie łyżeczek, tykanie zegara ściennego. Potem wszystkie te dźwięki zlały się w usypiający słodki szmer. Zasnęła mocnym, spokojnym snem, po raz pierwszy od czasu straszliwej ucieczki.
 Śniła się jej jasna, szczęśliwa kraina, pełna szemrzących strumyków i zielonych łąk. Na miękkiej murawie wznosił się niewielki biały domek. Przed domkiem bawił się Harry. Potem śniło jej się, że słyszy kroki męża, słyszy, jak podchodzi do niej i całuje. Obudziła się i oto w istocie przy słabym świetle świecy ujrzała męża. Siedział przy niej i płakał ze szczęścia na widok żony i dziecka, których już nie spodziewał się zobaczyć.
 Trudno opisać radość, jaka zapanowała w tym domu. Otaczano zbiegłą parę wszelkimi względami i rodzicielską pieczołowitością. Pod wpływem dobroci gospodarzy, niebawem zapomnieli oboje o przebytych cierpieniach.
 – Bądź spokojny, przyjacielu – uspokajał gospodarz Jerzego. – O godzinie dziewiątej przyjdzie Fineasz Fletcher i zaprowadzi was do następnego osiedla. Chętnie byśmy udzielili wam dłuższej gościny, ale to może być niebezpieczne, ponieważ w pobliżu krążą wasi prześladowcy.

ROZDZIAŁ XIV

Ewa

Ostatnie promienie słońca padały na rzekę, na trzcinę nadbrzeżną i smukłe cyprysy. Tom siedział na worku i czytał Biblię. Zjednał sobie zaufanie Halley’a, załogi statku i wszystkich

towarzyszy niedoli. Skromny i greczny był niezmiernie usłużny: pomagał majtkom i starał się ulżyć doli niewolników.

Patrząc na brzeg, widział niekończące się plantacje. Widział, jak od rana do nocy pracują niewolnicy, widział ich nędzne lepianki i nieco opodał dumne pałacyki plantatorów. Gdy zamykał oczy, widział przed sobą żonę, krzątającą się w chatce, widział dzieci i słyszał ich wesoły śmiech. Ale oto czyjś ostry głos zakłócił spokój i Tom otwierał oczy i znowu oglądał niekończące się plantacje, zroszone potem i krwią jego rodaków. I z głębokim westchnieniem myślał, że ubiegłe rajskie życie skończyło się dlań na zawsze.

Nic dziwnego, że na kartki Biblii kapały gorące łzy Toma. Szczególnie często czytał miejsca przywołujące mu w pamięci stracone radości rodzinne i mówiące o wynagrodzeniu w pozagrobowym życiu przebytej udreki.

Na tym samym statku jechał pewien młody i bogaty ziemianin z Nowego Orleanu. Nazywał się Saint Clare. Jechał z małą dziewczynką pięcio- czy sześćioletnią i ze starszą panią, krewną swoją, która opiekowała się dzieckiem.

Tom kilkakrotnie widział dziewczynkę. Była tak żywa i płocho, że chyba łatwiej było utrzymać na miejscu słoneczny promyk lub tchnienie wiatru. A przy tym była tak miła, że wystarczyło ją zobaczyć, aby polubić.

Niezwykle delikatna, jak gdyby z powietrza utkana wydawała się niezmierną zjawą. Jej śliczna twarzyczka miała wyraz marzycielstwa i dobroci anielskiej. Cała jej wiotka i pełna wdzięku postać była niezwykle proporcjonalna, wykwintna i szlachetna. Najbardziej jednak zastanawiały ogromne, zamysłone, błękitne oczy. Mimo ich zapatrzenia uśmiech nie schodził z drobnych usteczek dziewczynki; jej srebrzysty śmiech i dźwięczny głos brzmiały jak najśladza melodia.

Tom poczuł niezwykłą sympatię do dziewczynki. Wydała mu się uosobieniem jednego z owych aniołów, o których wspomina Pismo Święte. Widział z jakim smutkiem i litością dziewczynka spoglądała na nieszczęsnych niewolników. Czasem przynosiła im łakocie, które dawał jej ojciec albo ciotka.

Tom nie śmiał jej zagadnąć. Miał jednak inny sposób ściągnięcia na siebie uwagi dziewczynki: umiał wyrabiać z byle czego przeróżne zabawki. Po kilku dniach oboje zaprzyjaźnili się serdecznie i spędzali ze sobą długie godziny.

– Dokąd jedziesz, wuju Tomie? – pytała go malutka, której na imię było Ewa.

– Nie wiem, miss Ewa.

– Jak to nie wiesz? Dlaczego?

– Ponieważ nie wiem jeszcze, komu mnie sprzedadzą.

– Papa może cię kupić. Jeśli kupi cię, to będzie ci u nas bardzo dobrze. Dziś jeszcze poproszę go, aby to zrobił; na pewno mi nie odmówi.

– Dziękuję, droga malutka miss – odpowiedział wzruszony Tom.

Tymczasem statek zatrzymał się przy którejś przystani. Ojciec Ewy podszedł do schodów, malutka podbiegła doń z lekkością ptaka. Tom zaś podniósł się i zbliżył do majtków, aby im pomóc wnieść na statek drwa.

Ewa stała z ojcem przy schodkach, gdy statek zaczął odbijać od brzegu. Gwałtowne pchnięcie przewróciło ją z nienacką i strąciło do wody. Ojciec chciał się rzucić za nią, lecz powstrzymał go jakiś pasażer. Pomoc jego była już zbędna.

Na szczęście bowiem Tom był świadkiem wypadku. W mgnieniu oka skoczył za nią i schwycił ją w ostatniej chwili, gdy zaczęła tonać. Trzymając ją mocno dopłynął do statku, który wciąż się posuwał, albowiem nikomu na myśl nie przyszło zaalarmować maszynistę. Wreszcie statek zatrzymał się i setki rąk wyciągnęły się ku nieprzytomnej, ociekającej wodą dziewczynce. Zdawało się, że wszystkim była jednakowo droga i bliska. Ojciec zaniósł ją do damskiej kajuty, gdzie otoczyły ją wszystkie pasażerki.

Nazajutrz statek zbliżył się do celu – do Nowego Orleanu. Pasażerowie zbierali ręczny bagaż.

Tom stał na pokładzie i z niepokojem przyglądał się niewielkiej grupie, składającej się z Ewy, jej ojca i Halleya. Ewa przybladła nieco. Ojciec jej był do niej bardzo podobny: miał ten sam wyraz twarzy, takie same oczy i taką samą szlachetność gestów i manier. Tylko oczy spoglądały śmiało i przenikliwie. Z ironicznym uśmiechem słuchał Halley'a.

– Słowem – rzekł Saint Clare – chce mnie pan przekonać, że ten Murzyn składa się wyłącznie z cnót chrześcijańskich. No, gotów jestem uwierzyć panu. Ileż pan żąda za tą doskonałość? Niech pan mówi bez ogródek i od razu dobijemy targu.

– Jeżeli zażadam tysiąca trzystu dolarów, to będzie to zwyczajna zamiana jednej wartości na drugą. Mniej nie mogę.

– Rozumie się – odpowiedział ironicznie Saint Clare. – Żąda pan tak mało, ponieważ chce mi pan wyświadczyć grzeczność, prawda?

– Święta prawda, sir. Zauważyłem że malutka miss, pańska córeczka, pragnie gorąco, aby pan kupił tego Murzyna.

– A, teraz rozumiem pańską rycerskość! Ale żarty na bok, niech mi pan powie ostatnią cenę, aby nie tracić daremnie czasu i zbytecznych słów.

– Niech pan obejrzy jego szerokie barki i muskularne ręce i niech pan sam powie, ile jest wart. Niech pan spojrzy na potężną figurę. Od razu widać, że ma końskie siły. Niech pan przyjrzy się tej głowie, która świadczy o żywym umyśle i rozmaitych talentach. Muszę panu powiedzieć, że Tom zarządzał całą fermą tak wzorowo, że jego właściciel nie chciał go za nic sprzedać.

– Tym gorzej – uśmiechnął się Saint Clare – głupi Murzyn jest zawsze pewniejszy... No, tysiąc sto dolarów dam, nie więcej.

W końcu jednak przystał na żadaną sumę i dobił targu.

Po załatwieniu formalności Saint Clare podszedł do Toma, który siedział na uboczu z nisko spuszczoną głową, ujął go za podbródek i rzekł:

– Podnieś głowę, Tomie, spójrz na swego nowego właściciela i powiedz, czy ci się podobam?

Tom podniósł oczy. Piękne i dobrotliwe oblicze młodego mężczyzny wywarło na nim tak dobre wrażenie, że ze łzami radości odpowiedział:

– Niech pana Bóg błogosławi za dobroć!

– Spodziewam się tego. Czy umiesz powozić Tomie?

– Tak, panie. Nie tylko powozić, ale w ogóle obchodzić się z końmi.

– Więc mianuję cię woźnicą, ale pod warunkiem, że będziesz się upijał tylko raz na miesiąc, nie licząc, oczywiście uroczystych chwil.

– Ja nigdy nie piję – odparł Tom.

– O, znam na pamięć tę piosenkę i wiem co o niej myśleć. Nie chcę cię obrazić, mój drogi. Jestem pewny, że nie robisz nic złego i że na pewno pijesz mniej od innych.

– Wcale nie piję, panie.

– Dobrze, zobaczymy. Jeśli to prawda, to tym lepiej dla ciebie.

– Będzie ci u nas dobrze, wuju Tomie – wtrąciła Ewa – ojciec jest dobry, tylko lubi żartować.

– Dziękuję za rekomendację, moja droga – odparł Saint Clare, kłaniając się dziewczynce.

Po czym poszedł do kajuty po swoją krewną.

ROZDZIAŁ XV

Rodzina Saint Clare

Augustyn Saint Clare urodził się w stanie Luizjana, dokąd ojciec jego przeniósł się z Kanady. Matka jego była Francuzką; pochodziła z rodziny pierwszych kolonistów. Augustyn miał tylko jednego brata.

W dzieciństwie odznaczał się niewieścią, delikatnością i wrażliwością; lecz będąc chłopcem starał się ukryć te cechy charakteru pod maską chłodnej obojętności. Szczodrobliwie obdarzony przez przyrodę, upatrywał celu swego życia w dążeniu ku ideałom Dobra i Piękna.

Po skończeniu studiów Augustyn zakochał się na zabój w pięknej i niezwykle mądrej pannie, pochodzącej z Północy. Pozyskał jej wzajemność. Zareczył się z nią przed wyjazdem. Ale ledwo przybył do domu, otrzymał list od opiekuna ukochanej. Ten zawiadomił go, że ta, która zbyt pochopnie przyrzekła mu swą rękę, wyszła za mąż za innego. Augustyn omal nie oszalał z rozpaczy i gniewu. Postanowił za wszelką cenę zapomnieć o niewiernej. W dwa tygodnie później zareczył się z inną bardzo miłą dziewczyną, która przyniosła mu w posagu sto tysięcy dolarów. Znajomi zazdrościli mu szczęścia.

Pewnego wieczoru, podczas zabawy w rozkosznej willi młodej pary, służący podał Augustynowi list. Spojrzawszy na adres, Augustyn zbladł gwałtownie. Pod pierwszym lepszym pretekstem zostawił gości i wyszedł z salonu. W liście dawna narzeczona żaliła się Augustynowi na opiekuna, który prześladuje ją i domaga się, aby poślubiła jego syna. Narzekała również na brak odpowiedzi na liczne listy, które mu dotychczas wysyłała. Omal nie przyprawiło to jej o chorobę; w końcu dowiedziała się, że opiekun przejmuje jej listy. List kończył się zapewnieniami wiernej miłości.

Augustyn odpowiedział natychmiast. Oto, co napisał: „Otrzymałem list pani, lecz niestety! zbyt późno! Uwierzyłem w to wszystko, co mi napisał opiekun pani. Byłem w rozpaczy, jakiej nikomu nie życzę. Teraz jestem żonaty; wszystko skończone. Nic nam innego nie zostaje jak zapomnieć o sobie.”

Augustyn nie umarł z rozpaczy, jak to bywa w powieściach. Ale stracił wiarę w urok istnienia. Żona nie potrafiła tchnąć w niego nowego życia. Rychło przekonał się, że skazany jest na współżycie z domowym tyranem. Mary Saint-Clare była uosobieniem najbardziej wyszukanego egoizmu. Rozpieszczona w domu rodzicielskim, gdzie była jedynaczką, mając do usług cały sztab posłusznych niewolników, przyzwyczaiła się ulegać wszystkim swym kaprysom i nie uznawać żadnych przeszkód.

Ledwo minął miodowy miesiąc, życie ich stało się piekłem. Gderliwa małżonka uważała, że mąż za mało dba o nią; płakała często i żaliła się na swoje „nieszczęście”, Augustyn usiłował uspokoić ją podarunkami i przeróżnymi rozrywkami. Gdy zaś urodziła mu córkę, zaczął wmawiać w siebie, że kocha matkę swego dziecka.

Matka Saint Clare'a była mądrą i szlachetną kobietą. Augustyn, dobry syn, pragnął ochrzcić córkę imieniem swej matki. Lecz żona domagała się, aby dziecko nosiło jej imię. Ponieważ Augustyn nie chciał ustąpić, przez to zaczęła się nowa seria kłótni. Gdy zaś Augustyn postawił na swoim, Mary ze złości zaczęła udawać obłożnie chorą. Wkrótce uwierzyła sama w zmyślane niedomagania i poczuła się chorą. Wytworna dama zmieniła się w wiecznie stękającą, rozkapryszoną i nudzącą się sekutnicę, która całymi dniami nie zdejmowała szlafroka i nie podnosiła się z kanapy. Wskutek niezdrowego trybu życia zaczęła cierpieć na migrenę. W takiej sytuacji zaczęło podupadać gospodarstwo i Saint Clare korzystał z każdej okazji, by wyrwać się z domu.

Lecz córka podrasłała i coraz bardziej przypominała jego matkę. I oto odezwały się w nim z ogromną siłą uczucia ojcowskie. Ponieważ żona nie zajmowała się wychowaniem dziewczynki więc pojechał do Vermont i sprowadził swą kuzynkę, Ofelię Saint Clare. Ofelia miała się opiekować Ewą i zarządzać gospodarstwem.

W czasie powrotnej podróży zetknął się z Tomem i kupił go za tysiąc trzysta dolarów.

Kilka słów o miss Ofelii. Miała lat czterdzieści. Wychowała się w jednej z owych wiosek Nowej Anglii, których sam widok raduje oko wędrowca. W takiej fermie, gdzie wszystko jest niezmiernie czyste i schludne, choć nie widać służby, przeżyła niemal pół wieku. Rodzice uważali ją wciąż za dziecko. Zanim zgodzili się na propozycję Augustyna, omówili ją szczegółowo i zastanawiali się, czy nie jest niebezpieczna dla „niedoświadczonej dziewczyny.” Ojciec wyszukał atlas geograficzny, obejrzał odległość do Nowego Orleanu i odczytał długą relację podróżnika, który kilkadziesiąt lat temu zwiedził tamte strony. Matka niespokojnie pytała się, czy Nowy Orlean jest aby dość przyzwoitym miastem dla młodej panny. Wkrótce o zamierzonej podróży dowiedziała się cała wioska. Nigdy jeszcze nie zapraszano tak gorąco miss Ofelii na herbatki, starano się ją odwieść od podróży. Na szczęście niełatwo ją było przerazić lub zbić z tropu. Z niezmiennym uśmiechem powoływała się na wolę Bożą, która kieruje każdym krokiem człowieka.

Była to wysoka i nieco kanciasta osobka, o długiej, żółtej twarzy, o wpadniętych policzkach i cienkich zaciśniętych wargach, świadczących o energii. Ruchy jej były zdecydowane, prędkie i porywcze. Była dokładniejsza od najlepszych zegarów, i tak stanowcza, że łatwiej było zatrzymać lokomotywę, niż ją odwieść od postępu, który uważała za słuszny. Z pewną wyniosłością spoglądała na ludzi słabych i niezdecydowanych, gardziła tchórzami i nieśmiałymi. Umysł jej był męski, żywy i czynny. Była wykształcona, bardzo odczytana w historii i w literaturze angielskiej. Sądy jej odznaczały się jasnością, dokładnością i wiernością. Jej religijne przekonania były równie dokładne i określone, jak poglądy na życie. Fundamentem jej myśli, uczuć i czynów było sumienie.

Można o niej śmiało powiedzieć, że była niewolnicą obowiązku. Gdyby nakazał jej głos sumienia, bez wahania rzuciłaby się do studni lub stanęła przed lufą strzelającej armaty. Jej ideały były tak wzniosłe i niedościgłe, że mimo usilnego poświęcenia się dla bliźnich, była wciąż z siebie niezadowolona.

Ale czemu w takim razie zgodziła się na propozycję Augustyna, który stanowił jak gdyby jej przeciwieństwo? Otóż będąc o wiele starsza od niego, kochała go jak matka. Wystarczyło mu powiedzieć, że potrzebna jest do gospodarstwa i do wychowania Ewy, aby od razu poczytała to sobie za obowiązek. Poza tym pokochała Ewę, przywiązała się do niej i postanowiła poświęcić jej całe swe życie. Augustyna zaś uważała za poganina, ale wybaczała mu to, ponieważ był uczciwy, humanitarny i szlachetny.

Bezpośrednio przed przyplnięciem, miss Ofelia zwróciła się do Ewy:

– Ewo, czy przeliczyłaś swe rzeczy? Na pewno nie. Gdzie się podział twój haftowany woreczek i pudło z nocnymi czepeczkami? Tu? Dobrze, więc dwa; jedwabny paltocik – trzy; skrzynka – cztery; pudło z zabawkami – pięć; walizka z sukniami i bielizną – sześć... A gdzie twoja parasolka? Daj ją tu, zawinę w papier. Tak. Musiałaś chyba dotychczas gubić wszystko.

– Tak, cioteczko, bardzo wiele rzeczy gubiłam i tatuś musiał mi kupować inne rzeczy.

– Nie należy się tak obchodzić z rzeczami.

– Naprawdę? Dobrze, nie będę więcej gubiła. Cioteczko, walizka jest już przepełniona. Nie umiem jej zamknąć.

– Poczekaj, spróbuję – zamknęła walizkę i dodała: – Teraz jesteśmy gotowe. Gdzie tatuś?

– Siedzi tam i je pomarańcze – odpowiedziała dziewczynka, wskazując w kierunku pokładu...

Statek wreszcie przybił do przystani. Pasażerowie tłoczyli się przy wyjściu, popychając się łokciami i zapominając o wskazaniach grzeczności.

Saint Clare, miss Ofelia, Ewa i Tom wsiedli do powozu, który czekał na nich przed przystanią. Niebawem dojechali do wielkiego starego budynku, zbudowanego w stylu francusko-hiszpańskim, jak większość domów Nowego Orleanu.

Tom rozglądał się z cichą radością. Po chwili gromadka ludzi wybiegła na spotkanie przybyłych. Między nimi wyróżniał się wyglądem i bogatym strojem młody mulat, wywijający naperfumowaną chusteczką.

– Ach, to ty, Adolfie – rzekł Saint Clare, podając mu rękę. – Co słychać?

I ujął kuzynkę pod rękę, aby zaprowadzić ją na górę.

Ewa wyprzedziła ojca i wbiegła do buduaru, gdzie na kanapie leżała wysoka blada brunetka.

– Mamo, droga mateczko! – zawołała Ewa, całując ją i ściskając porywczo...

– Ciszej, ciszej – odezwała się matka, odsuwając ją od siebie – mam straszliwy ból głowy.

W tej chwili wszedł sam Augustyn w towarzystwie kuzynki. Pocałował żonę i przedstawił jej miss Ofelię. Mary z zaciekawieniem podniosła oczy na nieznaną sobie krewną męża i z chłodną uprzejmością podała jej rękę.

Ewa wybiegła do buduaru i znalazła się wśród zebranej służby. Rzuciła się na szyję mulatce średniego wieku o dosyć przyjemnej twarzy.

– A, nianiu, dzień dobry – zawołała dziewczynka.

– Bądź zdrowa, mój skarbie! Bądź zdrowa, słoneczko moje! – odpowiedziała wzruszonym głosem mulatka i pokryła ją pocałunkami.

Zaraz potem na werandę wyszedł Saint Clare i obdarował służbę drobnymi podarunkami.

Radosny nastrój służących zmienił się w zachwyt. Otoczono właściciela i chwymano go za rękę, aby ją ucałować.

– Dosyć, dosyć już, bo mnie rozerwiecie – ze śmiechem krzyczał Saint Clare, odsuwając natrętnych. – Rozejść się! Pomówimy kiedy indziej.

Wszyscy się rozeszli, z wyjątkiem Toma, który przestępował z nogi na nogę i Adolfa, który przez lornetkę oglądał swego czarnego kolegę.

– Ach, ty filucie! – zawołał Saint Clare, wrywając mu z rąk lornetkę. – Czy się tak patrzy na kolegę?... Cóż to, włożyłeś mój surdut?

– Panie, ten surdut jest zalany winem, więc pomyślałem sobie, że pan go nie będzie nosił. Dla mnie zaś jest jeszcze wcale niezły.

– A więc uważasz, że dla ciebie jest jeszcze wcale niezły? – zapytał Augustyn z właściwą sobie ironią. – No dobrze, zachowaj go... Teraz pójdę, pokażę Toma jego pani, a potem odprowadzisz go do pokoju dla służby; tylko proszę cię nie traktuj go z góry; wart jest dwóch takich gałganów jak ty.

Na progu salonu, biedny Murzyn stanął jak wryty, oszołomiony luksusowym urządzeniem.

– Oto Mary, twój nowy woźnica – rzekł Augustyn, wchodząc do buduaru. – Postępowanie jego jest równie wzorowe jak czarny kolor jego twarzy.

Mrs. Saint Clare ledwo zerknęła na Toma.

– Na pewno upija się – odpowiedziała, znów opuszczając powieki.

– Nie. Ręczono mi, że jest bezwzględnie trzeźwym i bardzo nabożnym człowiekiem.

– Cóż, mam nadzieję, że nie będzie gorszy od innych; dzięki Bogu za to.

Saint Clare odwrócił się i wyszedł na werandę. Za nim jak cień sunął Tom.

– Adolfie – zwrócił się gospodarz do mulata – zaprowadź go gdzie kazałem i pamiętaj o tym co ci mówiłem.

Augustyn postać chwilę, zamyślił się i znów wrócił do żony.

– Gdzieś znalazł takiego hipopotama? – rzekła Mary – strach spojrzeć na tego draba; zechce to roznieść cały dom.

– Spodziewałem się, że usłyszę od ciebie coś przyjemniejszego po tak długiej rozłące – odpowiedział Augustyn.

– Tak, istotnie, powinieneś być wrócić dwa tygodnie temu. Bóg wie coś tyle czasu robił poza domem.

– Spójrz, Mary, co ci przywozłem z New Yorku – odezwał się po chwili mąż, wyjmując z kieszeni aksamitny futerał.

Mrs. Saint Clare leniwie otworzyła futerał i wyjęła wspaniały miniaturowy portret Augustyna i Ewy, siedzących przed klombem.

– Czemu przybrałeś taką głupią pozę? – zapytała zgryźliwie, aby zemścić się za rozczarowanie; spodziewała się bowiem innego podarunku.

Zamknęła futerał i rzuciła go na stół. „To sekutnica” – pomyślał Saint Clare, ale na głos powiedział:

– Czy nie widzisz, że to prawdziwe arcydzieło pod względem podobieństwa i wykonania!

– Ach, mój Boże! Daj mi już spokój, Augustynie! Czy nie widzisz, że ledwo żyję... Ten hałas w domu i twoje głupstwa...

– Często pani miewa bóle głowy? – odezwała się Ofelia.

– Tak, jestem istną męczennicą – odpowiedziała pani Saint Clare.

– Kuzynka zapewne chciałaby odpocząć? – zapytał Saint Clare Ofelię i zadzwonił.

Po chwili przyszła mulatka, którą Ewa nazwała nianią.

– Polecam twej opiece miss Ofelię Saint Clare – rzekł Augustyn – uważaj, aby panienka miała wszystko, co trzeba.

Skoro Ofelia wyszła z mulatką, odezwał się do żony:

– Teraz możesz być spokojna o gospodarstwo.

Mrs. Saint Clare udała, że nie może się nawet zdobyć na odpowiedź. Mąż podniósł się i cicho wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ XVI

Mrs. Saint Clare i jej zapatrywania

Minęło kilka dni. Rodzina Saint Clare zebrała się przy śniadaniu.

– Mąż opowiadał mi, że pani chce się zająć naszym gospodarstwem, miss Ofelio – mówiła mrs. Saint Clare. – Jestem z tego bardzo rada. Lękam się jednak, że niebawem przekona się pani, iż nie podobna zaprowadzić jakiś możliwy ład w tym domu. Jesteśmy doprawdy niewolnikami naszych niewolników. Jestem przekonana, że gdyby nie oni, nie cierpiałabym wcale na migrenę i nerwicę.

– Ależ daj spokój, Mary – obruszył się Augustyn. – Powiedz mi, czy znajdziesz kobietę lepszą od naszej niani?

– Tak, istotnie, ona jest jeszcze najlepsza. Ale co prawda i ona staje się coraz zuchwalsza. Najlepszy dowód – zaczęła sypiać w nocy jak zabita. Czy to nie okropne? Ona wie, że choroba moja wymaga nieustannej opieki, a tymczasem po nocach muszę rozbijać dzwonki, aby obudzić tego leniucha.

– Jakże to możliwe, mateńko – odezwała się Ewa. – Wiem bardzo dobrze, że niania spędziła wszystkie te noce przy tobie na krześle, i aby nie zasnąć, zajmowała się ręczną robótką.

– Skąd wiesz? – zapytała Mary. – A więc narzekała na mnie?

– Nie, ona nigdy nie narzeka. Mówiła tylko, że ostatnio źle się czułaś i że nie odstępowała od ciebie ani na chwilę.

Miss Ofelia przysłuchiwała się rozmowie z uwagą, pragnąc poznać charakter kuzynki. Postanowiła nie wyrażać swego zdania, zanim nie pozna dokładnie, kogo ma przed sobą.

– Nie twierdzą, aby niania nie posiadała zalet; ale jest zbyt zarozumiała. Poza tym nie wyczuwam w niej prawdziwego przywiązania. Czuję, że nie może się pocieszyć po rozstaniu z mężem. Zabrałam ją ze sobą, kiedy wyszłam za mąż, ojciec zaś mój nie mógł się obejść bez jej męża, doskonałego kowala. Mówiłam jej wówczas, że lepiej będzie jeśli się przestaną uważać za małżeństwo. Wszak to im. tak łatwo przychodzi. Bardzo żałuję, że nie należałam i nie znalazłam jej innego męża. W ogóle jest to niemożliwie uparta i nieposłuszna niewolnica.

– Czy ma dzieci? – zapytała Ofelia.

– Tak, dwoje.

– Zapewne tęskni za nimi?

– Co robić! Nie mogłam się przecież zgodzić, aby sprowadziła je tutaj? Nie miałyby czasu dla mnie, przy tym te dzieci są tak okropne... Dlatego właśnie ma do mnie urazę. Jestem pewna, że z przyjemnością porzuciłaby mnie, gdyby tylko wiedziała, że mąż jej również zbiegnie z dziećmi. Te Murzynki są straszliwymi egoistkami.

Nastąpiło ciężkie milczenie; Saint Clare wyszedł coś załatwić i zabrał ze sobą Ewę.

– Mój mąż ma fatalny charakter – odezwała się po chwili pani Saint Clare. – Zameczył mnie w ciągu tych kilku lat naszego pożycia małżeńskiego, ale ja z takim stoicyzmem znoszę udręki moralne i fizyczne, że on nawet nie wie o nich.

Miss Ofelia zachowała milczenie. Pani Saint Clare weszła do sąsiedniego pokoju, pokręciła się przed lustrem, po czym przywołała kuzynkę i pokazała jej swoje toalety.

– No, teraz wszystko pani pokazałam – rzekła, siadając na werandzie. – Może się pani śmiało rozporządzać w tym domu, nie pytając mnie o nic. Tylko bardzo proszę, niech pani uważa na Ewę. Nie jest może zła, ale jest taka dziwna, tak do mnie niepodobna... Ewa lubi towarzystwo niewolników. Zdaje się, że utwierdza ją w tej skłonności jej ojciec. Co więcej, Ewa twierdzi, że wszyscy ludzie są sobie równi. Nie zna granic ani miary.

Po chwili ciągnęła dalej:

– Widzi pani, że nie lubię się pieścić i narzekać. Staram się nie obarczać innych swoją osobą. Ale muszę pani wyznać, że gdyby Saint Clare zwracał na mnie więcej uwagi, byłabym może wyzdrowiała... Nie twierdzą, że jest złym mężem, ale nie rozumie mej delikatnej natury.

Miss Ofelia wciąż milczała. Nie chciała wtrącać się do poufnych spraw rodzinnych. Ze strachem rozpamiętywała słowa kuzynki. Lecz jej rezerwa nie powstrzymała rozgadanej pani domu. Znalazła przecież cierpliwą słuchaczkę i była z tego zadowolona.

– Widzi pani, ja wniosłam w posagu wielki majątek i znaczną liczbę niewolników. Saint Clare ma własny majątek i własnych niewolników, ale ja się nie wtrącam do jego spraw. Natomiast on wtrąca się stale do moich. Ma jakiś dziwny sposób zwracania się do służby. Niedawno na przykład wydał rozkaz, aby nikt oprócz nas nie śmiał bić niewolników. Ale przecież on sam palcem ich nie tknie. Ja zaś, widzi pani sama, jestem taka słaba, że nie potrafię zabić muchy. A jednak niewolników trzeba karać. Przypuszczam, że pani podziela moje zdanie?

– Nie, nie podzielam i dziękuję za to Bogu – wyrwało się wreszcie miss Ofelii.

– Szkoda wielka! Skoro pani chce zająć się naszym gospodarstwem, będzie pani musiała zmienić poglądy.

I zapominając snadź o chorobie, podniosła się i żywo gestykulując, dodała:

– Sądzi pani, że łatwo jest poradzić sobie z tymi wałkoniami? Rozczaruje się pani prędko, miss Ofelio. I nie znajdzie pani poparcia u Saint Clare. Jego zdaniem ich występki są skutkiem naszych błędów. Niech pani sobie wyobrazi, że mąż mój powiada, iż nie byłibyśmy lepsi na ich miejscu! Jakby można było porównywać to byłoby z nami! O, gdyby Saint Clare był inny, gdyby wzorował się na sąsiadach i katował niewolników, wówczas wiedzieliby, że jest panem. Inaczej nigdy nie będzie porządku w tym domu... Gdybym była zdrowsza, zdzierałabym sama z nich skórę. Są tak źli, leniwi, kłamliwi.

– Znowu stara piosenka! – zawołał Saint Clare, wchodząc na werandę.

– O tak, ledwo wracasz, zaczynasz mi uragać! – odpowiedziała Mary, odzyskując pozę i ruchy śmiertelnie chorej kuracjuszki.

– Uspokój się Mary. Jestem i tak zmęczony: po pierwsze jest straszny upał, po drugie miałem poważną rozmowę z Adolfem. Miej dla mnie trochę względów i pozwól mi odetchnąć.

– O co pokłóciłeś się z Adolfem? – zapytała Mary.

– Przyzwyczylił się do takiego stopnia do mnie, że w końcu stracił poczucie swej odrębności. Musiałem go pouczyć.

– O co właściwie chodzi?

– Zabrał mi prawie całą garderobę i inne rzeczy. Wyjaśniłem mu, że kupiłem je wyłącznie do własnego użytku i zabroniłem mu nosić bez pozwolenia moje ubrania i zabierać więcej niż dwie butelki wody kolońskiej miesięcznie. Przypuszczam, że przekonałem go o tym.

W tej chwili rozległ się za oknami wesoły śmiech. Saint Clare uchylił zasłony, wyrżał i zawtórował śmiechem.

– Cóż się stało, kuzynie? – zapytała miss Ofelia.

Okazało się, że na ławce siedział wuj Tom, a Ewa wkładała mu na szyję girlandę z pasowych róż. Wszystkie pętle surduta Murzyna były ozdobione jaśminem.

Ozdobiwszy Toma, dziewczynka usiadła mu na kolanach i objawszy go rączkami, patrzyła nań z zachwytem.

– Jak ci do twarzy w tych kwiatach, wuju Tomie! – wołała, śmiejąc się głośno.

Tom uśmiechał się dobrodusznie, siedząc nieruchomo. Był zmieszany zachowaniem Ewy, ale nie śmiał jej usunąć. Ujrawszy swego pana, podniósł nań oczy, błagające o pobłażliwość.

– Jak może pan pozwolić córce na takie głupstwa? – zapytała Ofelia.

– A cóż w tym złego, kuzynko?

– To nieprzyzwoicie.

– A czemu nie odzywała się pani, gdy Ewa wczoraj pieściła ogromnego psa? Tom zaś jest człowiekiem, a więc istotą myślącą, czującą i nawet posiadającą nieśmiertelną duszę, jak mnie pani niedawno przekonywała.

Tom był szczęśliwy, że los zawiódł go do tego domu. Ewa tak się doń przywiązała, że Saint Clare musiał go specjalnie przydzielić do jej osoby. Ubrano go od stóp do głów w nową i ładną odzież, dano mu osobny pokój, przyzwoicie urządzone. Aby nie męczył się zbytnio bezczynnością, dano mu nadzór nad stajnią.

ROZDZIAŁ XVII

Ucieczka

W domu kwakra Haliday'a był szalony rozgardiasz: gospodarze szykowali do drogi Elizę, jej męża i dziecko.

Słońce zachodziło i wieczorny powiew ochładzał powietrze. Jerzy siedział przy żonie, trzymając na kolanach syna. Oboje byli smutni i zamyśleni.

– Tak, droga Elizo – mówił mąż – wiem, że masz słusność. Poczynając od dzisiejszego dnia, postaram się puścić w niepamięć ciężką przeszłość i nie dopuszczać do siebie złych myśli. Będę czytał Biblię i usiłował dorównać ci dobrocią.

– Tak, Jerzy – odpowiedziała Eliza – gdy przyjedziemy do Kanady, będziemy pracować oboje. Mam nadzieję, że się nam jeszcze powiedzie w życiu.

– O tak, żebyśmy tylko dotarli! Kiedy już będziemy na miejscu, zapłacę mr. Shelby za ciebie tyle, ile chciał dać Halley. Co się tyczy mego właściciela, to ten już dawno odebrał sobie moją cenę.

Po chwili wszedł Szymon Haliday w towarzystwie drugiego kwakra, Fineasa Fletchera. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, rudy i energiczny. Widać było, że ceni o wiele wyżej życie pełne przygód od spokojnego życia kwaków. Przy tym jednak był niezmiernie uczciwy i sprawiedliwy.

– Nasz przyjaciel, Fineasz przyszedł z ważnymi wiadomościami – odezwał się gospodarz.

– Wczoraj wieczorem zatrzymałem się w niewielkiej gospodzie, opodał traktu – przemówił po krótkiej pauzie przybysz. – Byłem bardzo zmęczony, więc zaraz po kolacji zasnąłem na ławce w pokoju ogólnym. Prawdopodobnie obudziłem się dopiero po dwóch godzinach. Otwieram oczy i widzę, przy wielkim stole siedzi kilka osób. Piją wino, palą i o czymś żywo rozprawiają. Udawałem, że śpię i zacząłem się przysłuchiwać. Wkrótce zrozumiałem, że mówią o was, przyjaciele. Okazało się, że wiedzą, iż schowaliście się w tym domu, i zamierzają wtargnąć tu, aby ciebie, przyjacielu Jerzy odesłać z powrotem do właściciela, żonę twoją sprzedać do Nowego Orleanu a chłopca zwrócić jego nabywcy. Dowiedziałem się, że policjanci z pobliskiego miasta są już uprzedzeni i mają się tu u was zjawić. Żonę twą z początku zaprowadzą do sędziego, przed którym jeden z nich pod przysięgą zezna, że jest jej właścicielem. Najgorsze jest to, że znają drogę, którą zamierzamy jechać i w razie potrzeby zarządzają pościg. Może nawet zabiorą ze sobą psy gończe. Teraz zachodzi pytanie: co czynić?

– Boże wielki! Co czynić Jerzy? – szepnęła struchlała Eliza.

– Wiem, co czynić – odpowiedział Jerzy, odsuwając ją i biorąc ze stołu rewolwery. – Nie chcę nikogo narażać na przykrości, które mnie tylko dotyczą. Jeśli chcecie mi się przysłużyć, to dajcie mi tylko jakiś wóz i konia i wskażcie mi drogę.

– Doskonale, przyjacielu – potwierdził Fineasz, ale musi ktoś powozić, gdy ty będziesz walczył z prześladowcami. Poza tym droga ma pewne niespodzianki, których nie można ustnie wytłumaczyć. Nie, bezwzględnie odprowadzę was, jakkolwiek nie będę brał udziału w samej walce. Lecz, jeśli trzeba będzie, postąpię jak mężczyzna...

– Od razu widać, że nie urodził się kwakrem – odezwał się z śmiechem Szymon.

– Musimy jednak czekać zapadnięcia zmroku – kontynuował Fineasz. – Ja tymczasem pójdę do Michała Crossa i poproszę go, aby jechał za nami w pewnej odległości i uważał, czy nie doganiają nas. Proszę nie przejmować się tą przygodą. Nie pierwszy to raz wyciągam ludzi z takiej kabały.

– Można na nim polegać – rzekł Szymon, gdy Fineasz wyszedł.

– Wierzę i nie lękam się wcale – odpowiedział Jerzy – przykro mi tylko, że przeze mnie będzie pan narażony na nieprzyjemności. Wszak...

– Proszę cię, przyjacielu Jerzy, nie mówmy o tym. Postępujemy tak, jak nam każe sumienie...

Zaraz po kolacji pod ganek podjechał wielki kryty wóz. Noc była gwiazdzista. Jerzy wyszedł z domu, prowadząc pod rękę żonę i trzymając śpiącego syna. Za nim szli Szymon i Rachela.

Na wozie siedział już zbiegły Murzyn Jim ze swoją matką.

– Jim, czy pistolety są w porządku? – zapytał Jerzy.

– Rozumie się.

– Wiesz, co należy czynić, jeśli wpadniemy w ręce prześladowców?

– Wiem, wiem. Cóż ty myślisz, że pozwolę im dotknąć mojej matki?

Pożegnano się z gospodarzami i ruszono z miejsca. Droga prowadziła przez las, przez rozległe łąki i pagórki. Harry spał na kolanach matki, stara Murzynka drzemała, zapominając o trwodze.

Była godzina trzecia w nocy, gdy Jerzy obudził się, słysząc zbliżający się tętent. Wkrótce można było poznać jeźdźca. Był to Michael, który miał obserwować prześladowców.

– Mkną tu za mną – zawołał z daleka. – Jest ich dziesięciu. Wszyscy są zalani i bardzo podnieceni.

Po chwili istotnie usłyszeli wzmożony tętent.

– Dowiozę was do miejsca, gdzie wygodniej będzie walczyć, jeśli zajdzie potrzeba – rzekł Fineasz i puścił konie w cwał. Mimo to prześladowcy zbliżali się w szybkim tempie. Widać ich było wyraźnie na horyzoncie zalanym pierwszymi promieniami zachodzącego słońca.

Eliza przeraziła się i nateżyła wszystkie swe siły, aby nie stracić przytomności. Stara Murzynka jęczała żałośnie i płakała; Jim i Jerzy przygotowali pistolety, Fineasz popędzał konie. Z dala zaś dobiegał wesoły śmiech i okrzyki zwycięstwa ścigających oprawców.

Niebawem ukazała się wysoka i spadzista skała, samotnie wznosząca się na pustynnej równinie.

– Wyłaźcie prędzej i wgramolcie się na górę! – Zakomenderował Fineasz, osadzając konie na miejscu. – Czas jest drogi. Michaelu, przytrocz konia do wozu i mknij do Amara. Niech przyjedzie rozprawić się z tymi opryszkami.

Ścigani nie ociągali się. Przeskoczyli przez żywopłot, oddzielający trakt od skały, Michael zaś pomknął ku widniejącemu z dala osiedlu.

– Oto ścieżka – wskazał Fineasz. – Idźcie lepiej za mną; jestem tu jak w domu.

Poszedł naprzód z chłopczykiem, za nim podążyli Jim z matką i Jerzy z żoną.

Wkrótce prześladowcy dotarli do żywopłotu, rzucając przekleństwa i wyzwiska. Tymczasem zbiegowie wspinali się coraz wyżej. Wreszcie Fineasz znalazł się przed szeroką szczeliną. Łatwo przeskoczył i posadził chłopca na z lekka spadzistym gruncie. Następni skoczyli z odwagą desperacką. Było tu wiele głazów, stanowiących znakomitą osłonę.

– No, teraz już nie ma takiego niebezpieczeństwa – rzekł Fineasz. – Aby się tu dostać, będą musieli iść gęsiego, a wówczas łatwo wam będzie... sami rozumiecie, o co chodzi. Czy nie zechciałbyś Jerzy zawczasu ostrzec ich ze swojej pukawki?

Prześladowców było dziewięciu: prócz Toma Lokera i Marksa, dwaj policjanci i sześciu ochotników. Stali na dole i omawiali szczegóły dalszego pościgu.

Tymczasem Jerzy wyszedł zza osłony i jasnym, dźwięcznym głosem zawołał:

– Panowie, kim jesteście i czego od nas chcecie?

– Szukamy kilku zbiegłych niewolników: Jerzego Harrisa, jego żony Elizy i ich syna Harry, następnie Jima Seldana i jego matki – odezwał się Loker. – Z nami jest policja. A czy ty ptaszku nie jesteś czasem Jerzym Harris?

– Tak – odpowiedział Jerzy Harris. – Jestem Jerzy i niejaki Harris z Kentucky rościł sobie do mnie prawo własności. Lecz teraz jestem człowiekiem wolnym, ponieważ stoję na wolnej ziemi; moja żona i dziecko należą tylko do mnie. Jim i jego matka są z nami. Lecz uprzedzam was, że mamy broń i umiemy z niej robić użytek. Jeśli chcecie, możecie wejść, ale pamiętajcie, że pierwszy padnie trupem; to samo stanie się z drugim, trzecim aż do Ostatniego.

– Dostyc tej komedii, młody człowieku! – odparł niski grubas, wysuwając się naprzód. – Prawdopodobnie nie wiesz, z kim masz do czynienia. Jesteśmy przedstawicielami urzędu policyjnego, za nami jest prawo i siła. Radzę wam poddać się niezwłocznie, w przeciwnym razie spotka was podwójna kara.

– Wiem, że za wami jest prawo i siła – odpowiedział z goryczą Jerzy. – Chcecie mi zabrać żonę i sprzedać do Nowego Orleanu, odebrać dziecko od łona matki, aby oddać je handlarzowi; chcecie zwrócić matkę Jima tej bestii, która ją katowała i dręczyła, mszcząc się za ucieczkę syna. Mnie i Jima zamierzacie oddać tym katom, których nazywacie naszymi właścicielami. Nie uznajemy waszego prawa i waszej władzy. Tu pod niebem bożym

jesteśmy równie wolnymi ludźmi jak wy, i z Bożą pomocą będziemy walczyć za wolność do ostatniej kropli krwi! Skończyłem. Teraz przyjdźcie do nas i usiłujcie nas wziąć.

Prezencja i mowa Jerzego wywarły wrażenie na prześladowcach. Śmiałość i energia zawsze i wszędzie budzą szacunek. Jedynie Marks pozostał obojętny. Ukryty za plecami kolegów nabił swój pistolet, i skoro Jerzy skończył przemowę, wysunął się na przód i wystrzelił.

– Nie musimy go dostarczyć żywcem – rzekł spokojnie, wycierając dymiącą broń o sukno rękawa.

Jerzy szybko odskoczył. Eliza krzyknęła. Kula drasnęła włosy Jerzego, przemknęła tuż nad jej twarzą i ugodziła w drzewo.

– Nie lękaj się, najdroższa, to fraszki – uspokoił ją Jerzy, chowając się za głazem, i zwrócił się do Jima. – Jimie, przygotuj pistolety i stań przy mnie; będziemy bronić ścieżki. Ja strzelam w pierwszego, ty w drugiego. Postaraj się nie tracić dwóch kul na jednego.

– A jeśli spudłuję?

– Trudno. Ale powiadam, staraj się strzelać celnie. Za siebie mogę ręczyć.

Na dole zaś po wystrzale Marksa nastąpiła chwila wahania. Nie wiedzieli, jak się ustosunkować do nowej przeszkody.

– Zdaje się, że trafił pan kogoś: słyszałem krzyk kobiecy – rzekł jeden z prześladowców, zwracając się do Marksa.

– Pójdę na górę – oświadczył zdecydowanym głosem Tom Loker. – Nigdy nie lękałem się Murzynów i nie lękam się ich teraz... Kto ze mną? – dodał przeskakując przez żywopłot.

Z początku ruszył za nim jeden, odważniejszy, a potem wszyscy. Po kilku minutach Tom stanął na brzegu szczeliny.

Jerzy wypalił i trafił mu w bok. Jednak Tom nie zamierzał tak łatwo ustąpić. Z rykiem rannego bawoła przeskoczył nad przepaścią i stanął między Jerzym i Jimem.

– Przyjacielu – rzekł Fineasz, stanąwszy naraz przed wrogiem i wyciągnąwszy ku niemu ręce – po coś tu przyszedł? Jesteś nam niepotrzebny.

I popchnął Toma tak mocno, że ten zleciał na dno przepaści. Na swoje szczęście na dole zahaczył ubraniem o mocny konar i stoczył się powoli niżej. Jednakże rozbił się tak dotkliwie, że nie mógł się powstrzymać od jęku.

– To prawdziwe diabły! Lepiej z nimi nie zaczynać – rzekł Marks i wycofał się czym prędzej. Towarzysze jego poszli za jego przykładem, gruby policjant po prostu zleciał na ziemię, sapiąc i dysząc jak wieloryb.

– Podnieście Toma, a ja pojedę po posiłki – oznajmił Marks i nie zwracając uwagi na urągania i przekleństwa towarzyszy dosiadł konia i odjechał.

– No, czy widział kto z was taką gadzinę? – zawołał jeden z policjantów. – Sprowadził tu nas a sam dał drapaka!

– W każdym razie trzeba podnieść Lokera, jeśli jeszcze żyje – odezwał się drugi.

– Stęka, a więc żyje – zauważył trzeci.

Przedarli się przez zarośla i wreszcie ujrzeni go; leżał na kupie kamieni, wśród gałęzi darniny. Usiłując się podnieść, kurczył się z bólu i ryczał jak lew.

Podniesiono go z ledwością i doprowadzono do konia. Ale w żaden sposób nie można go było podsadzić na siodło. Zniecierpliwieni daremnymi usiłowaniami, towarzysze porzucili go i szybko odjechali.

Skoro znikli odezwał się Fineasz:

– Teraz możemy zejść na dół i wyjść na spotkanie Michaelowi, którego wysłałem po odsiecz, a który na pewno już wraca. Stąd do miejsca, gdzie chciałem was odwiedzić, najwyżej dwie mile. Gdyby droga była lepsza, to by nas w ogóle nie dogoniono i nie doszłoby do starcia.

Ledwo zeszli na dół, ujrzeni zbliżający się wóz, otoczony kilku jeźdźcami.

– Oto Michael ze Stefanem i Amarem! – zawołał kwakier. – No, teraz już nie ma obawy.
– Ale czy możemy porzucić na pastwę losu tego nieszczęśliwego człowieka! Słuchajcie, jak jęczy. Zapewne cierpi bardzo – odezwała się Eliza.

– Tak – potwierdził jej mąż. – Trzeba go wziąć ze sobą i pomóc mu. To nasza powinność chrześcijańska.

– I oddać go opiece kwaków – uzupełnił Fineasz. – Nienajgorszy pomysł. Nic nie mam przeciwko temu. Zobaczmy, co mu dolega.

Co rzekłszy, podszedł do Toma i zaczął z miną znawcy oglądać jego ranę.

– Marks, to ty? – wyszeptał półgłosem Loker, nie podnosząc powiek.

– Nie, nie jestem Marks, i na niego nie możesz już liczyć – odparł Fineasz. – Twego Marksa bardzo twój los obchodzi. Dawno już czmychnął stąd, ratując własną skórę.

– A! – odezwał się Loker z ledwością podnosząc ociężałe powieki – zdaje się, że nastał mój koniec... Nie na próżno porzucił mnie ten przeklęty pies... na pewno zwąchał, że zdycham... Cóż, tak trzeba... Moja biedna matka zawsze twierdziła, że skończę gdzieś pod płotem.

– Cicho, cicho, nie ruszaj się – uspakajał go Fineasz. – Jeśli zatrzymamy krew, to będzie uratowany.

Przewiązano mu starannie ranę białym płóciennym fartuchem Elizy i ułożono go wygodnie na miękkiej podściółce w ten sposób, że głowa jego spoczywała na kolanach starej Murzynki. Po chwili ruszono w dalszą drogę.

– Przypuszczam, że szybko wyzdrowieje i dzisiejsza lekcja wyjdzie mu na dobre. Odwieziemy go do Amara. Tam babka Stefana zajmie się nieborakiem. Lepszej pielęgniarki wymarzyć nie można.

Po godzinie dojechano do pięknie zagospodarowanej fermy. Na podróży czekało już suto i smaczne śniadanie. Toma Lokera ułożono na tak wygodnym, czystym i miękkim posłaniu, na jakim chyba nigdy jeszcze nie leżał. Ranę przemyły i przewięzały delikatne ręce. Z uczuciem prawdziwej błogości patrzył na dobre twarze krzątających się wkoło niego ludzi. Zrozumiał, że zaczęło się dlań nowe życie...

ROZDZIAŁ XVIII

Porządki w domu Saint Clare'a

W krótkim czasie Tom zaczął zarządzać gospodarstwem. Oczywiście Adolf był z tego niezadowolony i często zwracał się do Saint Clare'a z zażaleniami.

– Nie, Adolfie, – odpowiedział mu pewnego razu Saint Clare – nie prosz mnie o to. Byłbym wkrótce zrujnowany, gdybym nie znalazł takiego człowieka jak Tom.

Nazajutrz po przybyciu miss Ofelia przystąpiła od razu do pełnienia swych funkcji i wstała o czwartej rano, sama sprzątnęła swój pokój i zajęła się rewizją ruchomego i nieruchomego inwentarza.

Obejrzała dokładnie bieliznę, naczynia, kuchnię, pralnię i sprawdziła bufet. Rozumie się, że służba nie posiadała się z oburzenia. Stara Murzynka Dinah, władczyni kuchni, ledwo mogła pohamować wściekłość, gdy obca miss urządziła zamach na jej prawa i przywileje. Dinah była, podobnie jak ciotka Chloe, doskonałą kucharką. Ale poza tym była leniwa, gnuśna, uparta i nieposłuszna.

Kiedy miss Ofelia weszła do kuchni, Dinah siedziała na podłodze, paliła spokojnie fajkę, od czasu do czasu obsypując przekleństwami któregoś z pomocników, których krzątało się co najmniej dziewięciu.

Miss Ofelia zaczęła rewidować szafy i komody, stojące w obszernej kuchni. Znalazła w nich różne rzeczy, szmatki, grzebyki, sztuczne kwiaty, wstążki, obuwie i mnóstwo innych drobiazgów, nie mających nic wspólnego z kuchnią.

– Dinah! – zawołała z prawdziwą zgrozą miss Ofelia. – Cóż to za nieporządki u ciebie? Do czego to podobne? Czyż nie masz własnego pokoju, w którym możesz trzymać swoje rzeczy?

– Co za różnica, gdzie leżą, miss, grunt żeby były całe.

– A to co to jest? – zapytała miss Ofelia, pokazując jej piękną salaterkę z pomadą.

– A to, miss, przyniesiono mi pomadę do włosów i tymczasem włożyłam ją do salaterki. Nie znalazłam nic innego pod ręką. Zbyt ciężko pracuję, aby myśleć o tych drobiazgach.

– Dinah, a dlaczego leżą tu dwie serwetki. Czy nie ma skrzyń do brudnej bielizny.

– A jakże, jest. Tam stoi wielka skrzynia, ale lubię na niej robić pierogi.

– Przecież masz do tego specjalny stół.

– Kiedy na stole stoją brudne naczynia. Gdzie mam je podziąć?

– Na półki, do kredensu. Oczywiście, musisz je przedtem wymyć.

– Co pani mówi, miss – zawołała na całe gardło Dinah, biorąc się pod boki – chce pani, abym myła naczynia?!

Po kilku dniach energiczna miss doprowadziła dom do porządku. Ale, niestety, na nic się to nie zdało, ponieważ służba była przyzwyczajona do niechlujstwa i wkrótce znów przewróciła wszystko do góry dnem. Miss Ofelia była zrozpaczona.

– Wiesz co, Augustynie, zdaje się, że łatwiej ściągnąć księżyc na ziemię, niż zaprowadzić porządek w tym domu – rzekła pewnego razu kuzynowi.

– Wszak uprzedzaliśmy, kuzynka nie chciała nam wierzyć.

– To prawda, ale myślałam, że przesadzacie. Teraz widzę, że nie poradzę sobie z tą służbą. Nie widziałam jeszcze, tak leniwych, niechlujnych i rozrzutnych ludzi. Poza tem zdaje się, że wszyscy tu kradną. Wątpię, czy znajdzie się między nimi jeden uczciwy człowiek.

– Chyba nie. Zresztą jakże mogą być uczciwi, skoro nikt im nigdy nie wyjaśnił, czym jest uczciwość.

– Kuzyn powinien był ich uczyć.

– Uczyć ich? Ach, kuzynko, kuzynko! Czego mogłem ich uczyć? I rzecz najważniejsza, jak uczyć? Nie mam najmniejszego o tym pojęcia. Nie można wymagać od Murzynów uczciwości, skoro nie widzą jej dookoła siebie. Żyją w takiej zależności i w takim bezprawiu, że nie można się spodziewać po nich jakichkolwiek moralnych pojęć.

– Ale Boże wielki! Co się stanie z ich duszami!

– To już nie moja sprawa. Interesuję się terażniejszością. Przyzwyczailem się do myśli, że Murzyni są stworzeni jedynie dla wygod i przyjemności białych.

– Jak ci nie wstyd tak mówić, Augustynie?

– Czego mam się wstydzić? Proszę niech kuzynka rozejrzy się po świecie. Wszędzie, niższe klasy są zaprzędane duszą i ciałem wyższym. W innych krajach, gdzie niewolnictwo jest zniesione na papierze, istnieje inne niewolnictwo, w zmienionej formie. Ale oto dzwonią do obiadu. Zostawmy w spokoju jałowe dyskusje i chodźmy jeść.

Wieczorem tego dnia miss Ofelia stała w kuchni, gdy przyszła stara wysoka Murzynka z koszem, pełnym pączków i pierożków.

– A, babka Pry! Dzień dobry! – powitała ją Dinah. Starucha posepnie postawiła kosz na stole, po czym osunęła się na podłogę i zachrypniętym głosem szepnęła:

– Boże wielki, żebyśmy już raz skończyła!

– Tak ci się sprzykrzyło życie? – zapytała miss Ofelia.

– A co w życiu dobrego! Nie doznałam nic prócz męczarni.

– A po co tak wiele pijesz? – odezwała się młoda i ładna mulatka.

Babka Pry zmierzyła ją srogim spojrzeniem i odpowiedziała:

– Piję, bo innego środka na nasze udreki nie ma. Nie zadzieraj tak nosa, i ty wkrótce zajrzysz do kieliszka, kiedy się będą nad tobą znecać, i bić cię i przeklinać. Przypomnisz sobie babkę Pry i zaczniesz pić, upijać się bez końca. Wówczas przyjdę i popatrzę na ciebie, ślicznotko!

Śmiejąc się szyderczo, wzięła pieniądze i wyszła z kuchni. Tom był świadkiem tej sceny. Litując się nad biedną niewolnicą, wybiegł za nią, aby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Staruszka. ledwo powłóczyła nogami. Zatrzymała się wreszcie na ulicy przed ławką, postawiła na niej kosz i zaczęła poprawiać podartą chustkę, którą przykrywała plecy.

– Pomogę ci zanieść ten kosz – odezwał się Tom, zatrzymując się przy niej.

– Dlaczego? – odpowiedziała. – Nie przywykłam do czyjejś pomocy.

– Dlatego, że jesteś chora i znużona. Chciałem ci coś powiedzieć – dodał po chwili, zaglądając jej w oczy. – Niepotrzebnie pijesz. Wódka gubi nie tylko ciało, ale i duszę.

– Wiem, że mnie ciągnie do piekła... Ale czy ja jestem winna?

– A kto jest winien? Czy zmuszają cię do picia?

– Zmuszają! Bieda mnie zmusza...

– Czemu nie zwracasz się ku Chrystusowi? A może nie słyszałaś o Chrystusie?

– Nie słyszałam. Któż to taki?

– Pan nasz i Zbawiciel – odpowiedział uroczyście Tom, zdejmując kapelusz.

– Zdaje mi się, że ktoś mi mówił o Zbawicielu, ale to wszystko poplątało mi się w głowie i nic już nie pamiętam.

– A czy nie mówiono ci, że Zbawiciel kocha nas, ludzi biednych, poniżonych, wzgardzonych i że zginął za nas na krzyżu?

– Nie, któż to miał mówić. Mój jedyny przyjaciel, mąż który mnie kochał, dawno umarł. Odtąd nie słyszałam od nikogo dobrego słowa.

– Skąd pochodzisz?

– Z Kentucky. Mój pierwszy pan sprzedał mnie obecnemu.

– Dlaczego zaczęłaś pić?

– Po śmierci dziecka. Sprzedano mnie razem z nim. Śliczny był chłopczyk. Nigdy nie płakał i był niezwykle posłuszny. Ale pani moja zachorowała i musiałam jej doglądać. Zaraziłam się, dostałam gorączki i nie mogłam karmić mego synka. Błagałam, aby pozwolono mi kupić mleka dla dziecka, ale pani zabroniła. Chłopak chudł, niknął z dnia na dzień i krzyczał bez przerwy. Znienawidziła go moja pani za to, że jej spokoju nie dawał i kazała go umieścić w spichrzu... Pomęczył się biedaczek i umarł... Potem zaczęłam pić.

– Biedna! – odezwał się Tom. – Przeżyłaś tak życie, nie wiedząc, że Pan wynagrodzi nas w królestwie swoim.

– Odczep się ze swymi kazaniem – zawołała nagle Murzynka, podnosząc kosz i oddalając się szybko. – Wszyscy jesteście kłamcami.

ROZDZIAŁ XIX

Ciekawa rozmowa

Kilka dni później z pierożkami i pączkami zamiast Pry przyszła inna kobieta.

– Czemu nie przyszła babka Pry? – zapytała ciotka Dinah.

– Ona nigdy już nie przyjdzie – brzmiała zagadkowa odpowiedź.

– Cóż? Chyba nie umarła?

– A może umarła... Nie wiem na pewno; wiem tylko, że leży w piwnicy. Parę dni temu upiła się do nieprzytomności. Pan nasz kazał ją rzucić do piwnicy, gdzie przeleżała całą dobę. Potem ktoś ze służby zszedł do niej; powiada, że muchy ją obsiadły... to znaczy, że nie żyje.

Dinah opowiedziała to miss Ofelii, która natychmiast pobiegła do Saint Clare'a.

– To straszne, to okropne... Oszaleć można! – wołała, zatrzymując się przed nim.

– Co się stało? – zapytał, odwracając oczy od książki. – Spodziewałem się tego – rzekł dowiedziawszy się o smutnym zgonie nieszczęsnej niewolnicy.

– Spodziewałeś się, kuzynie i nie starałeś się pomóc biednej kobiecie?

– Droga kuzynko, nie ja ją zabiłem. Nie mogłem wtargnąć do cudzego domu i wtrącać się do nie swoich spraw. Niech kuzynka sobie uprzytomni, że prawa właścicieli niewolników są *bezgraniczne*. Trzeba na wiele rzeczy zakrywać oczy tak, jak ja to czynię...

– O nie, Augustynie, nigdy nie pogodzę się z takim okrucieństwem! – zawołała nagle po dłuższej pauzie.

– Kuzynka, wciąż o tym?

– Tak, *wciąż o tym*... Powiadam ci kuzynie, że to wprost przestępstwo bronić niewolnictwa.

– A czy ja bronie?

– Gdybyś nie bronił, nie trzymałbyś u siebie niewolników.

– Ach, kuzynko, trzeba często czynić to, co się potępia. Czy nie zdarzyło się kuzynce postąpić wbrew swym poglądom.

– Owszem, zdarzyło się, ale zaraz potem żałowałam swego czynu.

– Ja również żałuję. Żałuję całe swe życie. Ale pokusy są zawsze zbyt silne.

– Ale ja walczę z pokusami.

– Jakże jesteśmy do siebie podobni. Ja również walczę całe życie z pokusami, ale na nic się to nie zda.

I po chwili zmienionym głosem dodał:

– Chce kuzynka wiedzieć, czemu nienawidząc niewolnictwa korzystam z niego? Otóż moi niewolnicy należeli do moich rodziców, a po ich śmierci stali się moją własnością. Wiesz, że ojciec mój przyjechał z Nowej Anglii. Nie był podobny do ojca kuzynki, kto został w Nowej Anglii, aby panować tam nad lasami, skałami i zwierzyną. Mój ojciec wolał mieszkać w Luizjanie, panować nad ludźmi i ciągnąć z tego zyski. Co się tyczy mojej matki, to kuzynka wie, że była kobietą nie z tego świata. Była uosobieniem ewangelicznych cnót i prawdy... O matko, niezapomniana droga matko!

– Mam brata – ciągnął dalej po chwili, stłumiwszy wzruszenie. – Jesteśmy bliźniętami, ale mamy kontrastowo odmienne charaktery. On jest czynny i trzeźwy, ja zaś – leniwy i marzycielski. On odznaczał się wyjątkową uprzejmością w stosunku do równych sobie ludzi, natomiast względem niższych był surowy, dumny i nieprzystępny. Ale podobnie jak ja był uczciwy i szczery. Kochaliśmy się bardzo, on był ulubieńcom ojca, ja – matki. Po śmierci ojca postanowiliśmy wspólnie pracować przy plantacjach. Oczywiście on był o wiele zdolniejszy ode mnie. Po trzech latach zrozumiałem, że nie nadaję się do tej pracy. Boże mój, istnieją wszak ludzie, nawet głęboko religijni, którzy wierzą, że niewolnictwo jest zjawiskiem zupełnie naturalnym i słusznym.

– U nas na Północy wiedzą, że wszyscy wy usprawiedliwiacie niewolnictwo, powołując się na Pismo Święte – odezwała się miss Ofelia.

– Mylicie się. Na przykład, Alfred opiera się na prawie silniejszego. Alfred uważa, że plantatorzy południowo-amerykańscy obchodzą się z niewolnikami tak samo, jak kapitaliści angielscy z robotnikami, z których wysysają krew i mózg dla własnej korzyści lub przyjemności. Ma rację, byłem w Anglii i przekonałem się o tym. Plantator może zakatować na śmierć swych niewolników, zaś angielski kapitalista może ich zamorzyć głodem. Niższe klasy wszędzie są uciskane i wyzyskiwane. Mogę zapewnić, że niewolnicy Alfreda żyją w

lepszych warunkach niż większość angielskich robotników. Lecz wróćmy do rzeczy. Oburzyła mnie eksploatacja niewolników. Wtrącałem się do wszystkiego i tylko przeszkadzałem Alfredowi. W końcu poradził mi sprzedać swoją część, zamieszkać w domu ojcowskim i pisać sentymentalne wiersze. Uczyniłem to chętnie. A ponieważ żal mi było niektórych niewolników, zwłaszcza starych służących, ku wielkiej ich radości, zabrałem ich ze sobą wraz z rodzinami.

Saint Clare podniósł się, przeszedł kilka razy po werandzie, po czym usiadł z powrotem i podjął przerwana spowiedź:

– Był czas, kiedy chciałem walczyć o wolność niewolników, zmyć hańbę z mej ojczyzny, ale potem...

– Cóż stało na przeszkodzie? Lenistwo?

– Nie, nie lenistwo. To nastąpiło później... Wówczas po prostu uświadomiłem sobie, że życie nie układa się tak, jakbyśmy chcieli, że prowadzi nas własnymi drogami. Skoro zrozumiałem to, powtarzałem za Salomonem, że wszystko jest w istocie marnością. Oto czemu stałem się jakby szczapą, która płynie z prądem. Przyjemnie mi było kołysać się i zasypiać na falach...

– I czy takie wegetowanie może cię zadowolić?

– Zadowolić?! Przeraza mnie to życie bez celu, ale nie potrafię nic zmienić...

– I niech kuzynka nie myśli, że tylko ja potępiam niewolnictwo. Ale cóż robić. Nie wiem, jak się to wszystko skończy. Oczywiście, kiedyś wszyscy uciemienieni powstaną i wówczas nastanie dzień „gniewu i sądu Bożego”. Wzniesiona na krzywdzie milionów piramida starego ustroju trzeszczy i chwieje się w posadach. Czy zapanuje potem królestwo Boże na ziemi – nie wiem... Oto dzwonią na herbatę... Idziemy. Spodziewam się, że kuzynka przestanie się żalić, iż nie można ze mną mówić o niczym poważnym?

– Przeszanę – odpowiedziała lakonicznie miss Ofelia.

Zajrzyjmy tymczasem do Toma. Siedzi oto w swym pokoju przy stole, na którym leży czarna tablica. Z wysiłkiem kreśli litery: postanowił bowiem napisać list do rodziny. Nie chcąc psuć papieru, wprawia się z początku na tablicy. Niestety zadanie przekracza jego dobre chęci. Wreszcie słyszy za sobą delikatny głosik Ewy, która cichaczem zakradła się do komórki.

– Wuju Tomie, co ty kreślisz?

– Chciałem napisać kilka słów do mej biednej żony i dzieci, miss Ewo, ale lękam się, że nie potrafię – odpowiedział Tom, przecierając ręką mokre oczy.

– Pozwól, ja ci pomogę, mój Tomie.

Dziewczynka usiadła na krześle, Tom zaś stanął przy niej na kolanach. Okazało się, że oboje niewiele umieją, ale w końcu jakoś wybrnęli z trudności i wspólnymi siłami skomponowali coś, co było podobne do listu.

– Tomie – rozległ się nagle za nimi łagodny głos Saint Clare’a.

Oboje obrócili się gwałtownie. Saint Clare podszedł do tablicy i zapytał:

– Co to za tajemnicze znaki?

– Jakie tajemnicze znaki, ojczu! – odparła zasmuconym głosem Ewa: – To list Toma. Pomagałam mu. Czy naprawdę nie można tego przeczytać?

– Co prawda, nie można, ale nie smućcie się, nie wasza to wina, że nie umiecie lepiej pisać... Chcielibyście zapewne przepisać to na tamtym arkusiku. Otóż, Tomie, teraz pójde na spacer z Ewą, a kiedy wrócę, z przyjemnością napiszę ci ten list.

– Ach, proszę cię, ojczu, napisz. Tom musi zawiadomić, gdzie się obecnie znajduje, ponieważ dawna jego pani przyrzekła wykupić go, gdy tylko zbierze pieniądze.

– Ależ rozumie się, że napiszę.

Tom wyraził swą wdzięczność spojrzeniem, pełnym łez i czułości.

Saint Clare nie wierzył w szczerłość przyrzeczenia mrs. Shelby. Nie chciał jednak pozbawiać go złudzeń. Wieczorem tego dnia, po powrocie z przechadzki, napisał list do ciotki Chloe i przyrzekł go osobiście bezzwłocznie wysłać.

Koniec pierwszej części

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Topsy

Mimo piętrzących się trudności, miss Ofelia gorliwie wykonywała swe obowiązki.

Pewnego ranka Saint Clare przyprowadził do domu malutką ośmioletnią Murzynkę.

Była czarniejsza od nocy; jej okrągłe oczy z zaciekawieniem oglądały pokój. Kędzierzawe włosy były zaplecione w niezliczoną ilość warkoczyków. Wyraz jej twarzy miał w sobie wiele przebiegłości, a zarazem smutku i melancholii. Nosila podartą i brudną koszulę, przypominającą worek.

– Ach, Augustynie, po co kuzyn kupił takiego dzikusa! – zawołała Ofelia, patrząc na nią z lękiem.

– Po to, aby kuzynka ją wychowała – odparł Saint Clare. – No, Topsy zaśpiewaj coś i zatańcz.

Oczy małej niewolnicy rozbłysły. Zaśpiewała niesamowitą piosenkę, akompaniując sobie dziwnymi gestami i płasem. Osobliwie dzika melodia i taniec miały jednak jakiś nieokreślony wdzięk. Zmęczony się, dziewczynka usiadła na dywanie. Jej brzydka twarz przybrała dawny wyraz zastygłej melancholii.

– To jest twoja nowa pani, Topsy – rzekł Saint Clare po chwilowym milczeniu. – Mam nadzieję, że będziesz posłuszna.

– Dobrze, panie – odpowiedziała dziewczynka.

Saint Clare wprowadził kuzynkę do stołowego i gwiżdżąc jak na psa, zawołał dziewczynkę. Na widok wspaniałości jadalni, Murzynka znieruchomiała. Przykucnęła w kącie i rozglądała się na około ze zdumieniem.

– Nie mogę zrozumieć, po co było sprowadzać tego małego potworka – odezwała się Ofelia, siadając przy oknie. – Mamy za wiele tej czarnej hołoty.

– Kuzynka tak wiele mówi o potędze wychowania, że postanowiłem podarować jej istotę, wziętą wprost z łona natury. Daję kuzynce surowy materiał, abyś mogła go urobić.

– Być może, Augustynie. Ale niepotrzebnie tracisz pieniądze na tę afrykańską piękność. Mam tu dosyć osobników do wychowania...

– Chodzi o to, kuzynko, że ta nieszczęsna dziewczynka była we władzy dwóch desperackich pijaków, którzy bili ją ustawicznie. Dzierżawią niewielki zajazd przy głównym trakcie. Dziś przypadkowo byłem u nich i przyjrzałem się tej dziewczynce. Wydało mi się, że może z niej wyrosnąć niezły człowiek. Znając dobre serce kuzynki, postanowiłem podarować ją tobie.

– Dobrze, postaram się. Mój Boże, jest prawie naga i jakże brudna! – zauważyła stara panna, odwracając się z przerażeniem.

– Niech kuzynka każe umyć ją i ubrać; to takie proste – odezwał się Saint Clare.

Miss Ofelia gestem kazała dziewczynce iść za sobą. W kuchni jednak nikt nie kwapił się by ją umyć. Miss Ofelia musiała sama przystąpić do tej czynności. Tylko poczucie powinności chrześcijańskiej mogło ją zmusić do zszorowania grubych warstw brudu z ciała Topsy. I oto pod nimi ukazały się liczne blizny, sińce i sine pasma, świadczące o systemie wychowania, jakiemu dotychczas podlegała dziewczynka. Serce starej panny było do głębi wzruszone.

– Ile masz lat, Topsy? – zawołała miss Ofelia doprowadziwszy małą do ludzkiego wyglądu.

– Nie wiem, pani – brzmiała odpowiedź.

– Jak to, czy nikt ci nie mówił? Kim była twoja matka?

– Nie miałam matki – odpowiedziała dziewczynka z grymasem.

– Jak to nie miałaś matki?! Wszyscy ludzie mają matki... No dobrze. A gdzie się urodziłaś?

– Nigdzie się nie urodziłam.

Mówiąc to Topsy stroiła miny, które nadawały jej twarzyczce wyraz prawdziwie diabelny.

– Nie waż mi się tak odpowiadać, Topsy – odpowiedziała surowo miss Ofelia, uzbrajając się w chrześcijańską cierpliwość. – Nie żartuję z tobą, pytam się poważnie.

– Doprawdy, nigdzie się nie urodziłam. Nie miałam ani ojca ani matki... Miałam pana, trzymał przy sobie dzieci, aby potem je sprzedawać.

– Ile czasu byłeś u tego pana?

– Nie wiem, pani.

– Rok? Dwa lata?

– Doprawdy nie wiem, pani.

– A czy słyszałaś o Bogu?

Dziewczynka ze zdziwienia wybałuszyła oczy i otworzyła usta.

– Czy ty wiesz, kto cię stworzył?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Czy umiesz szyc? – zmieniła miss Ofelia temat.

– Nie, pani.

– Więc co ty umiesz? Co robiłaś u swego pana?

– Nosила wodę, myłam statki, podawałam do stołów.

– A czy dobrzy byli ci, u których służyłaś?

– Chyba tak.

Miss Ofelia przerwała dociekanie i wróciła do Saint Clare'a. Powtórzyła mu treść rozmowy.

– Tak, to dziewicza gleba; zobaczymy, czy potrafi ją kuzynka obrobić.

Wiedząc, że w kuchni Topsy nie spotka się z dobrym przyjęciem, miss Ofelia postanowiła trzymać ją w swym pokoju i uczyć pod swym osobistym kierownictwem gospodarskich zajęć.

Istotnie nazajutrz zaczęła ją wtajemniczać w sekrety ścielenia łóżek.

– Przyglądaj się Topsy, jak należy ścielić łóżko. Patrz uważnie i zapamiętaj sobie wszystko.

– Dobrze, pani – odparła z westchnieniem Topsy.

– To jest wierzch kołdry, a to podszewka. Rozumiesz?

– Rozumiem, pani.

– Dolne prześcieradło trzeba starannie zawinąć pod materacem, aby nie wysunęło się i aby nie było żadnej fałdy... Tak... Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam, pani, wszystko zrozumiałam.

Topsy udawała, że całą uwagę przykuwa do czynności swej pani, a jednak, ledwo miss Ofelia zdążyła się na chwilę odwrócić, z niezwykłą zręcznością capnęła z otwartego pudełka,

stojącego na komodzie, parę rękawiczek, wstążkę i wsunęła za stanik. Jednak miss Ofelia zauważyła jej ruch i odebrawszy wstążkę, z oburzeniem zawołała:

– Ach, ty wstrętna złodziejko! Już zdążyłaś ukraść wstążkę!

– Przepraszam pani, ale ja nie rozumiem, w jaki sposób znalazła się u mnie – odpowiedziała z niewinną miną Topsy. – Na pewno, ktoś mi ją tu wsunął...

– Może ja wsunęłam? Przed chwilą widziałam tę wstążkę w pudełku... Tyś ją ściągnęła?... Lepiej nie kłam.

– Doprawdy nie ściągnęłam, pani.

– Topsy, nie wolno kłamać!

– Ja nigdy nie kłamię, pani. Mówię prawdę, że nie brałam tej wstążki i nie wiem, skąd ona u mnie się wzięła.

– Topsy, jeżeli będziesz tak bezczelnie kłamać, to zbiję cię na kwaśne jabłko.

– Może mnie pani bić do wieczora, ale ja nie mogę powiedzieć, że ukradłam, skoro tego nie zrobiłam – upierała się dziewczyna. – Nie jestem złodziejką, ani kłamczuchą. Może jakiś duch wsunął mi tę wstążkę. Bywają takie złe duchy.

– Nie waż mi się gadać głupstw o duchach!... Sama jesteś złym duchem i dlatego nie tylko kradniesz, ale i kłamiesz!

W uniesieniu potrząsnęła ją za ramię; i oto spod stanika dziewczyny wypadła para rękawiczek.

– A co to jest?! – krzyknęła stara panna. – To też zły duch, co?

Zrazu Topsy przyznała się tylko do kradzieży rękawiczek, w końcu jednak pod groźbą użycia trzciny przyznała się również do wstążki.

– A coś ty skradła w ciągu dnia wczorajszego i dzisiejszego ranka? – badała Ofelia. —Jeśli powiesz prawdę, to nie będę cię biła.

– Wzięłam tę czerwoną rzecz, którą miss Ewa nosi na szyi.

– Jak? Korale?! Tak! Dobra z ciebie dziewczyna, nie ma co... Coś jeszcze ukradła?

– Czerwone kolczyki miss Róży.

– Tak! A co jeszcze?

– Nic więcej.

– Kłamiesz! Z oczu poznaję, że kłamiesz. Mów wszystko, bo będzie źle.

– Doprawdy nic więcej. Powiedziałam już wszystko.

– No dobrze. Przynieś natychmiast korale i kolczyki.

– Nie mogę pani. Spaliłam je.

– Jak to spaliłaś? Cóż to znowu!... Przynieś natychmiast powiadam ci!

Topsy upadła opiekunce do nóg i ze łzami, z wyciem zapewniła, że spaliła skradzione rzeczy.

W tej chwili weszła Ewa. Nosila na szyi korale, o które toczył się spór.

– Ewo, gdzieś znalazła korale? – zapytała ją ciotka.

– Jak to, ciociu? Gdzie miałam znaleźć, skoro nie zginęły.

– Gdzież one były wczoraj?

– Miałam je na sobie. Spałam w nich.

Miss Ofelia nie wiedziała co o tym myśleć i jak się zachować. Zdumienie jej wzmogło się, skoro przyszła Róża, brzęcząc swymi ogromnymi koralowymi kolczykami.

– Różo, to są te kolczyki, które stale nosisz?

– Oczywiście, pani – odpowiedziała ze zdumieniem Róża.

– Mój Boże, cóż to za bachor!... Topsy, po coś to wszystko zmyśliła?

– Pani kazała mi się przyznać, nie mogłam nic innego wymyślić!

– Czy kazałam ci się przyznać do tego, czegoś nie zrobiła?

– Pani nie wierzyła, że nic poza tym nie ukradłam.

– Wszystko jedno, nie powinnaś była kłamać.

– Ja tylko tak powiedziałam, ale nie kłamałam.

Ewa podeszła do niewolnicy i zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

Trudno sobie wyobrazić bardziej krańcowe przeciwieństwo. Delikatna, jasna, białolica, wytworna Ewa, wykwit wyższej rasy i czarna, szkaradna Topsy, napiętnowana wszelkimi przekleństwami niewoli: ubóstwem, występkiem i ciemnotą.

Być może Ewa czuła tę straszliwą różnicę, lecz nie mogła jej zrozumieć. Z głębokim politowaniem patrzyła na nieszczęsną młodą Murzynkę i w końcu odezwała się łagodnie:

– Biedna Topsy, dlaczego bez pytania bierzesz czyjeś rzeczy? To nieładnie. Lepiej proś mnie o wszystko, czego pragniesz, ale nie kradnij więcej.

Nikt jeszcze tak nie przemówił do Topsy. Okrągłe oczy, dzikuski napępniały się łzami. Lecz roześmiała się tylko, strojąc nieprawdopodobne grymasy. Pomyślała, że Ewa żartuje z niej.

Wypadek ten nie odpowiadał metodom wychowania, jakie miss Ofelia zamierzała stosować. Jednak, uwięziwszy dziewczynkę w najmroczniejszej komórce domu, stara panna zamyśliła się poważnie.

– Doprawdy nie wiem, co począć z tą dziewczyną? – żaliła się kuzynowi. – Jestem przeciwniczką bicia, ale zdaje się, że w tym przypadku trzeba będzie zrezygnować z zasad.

– Jeżeli to konieczne, trudno – odpowiedział Saint Clare. – Niech kuzynka jednak pamięta, że Topsy przywykła do bicia, nie wystarczy jej uderzyć, należy ją skatować do krwi, aby coś poczuła.

– Nie nadaję się na kata... Lecz mówmy poważnie, co należy uczynić, aby ją zmienić?

– Trudno na to odpowiedzieć. Ja również nie wiem, jak postępować z takimi bachorami. Bywają dorośli niewolnicy tego samego gatunku. Właściwy sposób traktowania ich jest zagadką, której nie potrafię rozwiązać.

Miss Ofelia odpowiedziała gestem rezygnacji.

Przede wszystkim ułożyła dla dziewczynki plan dnia i zaczęła ją uczyć czytania i szycia. Dziewczynka była bardzo zdolna. Pamiętała litery i już po krótkim czasie umiała swobodnie czytać. Zrozumiała bowiem, że czytanie książek jest bardzo interesującym zajęciem. Natomiast do szycia nie można jej było zachęcić. Uważała to za prawdziwe katusze. Łamała igły, wyrzucała je przez okno lub wsuwała w szpary podłogi; płała, zrywała i kroila na drobne kawałki nici. Czyniła to ze zwinnością kuglarza. I zawsze znajdowała na usprawiedliwienie tysiące różnych wymówek, które doprowadzały do rozpaczony jej wychowawczynię...

Wkrótce wszyscy zauważyli jej niezwykle zdolności do błaznowania. Jak gdyby powołaniem jej było zostać znakomitym błaznem. Zyskała sobie szczególne uznanie wśród dzieci. Nawet Ewa ze śmiechem patrzyła na jej wysoki. Jedynie miss Ofelia była niezadowolona z artystycznych zdolności Topsy – i sarkająca na pobłażliwość Ewy. Pewnego razu zwróciła się do Saint Clare'a:

– Augustynie, nie powinieneś pozwalać Ewie przebywać tak często w towarzystwie Topsy.

– Czemu nie? – odparł Saint Clare. – Topsy może się Ewie przydać.

– Przydać?! Nie pojmuję, jak może tak zepsute do szpiku kości stworzenie przydać się komukolwiek? Ja uważam, że Topsy może tylko zepsuć Ewę.

– Ewy nikt nie zepsuje. Ewa jest uosobieniem dobroci i zło nie ma do niej dostępu. Brud tylko opryskuje marmur, ale nie przenika do niego nigdy.

– Wszakże powinniśmy się starać, aby brud nie opryskał marmuru nawet z zewnątrz.

– Niechaj ten marmur, to znaczy Ewa, wie o wszystkim. To jej się przyda.

– Ach, Augustynie, miej się na baczności, aby się coś złego nie stało. Ewa jest wprawdzie marmurem, ale jeszcze nie skrzepla. W każdym razie nie pozwoliłabym swoim dzieciom tak często przebywać z Topsy.

– Być może, że dla dzieci kuzynki towarzystwo Topsy byłoby szkodliwe, ale Ewie nie absolutnie nie grozi. Gdyby mogła się popsuć, to by się to już dawno stało.

Miss Ofelia wzruszyła tylko ramionami i zbyła go milczeniem.

Z początku niewolnicy Saint Clare’a źle się odnosili do intruzki, ale potem zmiarkowali, że to nie jest wygodne, albowiem „mały diabełek”, jak ją nazwano, nie darował nikomu obrazy.

Topsy tak zręcznie mściła się, że niepodobna jej było schwytać na gorącym uczynku. Uwijała się doskonale, umiała dostosować się do nastrojów pani domu i wkrótce jej pobratymcy zrozumieli, że lepiej mieć w niej przyjaciela niż wroga.

Pewnego razu miss Ofelia zastała ją mizdrzącą się przed lustrem w turbanie, zwiniętym z najlepszego jej woalu z krepy.

– Topsy, oszalałaś chyba! — obruszyła się. – Jak śmiesz grzebać w mojej szufladzie i wyciągać z niej moje rzeczy?

– Jestem przecież wstrętą dziewczynka... inaczej nie umiem postępować – odpowiedziała spokojnie Topsy.

– Nie wiem, co z tobą robić?

– Trzeba mnie bić, pani. Czemu mnie pani nie bije? Zasługuję na to.

– Nie lubię nikogo bić. A poza tym sama wiesz, że możesz być lepszą dziewczyną. Po prostu sama nie chcesz być dobra, bo gdybyś chciała, byłabyś lepsza od innych.

– No tak, nie chcę.

– Ale dlaczego nie chcesz? Nikt cię przez to nie lubi...

– Niech nie lubią! Akurat mi to potrzebne!

– Ach, ty szkaradna dziewucho!... Nie wstyd ci tak mówić?

– Nic mi nie wstyd... Jeżeli się pani nie podobam, to niech mnie pani bije.

– Dobrze, będę cię biła.

Nie posiadając się z gniewu, miss Ofelia takie jej sprawiła lanie, że plecy dziewczynki pokryte były czerwonymi pręgami. Podczas egzekucji Topsy wyrwała się, krzyczała nieludzkim głosem, ale już po godzinie, stojąc na podwórku w otoczeniu dzieci, opowiadała im śmiejąc się i robiąc pocieszne miny:

– No, bije też ta miss Ofelia, śmiechu warte, tylko muchy spędza. Tak kiedyś bił mnie pan. Też mi się zabiera do karania!

I chcąc pochwalić się przed swymi koleżankami, dodała:

– Wszystkie wy razem wzięte nic nie znaczą wobec mnie. Miss Ofelia mówi, że wszyscy Murzyni są źli, ale ja jestem pośród nich najgorsza. Ze mnie nie można zrobić dobrej, bo ja nie chcę być dobra – to takie nudne i głupie. Gorszego stworzenia ode mnie nie ma na całym świecie. Wiedźcie o tym i zachwycajcie się mną!

I pyszniąc się świadomością swej wyższości, Topsy poszła do kuchni, gdzie, przybierając potulny wyraz twarzy i przymilając się do Diny, wyprosiła u niej pierożek. Po kilku minutach była już znowu na dworzu, gdzie czyniła z siebie widowisko.

Każdej niedzieli Ofelia dawała Topsy lekcje katechizmu. Dziewczynka miała nadzwyczajną pamięć, dlatego też często znała każde słowo lekcji na pamięć. Ale zdarzało się, że nie można było z niej wydobyć ani jednego słowa. Nieraz podczas lekcji stroiła tylko miny dziecinne..

Któregoś dnia Saint Clare asystował przy lekcji i po ukończeniu jej zapytał miss Ofelię:

– Powiedz mi łaskawie, kuzynko, czego chcesz dopiąć tymi lekcjami?

– Jak to czego? – zdziwiła się stara panna. – Chcę, żeby Topsy poznała zasady religii chrześcijańskiej.

– Ależ przecież ona nie rozumie twoich zasad?

– Cóż z tego? Myśmy też z początku nic nie pojmowali, a potem kiedyśmy wyrosli i zmądrzeli, zrozumieliśmy wszystko.

– A ja na przykład nie tylko że nie rozumiałem, ale zapomniałem wszystkiego, czego się w młodości nauczyłem.

– Ach, Augustynie, Augustynie, jakie piękne nadzieje rokowałeś, dzieckiem będąc.

– Czyżbym ani jednej nie urzeczywistnił?

– Nie powiem, że ani jednej, ale według mego sądu – bardzo niewiele.

– Co robić? To pewnie dlatego, że nie zmądrzałem z latami, jak by należało się spodziewać. Topsy może będzie mądrzejsza, ona przecież nie wrodziła się we mnie – zakończył rozmowę wybuchem śmiechu.

Topsy stała z dala, czekając, kiedy państwo pozwolą jej odejść. Wydawała się ona posażkiem bez życia, chociaż w rzeczywistości, z uwagą przysłuchiwała się rozmowie. Saint Clare od tej pory prawie każdej niedzieli asystował przy lekcji katechizmu, bawiąc się wyśmienicie zabawnymi, a jednocześnie bardzo dowcipnymi spostrzeżeniami Topsy. Dziewczynka w lot pojęła, że jej swoiste rozważania tekstów katechizmu sprawiają przyjemność panu, dlatego też wysilała się na wszystkie sposoby i doprowadzała miss Ofelię do ostateczności.

Saint Clare interesował się dziewczynką jak papuzką, pieskiem lub jakimś innym zwierzątkiem, które mogłoby go zabawiać. W każdym razie odnosił się do niej życzliwie. Nieraz dawał jej trochę pieniędzy, kupowała sobie łakocie, którymi dzieliła się ze swymi towarzyszami. Życzliwość i delikatny sposób obchodzenia się z nią Saint Clare'a i Ewy, utwierdzały ją w mniemaniu, że nie jest tak zła, za jaką uważają ją wszyscy mieszkańcy tego domu i w duchu przyrzekała sobie nie być lepszą.

Ale dość już o tym dziwnym stworzeniu, należy zająć się teraz innymi osobami które odgrywają istotną rolę w tej prawdziwej historii.

ROZDZIAŁ II

Znowu w Kentucky

Wracamy, do Kentucky, żeby przekonać się, jak żyją tam bez naszego starego przyjaciela.

Był piękny, upalny dzień. Mr. i mrs. Shelby odeszli w tej chwili od stołu w jadalni i przeszli do obszernego salonu. Z twarzy mrs. Shelby można było wyczytać, że chce coś powiedzieć mężowi, ale nie wie od czego zacząć. W końcu po długim namyśle odezwała się:

– Czy wiesz o tym, Arturze, że ciocia Chloe otrzymała dziś list od Toma?

– Czyżby? —zainteresował się mr. Shelby. — Cóż on pisze?

Nabrawszy odwagi, mrs. Shelby ciągnęła dalej:

– Dostał się w dobre ręce. Zajmuje u swojego pana prawie takie samo stanowisko jak u nas, obchodzą się też podobno z nim bardzo dobrze.

– No, dzięki Bogu! – z prawdziwą radością zawołał mr. Shelby. – Teraz prawdopodobnie Tom nie zechciałby wrócić do nas?

– Przeciwnie, jak to się wyczuwa z jego listu, tylko marzy o tym i prosi swą żonę, aby dowiedziała się, czy może mieć nadzieję, że wykupimy go kiedyś.

– Ja sam nie wiem, jak to będzie – z westchnieniem odpowiedział mr. Shelby. – Gdy interesy zaczynają się plątać, trudno je rozwikłać.

– Wydaje mi się, że mógłbyś świetnie poprawić swoje interesy, gdybyś sprzedał konie i jedną z naszych ferm zauważyła żona.

– To się tobie tylko tak wydaje, Emilio – ściągnawszy brwi, odpowiedział mąż. – Jesteś wprawdzie najlepszą kobietą w całej Kentucky, ale na sprawach pieniężnych nie znasz się zupełnie.

Mrs. Shelby westchnęła głęboko. Pragnęła ogromnie dotrzymać słowa danego Tomowi i jego żonie; świadomość, że brak jej po temu środków i nadziei, męczyła ją ogromnie. Ale nie należała ona do tych ludzi, którzy prędko ulegają, dlatego też ponowiła rozpoczęty atak.

– Arturze! – cicho odezwała się – czy nie można by zdobyć trochę pieniędzy, żeby wykupić Toma? Jak zadłużyć się, to już zadłużyć się... Biedna Chloe zmarniała zupełnie wskutek tej rozłąki z mężem... W dodatku – daliśmy przecież słowo, że wykupimy go.

– I niepotrzebnie żeśmy to zrobili! – mruknął Shelby, unikając błagalnego wzroku swej żony. – Nigdy nie należy dawać bezpodstawnych obietnic... Poradź lepiej Chloe, aby pogodziła się z faktem dokonanym... Niech poszuka sobie innego męża, jeśli znudziło się jej wdowieństwo.

– Ona tego nigdy nie zrobi. Ja nauczyłam ich rozumieć i cenić świętość małżeńskich więzów. W każdym bądź razie naszym obowiązkiem jest dotrzymanie danego przyrzeczenia. Jeśli nie ma na to innej rady, to będę zmuszona dawać lekcje muzyki, aby zebrać potrzebną sumę na wykupienie Toma...

– Nie, na to ja nie pozwolę. Nie pozwolę, abyś tak się poniżała, Emilio – odpowiedział mr. Shelby, ale w tej chwili na balkonie ukazała się ciocia Chloe.

– Jeśli państwo mają trochę czasu, poproszę na chwilę – powiedziała Chloe.

– Czego ci trzeba – zapytała mrs. Shelby, podnosząc się i wychodząc na balkon.

– Czy nie każe pani kupić prowiantu?

I ciocia Chloe wskazała duży kosz napełniony kaczkami i kurami, który przyniosła na balkon.

– Dobrze, kup. Przyniosę ci zaraz pieniądze do kuchni.

Mrs. Shelby wzięła pieniądze i poszła do kuchni. Po skończeniu targu, Chloe śmiechem pokrywając zmieszanie, powiedziała:

– Przepraszam panią, że ośmielałam się zapytać, dlaczego pani i pan męczycie się nad zdobyciem pieniędzy, kiedy można je tak lekko zdobyć?

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – odpowiedziała mrs. Shelby, domyślając się jednak, że Chloe podsłuchiwała jej rozmowę z mężem.

– Otóż inni państwo wynajmują swoich niewolników i dostają za to dużo pieniędzy.

– Tak, ja wiem, że tak robią. Ale kogóż to według ciebie, można by było wynająć?

– Niech mi pani wybaczy, ja nie śmiem narzucać pani swego głupiego zdania, ale słyszałam, że cukiernik w Louiswill poszukuje dobrego robotnika i obiecuje wypłacać za niego cztery dolary tygodniowo.

– No i cóż z tego, Chloe?

– Otóż, proszę pani, co mi przyszło do głowy... Przepraszam, jeśli się to pani nie spodoba. Moja pomocnica, Sally, radzi sobie świetnie sama. Jeśliby pani pozwoliła, pojechałabym jako robotnica do Louiswill i zarabiałabym dużo pieniędzy.

– Czyżbyś zgodziła się porzucić dzieci, Chloe?

– A dlaczegoż nie, pani? Dziewczynką zaopiekuje się Sally, a co się tyczy chłopców, to oni są już dorosłymi mężczyznami i uporają się z gospodarstwem.

– Ale do Louiswill jest daleko?

– I to nie jest straszne, pani. Mówią, że to miasto położone jest nad rzekę, tam, na Południu... Czułabym się bliżej mego staruszka.

– Nie, Chloe – z bólem duszy odpowiedziała mrs. Shelby. – Tom jest oddalony o wiele tysięcy mil i od Louiswill.

Chloe smutnie opuściła głowę.

– Ale zawsze to bliżej będzie – pospiesznie dodała mrs. Shelby. – Jeżeli chcesz koniecznie, to cię puszcze. Zobowiązuję się cały twój zarobek przeznaczyć dla Toma.

Jak mroczny obłok naraz oświeśla się promieniem słonecznym, podobnie czarne oblicze Chloe rozjaśniło się radością.

– O, pani, niech panią Najwyższy błogosławi za dobre serce! – zawołała Murzynka, chwytając rękę mrs. Shelby. – Ja sama niczego nie potrzebuję: ani odzieży, ani obuwia, nic absolutnie. Chciałam się dowiedzieć, ile zarobię przez rok, jeżeli dostanę tygodniowo po cztery dolary.

– Dwieście osiem dolarów.

– Ach, jakże wiele! – zawołała Murzynka. – A ile lat będę musiała pracować, aby wykupić swego staruszka?

– Prawie pięć lat. Ale nie będziesz musiała sama na to pracować. Pomogę ci z moich oszczędności.

– Ale skąd... Ani pani, ani nikt inny nie będzie na Toma pracował, póki Chloe ma zdrowe ręce.

– No dobrze, będziemy pokładali w tobie nadzieję – odpowiedziała z uśmiechem mrs. Shelby. – Kiedy wybierasz się do miasta?

– Jeśli pani pozwoli, da mi paszport i rekomendację, to jutro rano wyruszę.

– Dobrze, Chloe, postaram się wszystko przygotować. Trzeba tylko najpierw pomówić z panem. Nie mogę tego zrobić bez jego zgody.

– No, w tym wypadku pan nie będzie się sprzeciwiał – rzekła Chloe i odprowadziwszy panią do domu, szybko wróciła do siebie i zaczęła się szykować do drogi.

Wieczorem, gdy ciotka Chloe cerowała ubranka i bieliznę dzieci, przyszedł Jerzy Shelby.

– O, master Shelby – podzieliła się z nim radością Chloe – wie pan, że jutro wyjeżdżam do Louiswill! Wyobraź sobie, że wstąpiłam na służbę do cukierni. Będą mi płacić cztery dolary tygodniowo!

– To dopiero! – zawołał chłopiec z ożywieniem – Kiedy jedziesz, ciotko Chloe?

– Jutro... Master Jerzy, niech pan napisze list do Toma, aby wiedział o tym i cieszył się.

– Z przyjemnością, ciotko Chloe. Pobiegnę do domu po papier...

– Niech pan idzie, panie Jerzy, a ja tymczasem usmażę kawałek mięsa.

Lecz chłopak nie słyszał już ostatnich słów kucharki i mknął do domu szczęśliwy, że może przysłużyć się starej przyjaciółce.

ROZDZIAŁ III

Trawa usycha, kwiaty więdną

Powoli dzień po dniu upłynęły dwa lata. Jakkolwiek Tom tęsknił do swoich i stale wzdychał do nich, przecież nie mógł się skarżyć na los. Clare i Ewa lubili go, wszyscy zwracali się doń z uszanowaniem i nawet pani domu traktowała go lepiej niż jego poprzedników.

W odpowiedzi na swój list otrzymał z domu radosne wiadomości. Były tak wyraźnie skreślone wprawną ręką Jerzego Shelby, że Tom, odczytał je bez trudu. Często w wolnych chwilach wracał do tego listu, pieczołowicie rozkładał go na stole i powoli czytał. Płakał, gdy czytał, że jego chata po powrocie będzie odnowiona. Odsuwał przy tym głowę, aby łzy nie spadły na cenny papier. Był szczęśliwy wiedząc, że ci, o których marzył, nie zapomnieli go.

Przyjaźń jego z Ewą była coraz ściślejsza. Tom przywiązał się do niej całą siłą swej wrażliwej i czulej duszy. Największą rozkosz sprawiało mu uprzedzanie jej niewinnych życzeń i sprawianie jej przyjemności. Podobnie Ewa starała się uprzyjemnić życie Tomowi. Mimo młodego wieku czytała bardzo płynnie. Przywiązała się bardzo do Biblii i często czytała ją na głos swemu uważnemu słuchaczowi.

Lato było szczególnie gorące, wobec czego rodzina Saint Clare przeniosła się na letnisko nad jeziorem Pontchartrin. Willa ich przylegała do rozkosznego zacienionego ogrodu, pełnego rzadkich roślin i kwiatów.

Był cudowny wieczór. Purpurowy blask słońca schował się za widnokrzem. Żagle mknących z dala barek wydawały się skrzydłami ogromnych ptaków. Gdzie niegdzie na niebie zapłonęły gwiazdy, odbijając się na falach jeziora.

Ewa i Tom siedzieli na ławce pod drzewem. Ewa trzymała na kolanach otwartą Biblię i czytała.

„I ujrzałem morze kryształowe, zmieszane z ogniem...”

– Wuju Tomie – urwała nagle, wskazując na jezioro – tam ono jest, kryształowe morze!

– Gdzie, miss Ewo?

– Oto tam, prosto przed tobą! Czy wody naszego jeziora nie wydają ci się kryształowymi i zmieszanymi z ogniem?

– Prawda, miss Ewo. Od razu nie domyśliłem się, myślałem, że wskazujesz na niebo... Tak, to prawda i jakie to piękne!

I nie spuszczać oka z płonącego jeziora, Tom zaśpiewał:

– O, gdyby ranek dał mi skrzydła
Do Chanaanu bym pofrunął,
pofrunąłbym z serafinami
ze skrzydlatymi aniołami
Ja bym poleciał do siedliska
aż do Nowego Jeruzalem

– A gdzie twoim zdaniem znajduje się Nowy Jeruzalem? – zapytała Ewa.

– Wysoko, bardzo wysoko, nad obłokami, miss Ewo.

– Tak, zdaje się, że widzę go – zawołała dziewczynka z uniesieniem, wpatrując się w niebo. – Oto, patrz wuju Tomie, czy nie widzisz tam za chmurami brylantowych wrót?... Śpiewaj, wuju Tomie! Tak pięknie śpiewasz!

Tom kontynuował:

– Moc jaśniejących duchów widzę
chwałą niebiosów przepełnionych!
lekkie ich szaty promieniają
i palm gałęzie w rękach drżą!

– Tak, tak, wuju Tomie, widziałam je, doprawdy widziałam! – powtórzyła dziewczynka. – Widziałam je we śnie, wuju Tomie. Istotnie nosili promieniającą odzież i trzymali w rękach palmowe gałęzie.

Umilkła, po czym, nie spuszczać oka z nieba, dodała:

– Wuju Tomie, ja tam wkrótce będę!

– Gdzie miss Ewo?

Dziewczynka podniosła się i wskazała ręką na niebo. Ostatnie promienie słońca oblały ją purpurowym światłem.

Serce wiernego Toma ścisnęło się chorobliwie przy ostatnich słowach dziewczynki. Już dawno zauważył, że Ewa chudnie, że kolor jej twarzy i rąk staje się coraz bardziej przezroczysty, że oddech jej staje się coraz bardziej urywany, i że już nie biega tak wesoło jak dawniej. Słyszał, jak miss Ofelia mówiła, że dziewczynka po nocach kaszle, służące zaś dodawały, że poduszki jej nad ranem są mokre od potu.

Mało jest takich dzieci jak Ewa i prawie wszystkie umierają wcześniej, zostawiając świetlane wspomnienie o swych niebieskich oczach, o promienistych uśmiechach i dziwnych gawędach.

– Ewo, gdzie jesteś? – rozległ się niecierpliwym głosem miss Ofelii. – Wracaj zaraz do domu. Z twoim kaszlem nie wolno tak długo przebywać na powietrzu.

Ewa i Tom jak gdyby ocknęli się z dziwnego snu. Spojrzeli na siebie i ruszyli w stronę starej panny.

Miss Ofelia od dawna zwróciła uwagę na suchy i głuchy kaszel dziewczynki, na jej nienaturalne rumieńce, fosforyczny blask oczu, gorączkowe podniecenie i poty nocne. Z właściwą sobie szczerością oświadczyła wręcz kuzynowi, że według jej zdania Ewa zdradza objawy suchot. Augustyn obruszył się i rzekł oschłym tonem:

– Proszę cię nie kracz, kuzynko. Wiesz, jak bardzo nienawidzę przesadnych obaw. Objawy, o których mówisz, są następstwem zbyt silnego rozwoju.

– Lecz kaszel...

– Cóż z tego? Trochę się przeziębila, to wszystko. Wielka rzecz! Wy kobiety, przekraczając pewien wiek, widzicie na każdym kroku urojone niebezpieczeństwa. Wystarczy zakaszleć, abyście podniosły krzyk o śmierci.

A jednak ogarnął go niepokój; z uwagą zaczął się przyglądać córce. Przeraziły go nie tyle zmiany w jej powierzchowności, co przedwczesna dojrzałość umysłu i niezwykle pobudliwa uczuciowość. Gdy dziewczynka mówiła w natchnionym uniesieniu, Saint Clare odczuwał zgrozę, jak wobec czegoś niepojętego. Przyciągał ją do siebie i obejmował tak mocno, jak gdyby chciał powiedzieć, że za nic na świecie nie pozwoli zabrać jej.

Ewa coraz mniej szukała osobistych przyjemności; myślała tylko o tym, aby czynić dobro i ulżyć niedoli bliźnich. Przestała się bawić, lecz z przyjemnością obserwowała gry i zabawy innych dzieci. Błazeństwa Topsy bawiły ją czasem, lecz przeważnie miny małej Murzynki napawały ją smutkiem i pogrążały w mroczną zadumę.

– Mamo – zapytała pewnego razu przy stole – czemu nie uczymy niewolników czytać?

– Cóż to znów za dziwaczne pytanie, Ewo – zawołała mrs. Saint Clare. – Murzynów nie uczy się czytać.

– A ja myślę matko, że każdy powinien umieć czytać Biblię i Ewangelię – upierała się dziewczynka. – Murzyni to ludzie jak my. Otóż ciotka Ofelia nauczyła Topsy.

– I co z tego wynikło? Nie ma gorszej istoty od Topsy, nikt sobie nie może dać z nią rady.

– Ach, mamo, ona nie dlatego jest taka zła... Byłaby lepsza, gdyby już dawniej nauczono ją czytać Pismo Święte... A co będzie z biedną nianią? Ona tak lubi słuchać Ewangelii. Kto będzie jej czytał, kiedy mnie nie będzie?

Ojca przy stole nie było. Matka wytłumaczyła sobie powiedzenie córki po swojemu, więc odpowiedziała:

– Mogłabyś już przestać zadawać się ze służbą. Dostyc już sentymentu, który jest zbyteczny w życiu towarzyskim. Chodźmy do mego pokoju, pokażę ci kolia, którą nosiłam na pierwszym balu. Podaruję ci ją w dniu twego pierwszego wyjazdu.

Dziewczynka, nie chcąc martwić matki, poszła za nią posłusznie. Mrs. Saint Clare wyjęła z komody czerwony aksamitny futerał i otworzyła go. Wspaniała brylantowa kolia rozsiewała tysiączne kolorowe błyski, a jednak Ewa ledwo patrzyła na nią i ledwo słuchała flegmatycznych słów matki, opowiadającej, jaką furorę budziły te klejnoty w towarzystwie.

– Czy drogo kosztuje ta kolia, mamo?

– Bardzo drogo. Za te brylanty można kupić cały majątek, niegorszy od naszego.

– Chciałabym ją posiadać i móc z nią robić, co zechcę.

– Powiedziałam, że będzie twoja. A co chciałabyś z nią zrobić?

– Sprzedałabym ją, kupiłabym posiadłość w wolnych stanach, przesiedliłabym tam naszych niewolników, wynajęłabym dla nich profesorów, którzy by ich nauczyli czytać i pisać...

– Che-che-che! Jesteś nieprawdopodobną marzycielką, Ewo!... Przestań pleść głupstwa. Nie znasz jeszcze życia i mówisz jak... To bardzo źle. Dzieci powinny być dziećmi, a nie udawać filozofów, których zresztą nikt nie lubi.

Dziewczynka uśmiechnęła się lekko. Przypomniała sobie, że ojciec wręcz odmiennie odezwał się o filozofach. Wyszła myśląc o tym, że trzeba będzie uczyć niańkę, która tak pragnie napisać list do męża.

ROZDZIAŁ IV

Henry

W kilka dni po tej rozmowie przyjechali goście: brat Augustyna, Alfred Saint Clare i jego dwunastoletni synek.

Słusznie twierdził o sobie Augustyn, że nie jest do brata podobny, aczkolwiek łączyła ich szczerą przyjaźń. Trudno było określić, który jest przystojniejszy; czy Augustyn, zgrabny, wytworny o delikatnym profilu, jasnych włosach i niebieskich oczach, czy barczysty, silny, czarnooki Alfred o kruczonych włosach, o dumnym rzymskim profilu i ostrym podbródku.

Przechadzając się po ogrodzie bracia rozprawiali i potępiali wzajemnie swe myśli i czyny. Dyskusje jednak nie miały w sobie nic obraźliwego i toczyły się w przyjaznym tonie.

Henry, starszy syn Alfreda był istną kopią swego ojca: piękny brunet, pełen życia i ognia, o prezencji i manierach księcia. Ewa wywarła na nim głębokie wrażenie: chodził za nią wszędzie jak oczarowany.

Pewnego razu po śniadaniu oboje wybrali się na przejażdżkę konną. Ewa miała małego białego kucyka, równie łagodnego jak joga pani.

Tom podprowadził kucyka do werandy; w tej chwili ładny mulat lat trzynastu przyprowadził małego czarnego konia arabskiego, niedawno kupionego dla Henry'ego.

– Co to ma znaczyć, Dodo – zawołał Henry, zwracając się do mulata – zdaje się, że nie czyściłeś go dzisiaj, leniwy wałkoniu?

– Nie, panie – odpowiedział potulnie mulat – czyściłem go, lecz znów się zakurzył...

– Będziesz mi jeszcze odpowiadał? Milczeć! – krzyknął chłopak, zamierzając się biczem.
– Jak śmiesz kłócić się ze mną?

Mulat był niewiele wyższy od swego pana, miał szlachetną urodę, ogniste spojrzenie i drobne rysy twarzy. Z pierwszego wejrzenia widać było, że w żyłach tego chłopca płynie krew białej rasy.

– Pozwoli pan sobie powiedzieć... – podjął, zalewając się rumieńcem i błyszcząc oczyma.

– Ach, będziesz mi tu jeszcze mówił! – krzyknął z gniewem Henry, biczem smagnął służącego po twarzy, powalił go na ziemię i okładał rękojęścią, póki mu się ręka nie zmęczyła.

– Masz, ty wstrętny szczeniaku, za twoje spory! Natychmiast odprowadź konia do stajni i oczyść go należycie.

– Paniczu – wtrącił się Tom – sam widziałem, jak Dodo czyścił konia pańskiego bardzo starannie. Lecz arab jest młody i krnąbrny, więc wytarzał się później w kurzu.

– A ty mi będziesz się odzywał, kiedy cię nie pytają? – odparł pogardliwie Henry i podszedł do Ewy, która schodziła właśnie z werandy.

– Wybacz pani, kuzynko – zwrócił się do niej szarmancko – będzie pani musiała trochę poczekać z winy tego bałwana. Ale co się stało, dlaczego pani taka smutna? Czy ktoś panią obraził?

– Mnie nikt nie obraził, ale pan obraził i bił swego sługę. Jak pan mógł tak się nad nim znęcać? Pańskie postępowanie świadczy, że jest pan zły i okrutny. Miałam o panu inne zdanie.

– Nie bardzo panią rozumiem – odpowiedział ze zdumieniem Henry. – Dlaczego mnie pani potępia, droga Ewo?

. – Proszę bardzo, niech mnie pan nie nazywa drogą, skoro nie rozumiesz, że postępujesz źle.

– Cóż ja złego zrobiłem? Czy to przestępstwo karać złą służbę? Gdyby pani знаła trochę lepiej tego wałkonia, zmieniłaby pani zdanie. To takie chytre zwierzę, jakiego na świecie nie ma. Gdybym go nie bił, nie mógłbym z nim wytrzymać. Ojciec bije go również...

– Lecz wuj Tom powiedział panu, że Dodo nie jest winien, a wuj Tom nigdy nie kłamie.

– Pani „wuj” Tom jest starym osłem – akcentując słowo „wuj” odezwał się Henry. – Wtrąca się do nie swojej sprawy... Dodo kłamie na każdym kroku.

– Pan swym ohydny postępowaniem zmusza go często do kłamstwa.

– Piękna kuzynko, tak gorąco staje pani w obronie Dodo, że gotów jestem unieść się zazdrością – odpowiedział patetycznie chłopak.

– Jakże nie brać go w obronę, skoro pobił go pan bez powodu.

– Przypuśćmy nawet, że tym razem był niewinny. Ale przecież nic mu się nie stanie od kilku uderzeń, na które zresztą zasłużył sobie czym innym, o czym jeszcze nie wiem. Lecz jeżeli to pani sprawia przykrość, przyrzekam nie bić go w obecności pani.

Ewy nie zadowoliło przyrzeczenie Henry’ego. Pragnęła go całkowicie oduczyć od bicia niewolników. Wszystkie jednak jej perswazje spęły na niczym.

Skoro Dodo wrócił z koniem, Henry powiedział mu łaskawie:

– Teraz dobrze, Dodo. Dojdź tam, potrzyмай konia miss Ewy, ja sam podsadzę panienkę.

Gdy Dodo zbliżył się do Ewy, zauważyła, że twarz jego jest wykrzywiona z bólu, a oczy pełne łez. Nie zważając na krzątającego się przy niej Henry’ego, przechyliła się na siodle ku mulatowi i cicho rzekła:

– Dobry z ciebie chłopak, Dodo, widzę to. Nie smuć się, będę się za ciebie modlić.

Mulat podniósł głowę i prawie z nabożeństwem spojrział na piękną, opromienioną blaskiem miłości i dobroci twarzyczkę dziewczyny. I łzy gradem potoczyły się z jego smutnych oczu.

– Cóż ty się tam guzdrasz, Dodo! – zawołał Henry.

Mulat pospiesznie podbiegł do swego pana.

– Masz na łakocie – dodał Henry, rzucając w krzaki garść drobnych monet. – Poszukaj!

I dumny ze swej szczodrości pojechał za Ewą.

Bracia Saint Clare, siedząc w ogrodzie byli świadkami tej sceny. Augustyn zarumienił się z oburzenia, ale powiedział tylko z właściwą sobie ironią.

– Od razu widać, że chłopak jest wychowany w duchu prawdziwie republikańskim.

– Tak, Henry jest okropnie zapalczywy. Czasem nie można go powstrzymać – odpowiedział Alfred.

– Zdaje się, że nie usiłujesz tego robić.

– Usiłowałem. Ale doprawdy taki to gorący i nieokiełznany temperament, że zrezygnowaliśmy z wszelkich prób i machnęliśmy ręką. Co się tyczy obecnego wypadku, to znowu Dodo tak się do bicia przyzwyczaił, że wcale go nie poczuł.

– Któż go tak zahartował? Chyba ty i Henry.

– Tak, Henry twierdzi, że bez bicia Dodo nic nie zrobi jak należy...

– I ty tak bezgranicznie wierzysz chłopcu, którego temperament sam potępiasz? Trzeba było, żyjąc w republice, wpoić w swego syna pierwszy paragraf republikańskiego kodeksu określający równość i wolność wszystkich ludzi.

– Ty byś chciał, abym nauczył syna, że wszyscy są równi, a więc również niewolnicy. Gdybym nawet usiłował to zrobić, odpowiedziałby mi śmiechem. Równi są sobie tylko ludzie dobrze wychowani, inteligentni, zamożni i tak samo są równi sobie ludzie niższych ras i warstw.

– To dotyczy jedynie pozorów. Jeżeli o duszę chodzi wszyscy są sobie równi.

– Nieprawda, Augustynie. Gdyby „dusze” wszystkich ludzi były sobie równe, uzewnętrzniałyby się jednakowo u wszystkich. W rzeczywistości zaś jest inaczej.

– Dlatego, że wybrana garstka dusz ciemieży całą resztę. Wszakże wobec Boga wszyscy są równi.

– Wobec Boga? Odkąd stałeś się świętoszkiem?

– Uważasz, że tylko świętoszek może wierzyć w istnienie Najwyższej Istoty? Ty dzielisz ludzkość na klasy, ale zapytaj swych niewolników czy uważają to za słuszne? Uważaj braciszku, aby ci, którzy tymczasem ulegają tobie, a raczej twemu biczowi nie zmiarkowali w końcu, że wystarczy im się zjednoczyć, aby wyrwać z twych rąk bicz i zwrócić przeciwko tobie.

– Bądź spokojny, Augustynie. Ja i tacy jak ja potrafimy zabezpieczyć się zawczasu!... Otóż na przykład od pewnego czasu rozpowszechnia się mania szerzenia oświaty wśród mas. My rozumiemy, że oświata jest szkodliwa dla nich i staramy się przeciwdziałać tej manii.

– Współczesne metody szerzenia oświaty nie bardzo się przydają, ponieważ masy jeszcze do nich nie dojrzały; Ale już czas przystąpić do pracy oświatowej, w której każdy uczciwy człowiek powinien wziąć udział. Tego wymagają nasze własne interesy. Dotychczas hodowaliśmy w masach wyłącznie złe instynkty i to może się na nas skupić...

– Być może... Ale w każdym razie nie za naszych czasów.

– O, bynajmniej. Sądząc z pewnych objawów, których nie dojrzy tylko ten, kto umyślnie zamyka na wszystko oczy, katastrofa jest bliska... Ratunek upatruję jedynie w podniesieniu mas do nowego poziomu.

– Znowu te mrzonki! Zrozum Augustynie, że twoje poglądy to utopia. Tak samo, jakbyś wymagał, aby wszyscy ludzie mieli jednakowy wzrost. To niemożliwe, Augustynie. Nie dla Murzynów jest władza; panowanie nad światem należy się rasie anglosaskiej...

– Powinieneś wziąć pod uwagę, że w żyłach naszych niewolników płynie znaczny procent krwi anglosaskiej, którą sami wstrzyknęliśmy. Kiedy u nas wybije godzina, która wybiła dla San Domingo, wówczas ta nasza angielska krew dokona przewrotu.

– Nigdy do tego nie dojdzie.

– Tak, za czasów Noego nikt nie chciał wierzyć, że nastąpi potop.

– Ależ, Augustynie, nasz potop jest jeszcze bardzo daleki, zapewniam cię. I jeżeli ty zamierzasz zostać drugim Noe, to wiedz, że się bardzo rozczarujesz. Ta podła rasa – dodał po chwilowej pauzie, tupiąc nogami – zawsze będzie na dnie! Myśmy wymyślili proch, potrafimy go również zastosować w razie potrzeby.

– Żle jednak czynicie, oddając nadzór nad prochnią takim smarkaczom jak Henry – odparł szyderczo Augustyn. – Stare przysłowie powiada, że ten, kto nie umie panować nad sobą, nie potrafi panować nad innymi.

– Tak – odpowiedział w zamyśleniu Alfred – Henry istotnie nie umie nad sobą panować. Zdaje się, że stosujemy zły system wychowania.

– Naturalnie. Główna podstawa ludzkiego życia – wychowanie – jest u nas całkowicie wypaczone.

– Znowu przesadzasz, Augustynie. Wiesz co, zostawmy te próżne dyskusje, które mogą jeszcze nas poróżnić. Chodź, zagramy lepiej w szachy.

– Doskonale, idziemy – zgodził się Augustyn, kierując się ku domowi.

Po kilku minutach bracia zasiedli do gry.

– Powiedz, proszę cię, Augustynie – zaczął znowu Alfred, przestawiając figurkę na szachownicy. – Czemu nie kształcisz swoich niewolników, skoro wyznajesz takie poglądy.

– Siła złego na jednego – odpowiedział z goryczą Augustyn.

– O to mi właśnie chodziło – odparł ze śmiechem Alfred. – O, nasi już wracają. Jaka śliczna z nich parka, spójrz Augustynie.

Istotnie była to dobrana pod względem urody parka. Tylko, że uroda Henry'ego była wyłącznie zmysłowa, natomiast piękność Ewy była pięknem ponad wszystko.

– Będzie z niej piękna kobieta – zawołał Alfred, z zachwytem oglądając Ewę. – Wiele serc podbije w swym życiu.

– O, niestety, nie – odpowiedział ze smutkiem Augustyn, wychodząc naprzeciw córce.

Zsadzając ją z konia, zapytał tklawie:

– Nie jesteś zmęczona, córeczko?

– Nie ojciec – odpowiedziała Ewa, dysząc jednak ciężko.

– Jakże nie? A dlaczego oddychasz tak nierówno?... Czemu tak prędko jeździsz, skoro ci to szkodzi? Henry – dodał, zwracając się do bratanka – proszę cię, nie zmuszaj jej do szybkiej jazdy. – I nie spuszczać jej z rąk, zaniósł do bawialni i złożył na kanapie.

– Dobrze, stryju. Nie wiedziałem, że jej to szkodzi... Czy mogę posiedzieć, przy pani, kuzynko Ewo.

– Owszem, jeśli to kuzyna nie znudzi.

– Znudzi! – powtórzył z wyrzutem Henry, ogarniając ją zachwyconym spojrzeniem.

Po odejściu Augustyna nastąpiła krótka pauza. Naraz Henry nachylił się nad kuzynką i pogłaskał jej dłoń.

Dziewczynka otworzyła oczy, usiłując się uśmiechnąć.

– Co ci jest, Henry? – zapytała, przechodząc ze sztywnego „pan” na „ty”. – Wyglądasz tak smutnie.

– Smutno mi jest, droga Ewo. Wyjeżdżamy już jutro! Chciałbym być z tobą zawsze, całe życie. Przy tobie bym się poprawił, ponieważ bałbym się ciebie zasmucać... Przestałbym nawet znieważać Dodo, nie mówiąc już o biciu.

– A jak myślisz, Henry, czy byłbyś szczęśliwy, gdyby nikt cię nie kochał?

– Oczywiście, że nie... To byłoby okropne!

– Zastanów się więc, jak się czuje Dodo, którego przemocą oderwano od rodziców i bliskich i rzucono między ludzi, którzy traktują go jak maszynę bez czucia.

– Jakże ty mądrze mówisz, Ewo... Ale co robić? Przecież ja sam nie mogę go kochać.

– A to dlaczego? – odparła z ożywieniem Ewa.

– Kochać niewolnika!... Czy to możliwe Ewo? Czy ty kochasz swych niewolników?

– Rozumie się, że wszystkich kocham. Czy nie czytałeś w Ewangelii, że Zbawiciel uczył kochać wszystkich?

– O czym powiada Pismo Święte.

– Zostawmy to chwilowo. Przynieś mi tylko, że nigdy już nie będziesz znieważał Dodo. Przynieś Henry?

– Przynieś Ewo, nie tylko nie znieważać go, ale nawet starać się pokochać go, aby tobie przyjemność sprawić...

– Dziękuję, Henry. Pamiętaj o swej obietnicy. Dzwon, zwołujący domowników do obiadu, położył kres tej budującej rozmowie dzieci.

ROZDZIAŁ V

Mroczna wróżba

Po wyjeździe kuzyna Ewa przez kilka dni nie wychodziła z domu. Saint Clare dotychczas wzbraniał się wezwać do niej lekarza, być może dlatego, że lękał się potwierdzenia nurtujących go obaw. Tym razem jednak przezwyciężył tę niechęć i sam pojechał do miasta, aby sprowadzić tamtejszego luminarza medycyny.

Natomiast matka, jak zawsze zajęta sobą, nie zauważyła żadnej zmiany w wyglądzie dziewczynki. Była przeświadczona, że na całym świecie tylko, ona ulega chorobom, a przez to nigdy nie wierzyła w czyjeś niedomagania.

Na próżno miss Ofelia opowiadała jej o niepokojących objawach. Pani Saint Clare wzruszała ramionami i odpowiadała:

– Co się pani przyśniło? Ja uważam, że Ewa wcale się nie zmieniła, biega i bawi się jak dawniej.

– Lecz jej podejrzany kaszel...

– To i cóż z tego? Całe życie kaszlę i nic... Kiedy byłam w wieku Ewy, myślano, że mam suchoty i matka przez miesiąc nie odstępowała od mego łóżka...

– Poza tym poci się w nocy. Powiadam pani, że nie wolno tego lekceważyć.

– Mój Boże! w ciągu dziesięciu lat tak się pociłam po nocach, że rano byłam mokra jak po kąpieli w wannie.

Miss Ofelia umilkła, wiedząc, że nie przekona kuzynki. Lecz wszystko się zmieniło, skoro znakomity lekarz stwierdził u Ewy poważną chorobę. Pani Saint Clare zaczęła biadać i żalić się, że jest najnieszczęśliwszą na świecie kobietą.

– Uspokój się, Mery – pocieszał ją mąż. – Proszę cię, nie denerwuj się, przecież to nie pomoże.

– Łatwo ci tak mówić: jesteś mężczyzną i nie zrozumiesz uczucia matki! – krzyczała. – Ty sobie nic z tego nie robisz, lecz ja nie mogę się tak obojętnie przypatrywać, jak umiera moje jedyne dziecko! Przy swoich słabych siłach nie zniosę tego ciosu.

I zaczęła płakać histerycznie. Na próżno mąż powoływał się na opinię lekarza, który nie uważał stanu Ewy za groźny – mrs. Saint Clare nie wierzyła mu i nie przestała krzyczeć i narzekać.

Od tego czasu zaczęła wszystkim wmawiać obojętność, ponieważ nie oplakiwali jej „konającego aniołka”. Kiedy zaś pewnego razu zastała dawną niańkę Ewy we łzach, nazwała ją starą fałszywą obłudnicą.

Po pewnym czasie stan Ewy polepszył się: choroba, jak to nieraz bywa, cofnęła się, aby potem od razu zadać decydujący cios. Ewa znowu zaczęła bawić się, śmiać i biegać po ogrodzie, ku radości ojca, który wierzył, że niebezpieczeństwo minęło. Matka głośno okazywała swą radość i czyniła mężowi i miss Ofelii wyrzuty, że na próżno ją alarmowali.

Jedynie miss Ofelia nie poddawała się złudzeniu. Ewa zaś już od dawna przeczuwała swą śmierć. Myślała o niej ze spokojem i smuciła się jedynie na myśl o strapieniu swych krewnych.

– Wuju Tomie – odezwała się pewnego razu, czytając z nim Ewangelię – zrozumiałam teraz, czemu Zbawiciel chciał umrzeć.

– Czemu, miss Ewo?

– Z tego samego powodu, z którego i ja bym chciała za wszystkich ludzi umrzeć.

– Ale dlaczego miss Ewa chciałaby umrzeć?

– Nie mogę ci tego wyjaśnić... Widzisz, nie potrafię zapomnieć, jak się męczyli ci wszyscy niewolnicy na statku, gdzie spotkaliśmy się. Następnie często śni mi się babka Pry, jak leży sobie w ciemnej piwnicy, zakrwawiona, posiniaczona. Ach, to wszystko jest tak straszne, że z radością pozwoliłabym się pokroić na drobne kawałki, gdybym mogła to odmienić. Naprawdę, wuju Tomie.

Tom chciał odpowiedzieć, lecz łzy dławily mu gardło. Ewa łagodnie musnęła ręką jego schyloną i trzęsącą się ze wzruszenia głowę i pobiegła do wołającego ją ojca.

– Miss Ewa nie jest mieszkanką tego świata – odezwał się Tom do niańki. – Światło Boże jest nad nią. Niegodni jesteśmy, aby przebywała wśród nas.

– O, tak, tak – odpowiedziała mulatka, wznosząc ręce ku górze. – Zawsze twierdziłam, że miss Ewa jest zbyt dobra, aby długo żyć między nami.

Co rzekłszy, zalała się łzami. Tom ukrył twarz w dłoniach.

Tymczasem Ewa podeszła do ojca, który siedział na werandzie. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, w białej odzieży, z gorączkowym uśmiechem na policzkach i z błyszczącymi oczyma na bladej przezroczystej twarzyczce wydawała się zjawą nieziemską. Ojciec przytulił ją do siebie i niespokojnie zaglądając jej w oczy, zapytał drżącym głosem:

– Jak się czujesz, droga Ewo?

– Nie smuć się, ojcze – odpowiedziała obejmując go Ewa. – Czuję, że już czas pożegnać was wszystkich... na zawsze.

– Nie przerażaj swego ojca, Ewo! – odpowiedział Saint Clare, siląc się na uśmiech. – Nic ci nie grozi, jesteś tylko nerwowa. Nie podoba ci się życie, Ewo?

– Nie, ojcze. Będzie mi lepiej tam, dokąd pójdę.

– Co cię martwi, córeczko? Z czego jesteś tu niezadowolona?

– Martwi mnie to, że tylu wokół nas jest cierpiących. Nie mogę patrzeć na nieszczęśliwych niewolników... Ojcze, czybyś nie mógł wyzwolić przynajmniej naszą służbę?

– Ewo, co ty mówisz? Czy naszym niewolnikom jest źle u nas?

– U nas jest im dobrze, ale pomyśl tylko ojczulku, co ich czeka, gdy tobie się coś wydarzy. Przecież mało jest tak dobrych ludzi jak ty. O, jak przykro mi o tym myśleć!

– Jesteś zbyt wrażliwa, moja droga dziewczeczko. Bardzo źle się stało, że nie tajono przed tobą historii babki Pry...

– Ach, ojcze, jak możesz tak mówić! Chcesz, abym była szczęśliwa, nie wiedząc nic o niedoli naszych bliźnich. To egoizm, ojcze... Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Nie sążone mi długo żyć, dlatego poznałam życie wcześniej od innych... Powiedz mi, czy nie można wyzwolić wszystkich niewolników i w ogóle znieść na zawsze wszelkie niewolnictwo?

– To bardzo trudne zagadnienie. Niewolnictwo jest wielką hańbą, wszyscy prawie zdają sobie z tego sprawę, ale nikt nie stara się przeciwdziałać.

– A gdyby tak namówić wszystkich naszych znajomych, sąsiadów i przyjaciół, aby wyzwolili swoich niewolników. Gdybyś ty sam dał pierwszy przykład? Kiedy umrę, spróbuj to zrobić ojcze, przez wzgląd na moją pamięć.

– O, droga Ewo, jedyny mój skarbie na ziemi! Nie mów o swej śmierci... Rozrywasz mi serce! – mówił, pieszcząc ją tkliwie.

– Babka Pry też miała jedyny skarb na ziemi – swoje dziecko, ale mimo to śmierć zabrała je, i jaka śmierć – głodowa!... O, ojcze drogi, szlachetny ojcze, wszak biedacy tak samo lubią dzieci, jak ty mnie! Pamiętaj o tym i staraj się im pomóc. Oto niańka stale płacze, kiedy wspomina swe dzieci. Tom również tęskni do swoich, których tak dawno nie widział... Ach, jakie to wszystko smutne!

– Uspokój się, moja droga, nie dręcz się myślami ponurymi. Przecież nie jesteśmy temu winni.

– Ojcze, przyrzeknij mi, że przynajmniej Toma wyzwolisz, skoro ja... – przez chwilę milczała, wreszcie rzekła stanowczo – skoro umrę...

– Przyrzekam ci, moje drogie dziecko.

– Ach ojcze, jakbym chciała razem z tobą iść do Boga, gdzie wszyscy się kochają i gdzie nikt nie cierpi... Zresztą pójdziesz szybko za mną – dodała z taką pewnością, jak gdyby chodziło o sprawę powszednie.

– Bardzo możliwe – odparł ojciec, całując ją w głowę. – Nigdy cię nie zapomnę i podążę za tobą.

Cienie wieczorne zasłoniły ich mrokiem. Saint Clare nie widział swej córki, lecz słyszał jej głos i upajał się nim jak głosem zwiastuna z niebios. I jak gdyby znalazłszy się w obliczu Najwyższego Sędziego, jał przebierać pamięcią we wspomnieniach przeszłości.

Westchnienie córki wyrwało go z zadumy. Odpowiedział jej westchnieniem i zaniósł do jej pokoju. Usiadł na łóżku i cichym głosem zaintonował stare pieśni dalekiej ojczyzny swej matki. Dziewczynka wkrótce zasnęła. Nachylił się nad nią, ostrożnie ucałował gorące czoło i na palcach wysunął się z pokoju.

ROZDZIAŁ VI

Potęga miłości

Była niedziela. Saint Clare siedział na werandzie i palił cygaro. Żona jego leżała na kanapie w jadalni przy otwartym oknie.

Miss Ofelia, odkrywszy w pobliżu kapliczkę metodystów, pojechała tam z Ewą i Tomem.

– Augustynie – odezwała się słabym głosem pani Saint Clare – trzeba posłać po mego starego lekarza. Znowu zaczyna mi dolegać choroba serca.

– Czy nie lepiej poradzić się doktora Ewy? – zauważył Saint Clare.

– Ach, czyż można temu młokosowi zaufać przy takiej chorobie! Moje serce ledwo bije.

– Nie sądzę, abyś miała wadę serca, Mery. Jak zwykle, jesteś ofiarą swej zbyt dużej imaginacji.

– Wiedziałam, że mi nie wierzysz. Tracisz głowę, gdy Ewa czuje się zmęczona po zabawie, a mnie pozwalasz umierać bez pomocy lekarskiej. Zapewne uważasz, że mam żelazne zdrowie. Nie rozumiesz, że niepokój o Ewę źle wpłynął na moje serce.

Saint Clare nie odpowiedział.

Tymczasem miss Ofelia i Ewa wróciły z kapliczki. Miss Ofelia bezpośrednio poszła do siebie, Ewa zaś pobiegła do ojca.

Wkrótce w pokoju miss Ofelii zaczęły się rozlegać głośnie krzyki.

– Z pewnością Topsy znów splątała jakiś figiel! – rzekł z uśmiechem Augustyn.

Istotnie po chwili wybiegła na werandę miss Ofelia, czerwona z oburzenia, wlokąc za włosy Topsy.

– Nie, to już przechodzi wszelkie wyobrażenia! – krzyczała stara panna. – Tego nie można przepuścić bezkarnie... Trzeba powiedzieć panu.

– O co chodzi? – zainteresował się Saint Clare.

– Nie mam już sił do tej gadziny! Wyobraźcie sobie, zamknęłam ją w pokoju i kazałam nauczyć się na pamięć psalmu. A co zrobiła? Znalazła moje klucze, otworzyła komodę, wyjęła mój czepek i pocięła go na suknię dla swej lalki... Najlepszy wybrała czepek, chowałam go na dni szczególnie uroczyste...

– Trzeba jej codziennie lanie sprawić, przestałaby płatać figle – rzekła mrs. Saint Clare, którą zwabił krzyk miss Ofelii.

– Okrucieństwem nikogo się nie zmieni – odparł Saint Clare. – Rzecz dziwna, tyle się mówi o miłosierdziu kobiecym, a tak rzadko spotyka się je w rzeczywistości.

– Za to wy macie go pod dostatkiem – odcięła się żona.

– Nie mam zamiaru bić jej – odezwała się wychowawczyni,.. której gniew ostygł. – Ale nie wiem, co z nią począć.

– Podejź tu małpeczko – zwrócił się Augustyn do Topsy. I, gdy zbliżyła się, dodał – czemu tak brzydko postępujesz?

– Ponieważ jestem bardzo zła i nie umiem się poprawić.

– Postaraj się być lepszą.

– Nie chcę się wcale starać. Możecie mnie poćwiartować – na nic się to nie zda, ponieważ jestem Murzynką.

- Zdaje się, że się tym chlubisz. Czy nie wstyd ci?
- Nie mam wstydu, panie.
- Widzicie, sama się do tego przyznaje – wtrąciła miss Ofelia. – Nie, róbcie co chcecie, ja mam jej dosyć. Proszę bardzo, uwolnijcie mnie od niej!
- Chodź ze mną, Topsy – odezwała się Ewa i zaprowadziła ją do gabinetu, którego okno wychodziło na werandę.
- Ciekaw jestem, co Ewa jej powie – szepnął po ich odejściu Saint Clare i podszedł do okna.
- Dziewczynki stały w pokoju i mierzyły się spojrzeniem. Topsy spoglądała wyzywająco i szyderczo, natomiast Ewa była wzburzona.
- Topsy – zaczęła Ewa – dlaczego jesteś taka zła? Czy naprawdę nikogo nie kochasz?
- Jakże mogę kochać ludzi, kiedy ich jeść nie można! – odpowiedziała z udaną naiwnością Murzynka.
- A czy kochać znaczy jeść, Topsy?
- Rozumie się, miss Ewo. Ja na przykład bardzo kocham cukierki i inne łakocie.
- Ach, Topsy, Topsy!... A więc nie kochałaś swych rodziców?
- Kto to są rodzice? Nigdy ich nie miałam.
- Tak, zaiste, mówiłaś mi, że nie pamiętasz ojca ani matki... Ale czy nie miałaś kogoś bliskiego? Czyż nikt cię nie kochał?
- Nie, miss Ewo, zawsze byłam samotna i nikt mnie nie kochał.
- Gdybyś była posłuszna i dobra, pokochaliby cię obcy ludzie. Ale nawet rodzice nie lubią złych dzieci. Powinnaś słuchać ciotki...
- Jakkolwiek będę dobra, będą uważać, że udaję, ponieważ jestem Murzynką. Gdybym była biała, stałabym się z łatwością posłuszna.
- Niesłusznie tak myślisz. Nie o to chodzi, że jesteś czarna. Ciotka Ofelia kocha czarnych, o ile są dobrymi ludźmi.
- Nie wierzę, miss Ewo. Murzynów nikt nie lubi, ponieważ są wszyscy złymi ludźmi... A zresztą nie potrzebuję niczyjej miłości! Po co mi to?
- I strojąc grymas łobuzerski, gwizdnęła przerażająco.
- A jednak ja cię kocham, biedna nieszczęśliwa moja Topsy! – zawołała Ewa w nagłym przystępie czułości, kładąc dłoń na ramieniu małej niewolnicy. – Kocham cię tak bardzo, że pragnę z całego serca, abys się poprawiła... Jestem bardzo chora, długo nie pożyję i bardzo mnie męczy to, że zostaniesz zła i nieszczęsna...
- Bezczelne oczy Murzynki naraz mrugnęły i gorące łzy trysnęły na rękę Ewy. Osunąwszy się na ziemię i ukrywając twarz między kolanami, Topsy gorzko zapłakała.
- Ewa nachyliła się nad nią i pocałowała jej kędzierzawą głowę.
- Biedna Topsy – mówiła – czy nie wiesz, że Zbawiciel pomoże ci się poprawić, jeśli zapragniesz tego szczerze? Bóg nas wszystkich jednakowo ukochał – czarnych i białych. Jeśli będziesz dobra, to po śmierci Zbawiciel weźmie cię do Siebie, do swego Królestwa niebiańskiego. Pomyśl tylko, jakie to szczęście stać się aniołem i żyć w pobliżu Zbawiciela!
- O miss Ewo, droga miss Ewo, postaram się... Myślałam, że tylko biali mogą stać się aniołami i wejść do raju... Naprawdę będę się starała... – krzyczała Topsy, ściskając kolana Ewy...
- Gdyby wszyscy misjonarze byli podobni do Ewy, nawróciliby o wiele więcej grzeszników – rzekł Saint Clare, który obserwował tę scenę z werandy, odchodząc od okna i wycierając oczy chusteczką.
- Przyznaję, że mimo całej swej chrześcijańskiej miłości, nie mogłabym ucałować Murzynki – zauważyła miss Ofelia, w której oczach zakreśliły się łzy wzruszenia.

ROZDZIAŁ VII

„Wyschła trawa i kwiaty zwiędły”

Ewa stopniowo traciła siły i śmierć zbliżała się do niej ogromnymi krokami. Rzadko wychodziła z pokoju i przeważnie spędzała czas w fotelu przy otwartym oknie, kierując promienne oczy w przeblyskujące przez drzewa jezioro.

Pewnego razu siedziała na swym zwykłym miejscu i czytała Ewangelię. Nagle usłyszała, że matka komuś urąga.

– Ach ty, paskudna dziewczyno! Jak śmiesz zrywać moje kwiaty! – krzyczała mrs. Saint Clare, tupiąc nogą.

– Przepraszam panią bardzo. Zrywałam je dla miss Ewy – odezwała się Topsy.

– Miss Ewa nie potrzebuje kwiatów z twoich przeklętych rąk. Masz za to, że śmiesz się tu rozporządzać!

Nateżony słuch Ewy jasno odróżnił odgłos policzka. Przewyciężając osłabienie, dziewczynka podniosła się i wyszła na werandę.

– Mamo – rzekła – proszę cię, nie bij Topsy. Ona wie, jak bardzo lubię kwiaty i chciała mi sprawić przyjemność... Daj mi te kwiatuszki, Topsy.

– A po co ci tyle kwiatów, kiedy w pokoju twoim jest ich pełno? – z niechęcią zapytała pani Saint Clare.

– Im więcej kwiatów, tym lepiej – spokojnie odparła dziewczynka.

Topsy podeszła do Ewy i podała jej bukiet kwiatów, które zdążyła zerwać.

– Jaki śliczny bukiet! – zawołała Ewa. – Doskonale dobierasz kwiaty. Przynieś mi każdego rana taki bukiet. Będę z tego bardzo zadowolona.

Topsy rozpromieniła się i odeszła cicho, strzepując z rzes łyzy.

– Mamo, jak mogłaś ją uderzyć, za to, że chciała mi sprawić przyjemność?

– Ona nie myślała o tobie. Chciała tylko coś zepsuć.

– Nie, mamo. Topsy bardzo się ostatnio zmieniła na lepsze.

– Nie sądzę, Ewo. Takie cuda się nie zdarzają.

– Mamo, nie można jej oskarżać. Pomyśl tylko, jak się z nią dawniej obchodzono i jak ją to musiało zniechęcić.

– Z pewnością zasługiwała na takie traktowanie.

– Jak myślisz, mamo – rzekła po chwili milczenia Ewa – wszak Topsy może po śmierci stać się aniołem.

– Aniołem?... To dobre, czarny anioł! – ze śmiechem zawołała mrs. Saint Clare.

– Ach, mamo, dusze są u wszystkich białe...

– Twoja Topsy nie może mieć białej duszy. Nie jest chrześcijanką.

– Ale może się nią stać. A nawet jeśli się to nie stanie, to czyż nie jeden jest kraj dla wszystkich, dla chrześcijan i pogan.

– Ach, Ewo, jakie ty głupstwa wygadujesz! Aż głowa mnie rozboleła...

Nastąpiło chwilowe milczenie.

– Mamo, bardzo bym chciała, aby mi ścięto włosy – odezwała się nagle Ewa.

– Cóż to znaczy, Ewo?

– Chciałabym rozdać je na pamiątkę swym przyjacielom póki to możliwe. Proszę, poproś ciotkę, aby mi je ścięła.

– Kuzynko Ofelio – zawołała Saint Clare – niech pani tu przyjdzie ostrzyć naszą owieczkę!

– Tylko że muszę się położyć... Nie mogę już siedzieć – ledwo wymówiła Ewa. – Ciociu, odprowadź mnie do mego pokoju.

Miss Ofelia z przerażeniem podchwyciła dziewczynkę i zaniosiła ją do sypialni. Mrs. Saint Clare zaniepokoiła się również i poszła za nimi.

Ledwo Ewę ułożono na łóżku, gdy przyszedł Saint Clare z koszem owoców.

– Co się stało? – zapytał drżącym głosem, widząc Ewę na łóżku i krzatające się w około niej kobiety.

– Ojczy – szepnęła Ewa – prosiłam, aby mnie ostrzyżono... Tak mi ciążyą włosy... a poza tym chciałam je rozdać na pamiątkę...

– Kuzynko Ofelio. Ostrzyż ją ostrożnie. Wiesz jak dumny jestem z jej złotych kędziorków.

– O ojczy! I po co je oszczędzać?

– Jak to po co? Abyś była równie piękna, gdy pojedziemy do stryja Alfreda i Henry'ego.

– Nigdzie już ze mną nie pojedziesz, ojczy... Gdzie indziej pojedę... Ojczy, uwierz mi wreszcie! Czy nie widzisz, że jestem coraz słabsza?... Ciotko, obetnij mi wszystkie włosy... Tak mi ciężko...

Miss Ofelia porozumiała się spojrzeniem z Saint Clarem.

– Niech kuzynka spełni jej życzenie – rzekł – włosy jej odrosną.

– Nie, ojczy, nie odrosną.

Saint Clare opadł na krzesło i z rozpaczą spoglądał, jak spadały złociste kędziorki Ewy na poduszkę. Dziewczynka podnosiła je i związała na palcach, wpatrując się z niepokojem w zrozpaczoną twarz ojca.

– Doczekaliśmy się? – odezwała się mrs. Saint Clare. – Dawno już to przewidziałam. Ale czy ktoś obchodzi moje cierpienia.

– Ach, ty tylko zawsze o sobie – z nieukrywanym wstrętem odpowiedział Saint Clare i zasłonił oczy rękawem.

Ewa uważnie przyjrzała się rodzicom.

– Ojczy, usiądź przy mnie – rzekła. – Czuję, że umieram – dodała, gdy spełnił jej prośbę. – Muszę ci wiele powiedzieć... lecz nie przerywaj mi, proszę cię... zostało mi niewiele czasu...

– Mów droga – szepnął ojciec.

– Każ wezwać wszystkich niewolników... Muszę im coś powiedzieć.

– Dobrze. Kuzynko, zwołaj służbę.

Miss Ofelia wyszła. Po kilku minutach cała służba zebrała się przy łóżku małej umierającej pani.

Przezroczyta, niezmiernie chuda o gorączkowych oczach i płonących policzkach dziewczynka ciężko dyszała. Patrząc na nią niewolnicy gorzko płakali.

– Przyjaciele moi – zaczęła Ewa, unosząc się w pół – wezwałam was, ponieważ kocham was i chcę wam powiedzieć kilka słów... Wkrótce umrę i już nigdy nie zobaczycie mnie tu na ziemi... i nie usłyszycie mnie... – Przeczekała, aż ucichły westchnienia, okrzyki i płacz wzruszonej służby. – Jeśli mnie kochacie, to nie powinniście mi przerywać, słuchajcie mnie uważnie... Płakać będziecie mogli później... Bardzo mnie martwi, że nie zajmujecie się swymi duszami. Myślicie tylko o sprawach ziemskich, przed śmiercią chcę wam oznajmić, że istnieje jeszcze inny świat, bez porównania lepszy, gdzie oczekuje was Zbawiciel. Ten świat znajduje się w niebiosach. Ja tam idę, i wy byście mogli tam pójść, gdybyście szczerze tego pragnęli. Królestwo Boże jest dla wszystkich, a nie tylko dla białych, jak myślicie. Bądźcie lepsi, a Chrystus pomoże wam... Módlcie się, częściej czytajcie... Ach, zapomniałam, że nie umiecie czytać, moi biedni przyjaciele.

Ukrywszy twarz w poduszce, zalała się łzami. Wszyscy niewolnicy ukłękli na kolanach i zaczęli gorzko zawodzić.

– Ale to jeszcze nie jest nieszczęściem – opanowawszy się ciągnęła dalej Ewa. – Proście tych, którzy umieją czytać, aby wam odczytywali Ewangelię, módlcie się częściej, nigdy nie kłamcie, nie oszukujcie. Posłuchajcie mnie, postępujcie jak wam mówiłam, a zobaczymy się w królestwie Bożym.

– Amen! – odpowiedzieli jednogłośnie Tom, niańka i inni obecni metodyści.

– Wiedziałam, że mnie kochacie. Teraz podaruję każdemu z was pasemko moich włosów. Zachowajcie je i przypominajcie sobie moje ostatnie zalecenie...

Trudno opisać scenę, która nastąpiła po tych słowach. Wzruszeni Murzyni podchodzili do swej panienki, brali loki włosów, padali na kolana, całowali jej przezroczyste dłonie i zraszali je łzami. Płacz, jęki, okrzyki, słowa modlitwy i błogosławieństwo zmieszały się w ogłuszający lament.

W końcu miss Ofelia wypchnęła wszystkich, z wyjątkiem Toma i niańki.

– Oto, wuju Tomie – zwróciła się doń Ewa, uśmiechając się świetliście – najdłuższy lok, zachowałam go dla ciebie... O, wuju Tomie i ty nianiu, z wami nie trudno mi się żegnać, ponieważ wiem na pewno, że spotkamy się w niebie. Będziemy tam zawsze razem... O droga nianiu, podejdz, niech cię pocałuję.

– O miss Ewo, aniołku mój, czyż będę mogła żyć bez panienki – lamentowała mulatka, okrywając główkę dziewczynki gorącymi pocałunkami. – Będzie mi się zdawać, że słońce zgasło i że powietrza zabrakło.

– Dostyc już, idźcie sobie – odezwała się miss Ofelia, popychając ją ku drzwiom. – I ty, Tomie, odejdz. Widzicie, miss Ewa jest zmęczona, ledwo mówi.

Wyprowadziwszy ostatnich niewolników, miss Ofelia naraz zauważyła Topsy, która schowała się za zasloną łóżka.

– Przez cały czas tu byłaś? – zapytała.

– Tak, pani. Bałam się, że mnie wyrzucą... O miss Ewo, chociaż byłam tak wstrętna, czy zechce mi pani dać lok swych włosów?

– Daję ci, moja biedna Topsy. Bierz i pamiętaj, że kochałam cię i bardzo pragnęłabym, abyś była lepsza.

– O miss Ewo, ja staram się być dobrą, ale to takie trudne. Tyle we mnie tkwi zła... Ale będę się starała poprawić, aby panienka była zadowolona ze mnie, kiedy spojrzy na mnie z nieba.

Ukrywszy za bluzkę cenny lok, Topsy na znak miss Ofelii po cichu wyszła z pokoju.

Saint Clare przez cały czas siedział nieruchomo, ukrywszy twarz w dłoniach.

– Ojczy – szepnęła Ewa, ujmując go cicho za rękę.

– O Panie! Dlaczego mnie tak okropnie karzesz – zawołał zniecka Saint Clare – to przewyższa moje siły!

– Augustynie, Augustynie – uspokajała go miss Ofelia – czy można tak rozpaczać? Bóg daje i Bóg odbiera.

– Nie przeczę, ale to mi nie sprawia ulgi.

– Ojczy, nie mów tak – szepnęła Ewa, obejmując go – Rozrywasz mi serce tymi słowami.

I wybuchnęła płaczem.

– Droga moja... uspokój się... nie płacz... nie będę narzekał...

Odtąd Ewa nie opuszczała łóżka. Miss Ofelia czuwała przy niej bez wytchnienia. Czasem chora wzywała Toma, który brał ją na ręce i nosił po pokoju. To sprawiało jej głęboką ulgę. Gdy nie było wiatru wynosił ją czasem na werandę lub do ogrodu. Kołysząc ją w potężnych ramionach, śpiewał ulubione jej psalmy i hymny pobożne.

Agonia córki nie pomniejszyła egoizmu pani Saint Clare. Ta oschła i pozbawiona serca istota zaprzętała uwagę męża i domowników swymi urojonymi dolegliwościami i wyrzutami. Żaliła się, że stan córki doprowadza ją do zguby, że ona z tego umrze, a Ewa będzie żyła.

Tymczasem agonia dziewczynki była tak łagodna i spokojna, że Saint Clare nabrał otuchy. Przypuszczał, że kryzys minął, i że Ewa wraca do zdrowia. Niestety, lekarz, zbadawszy ją dokładniej, odebrał mu wszelką nadzieję.

Tom spędzał noce na werandzie pod oknem umierającej. Pewnego razu wyznała mu, że wie na pewno, iż tej nocy umrze. W ciągu dnia była jak zawsze wesola. Głos jej odzyskał srebrzysty dźwięk, ruchy jej nabrały życia i energii.

Pożegnawszy się z nią wieczorem Saint Clare, rzekł do kuzynki głosem podnieconym:

– Ewa stanowczo się poprawia... Za kilka dni będzie mogła chodzić... Cóż to będzie za szczęście.

Miss Ofelia, której Tom zwierzył się z przeczucia Ewy, nie mogła się zdobyć na odpowiedź i tylko ze smutkiem skinęła głową.

O północy miss Ofelia, czuwając przy łóżku chorej, naraz zauważyła, że oddech jej urywa się chwilami. Zapaliwszy świecę, zobaczyła owe nieokreślone piętno majestatu, które na ludzkie twarze nakłada śmierć.

– Tomie, idź po doktora! – zawołała i pobiegła obudzić kuzyna. Po chwili znalazł się w pokoju konającej.

Ewa spała. Patrząc na jej drogą twarzyczkę, która z każdą chwilą stawała się jaśniejsza i pogodniejsza, Saint Clare zastygł z przerażenia. Przed nim leżała nie jego córka, lecz istota wyższego rzędu, obca i daleka.

Tom przyprowadził doktora, który nocował w domu.

– Od jakiego czasu trwa w tym stanie? – zapytał.

– Od północy – odpowiedziała miss Ofelia.

W tej chwili przybiegła zaalarmowana pani Saint Clare.

– Augustynie, co tu się dzieje? – zawołała z progu.

– Ewa umiera – odpowiedział półgłosem mąż.

Smutna wiadomość wyrwała ze snu całą służbę. Skupili się na werandzie i z niepokojem wpatrywali się przez okno do pokoju.

– Gdyby przynajmniej jeszcze raz spojrziała i powiedziała bodaj jedno słówko! – westchnął Saint Clare i pochyliwszy się nad córką, szepnął: – Ewo, droga Ewo!

Oblicze konającej lekko drgnęło. Spojrzała na ojca, uśmiechnęła się, i usiłując się unieść, otworzyła usteczka.

– Ewo, czy poznajesz mnie, moje drogie dziecko? – kontynuował ojciec.

– To ty, miły ojcze! – odezwała się dziewczynka i ostatnim wysiłkiem woli objęła go za szyję.

Lecz po chwili ręce jej opadły i kurczowo poruszyły się na kołdrze.

– O jakie to okrutne – zawołał Saint Clare – Tomie, przyjacielu mój: ja tego nie zniosę!... To mnie zabije! Tak, tak, módl się Tomie – dodał, gdy Tom złożył ręce do modlitwy. – Módl się, aby czym prędzej skończyła się ta męka... serce mi pęka.

– O, mój panie – rzekł głucho Tom – wszystko skończone!.. Niech pan spojrzy.

Ewa leżała nieruchomo. Jej wielkie otwarte oczy straciły blask, lecz wciąż jeszcze odbijały lazururowe niebo. Twarzyczka jej świeciła odbłaskiem niebiańskiej błogości. Spokój nieziemski tego zgonu pohamował krzyk domowników i stłumił ich łzy.

Tak upłynęło kilka chwil w uroczystej ciszy.

– Ewo! – zawołał półgłosem Saint Clare.

Jeszcze raz twarzyczkę jej oświetlił nieziemski uśmiech i z warg zleciał lekki szept:

– Oto gdzie jest miłość... pokój... szczęście... Jeszcze jedno westchnienie – i nastąpił koniec.

ROZDZIAŁ VIII

Po śmierci Ewy

Ewa leżała w swej ulubionej białej sukience. Na jej woskowe oblicze padał cień różowych zasłon. Piękne jej oczy były zamknięte, złocista główka nieco przechylona na bok, jak we śnie. Z pierwszego wejrzenia można było pomyśleć, że naprawdę śpi tylko i wkrótce się obudzi, lecz wyraz niebiańskiej błogości i majestatycznego spokoju świadczył, że obudzi się do innego życia.

Saint Clare nie odchodził od niej, zatopiony w myślach, apatyczny i nieczuły na przejawy wewnętrznego życia. Dopiero pytanie, kiedy ma się odbyć pogrzeb, wyrwało go z odurzenia. Odpowiedział, że wszystko mu jedno.

Lecz wzruszyła go rozpacz Topsy, która przyniosła dla Ewy najpiękniejszy kwiat z ogrodu i wyrażała swój szczerzy ból krzykami i łkaniem. Saint Clare patrząc na nią, zapłakał po raz pierwszy i poczuł znaczną ulgę.

Według tamtejszego zwyczaju, pogrzeb miał się odbyć tego samego dnia. Tom przyniósł z miasta małą trumienkę. W ciągu dnia do pokoju umarłej przychodzili rozmaici znajomi, którzy się chcieli z nią pożegnać. Zjechali się sąsiedzi. Bawialnia zapelniła się ludźmi w żałobie.

I oto umarłą włożono do trumny i spuszczone wieko. Ktoś ujął Saint Clare'a pod rękę i zaprowadził go do małego grobu, wykopanego w ogrodzie nad stawem, koło ławki, na której nieboszczka lubiła siedzieć z Tomem. Obląkanymi oczyma spoglądał Saint Clare, jak opuszczono do grobu kochane szczątki najdroższej mu istoty, wypełniającej dotychczas całą treść jego życia. Jak przez sen słyszał słowa: „Jestem zmartwychwstaniem i życiem; który uwierzy we mnie, jeśli nawet umrze – ożyje”.

Sąsiedzi rozjechali się. Miss Ofelia i Tom odprowadzili niemal sparaliżowanego Saint Clare'a do domu, gdzie mrs. Saint Clare udawała ataki hysterii.

W kilka dni później cała rodzina przesiedliła się do miasta. Zrozpaczony ojciec nie mógł mieszkać w domu, gdzie umarło jego szczęście. W Nowym Orleanie Saint Clare całymi dniami wałęsał się po ulicach, starając się zagłuszyć ból i zappełnić pustkę wewnętrzną ruchem, zgiełkiem i ilością wrażeń. Dokładał wszelkich starań, aby panować nad sobą. Bywał w restauracjach, wdawał się w rozmowy z nieznajomymi, czytał dzienniki i nawet czasami śmiał się.

Pewnego razu Tom z niepokojem stwierdził, że Saint Clare od wielu godzin nie wychodził z gabinetu. Wymyśliwszy jakiś pretekst, zdecydował się wreszcie wejść. Saint Clare leżał na kanapie i w prawej ręce trzymał małą otwartą książkę, w której Tom poznał Ewangelię Ewy.

– O Tomie, mój miły Tomie – zawołał Saint Clare, odwróciwszy się do Murzyna i chwytając go za rękę – jaki pusty jest dla mnie świat.

– Wiem, drogi panie. Lecz gdyby pan mógł spojrzeć na niebo, gdzie przebywa teraz nasza ukochana miss Ewa, świat byłby dla pana znowu pełen treści.

– O Tomie, w tym sęk, że patrzę na niebo i widzę jedynie chmury... Jakże pragnąłbym ujrzeć co innego!

Tom westchnął głęboko.

– Zapewne tylko dzieci i ludzie o tak czystym sercu jak ty, mój biedny Tomie, mogą coś widzieć w tych chmurach – kontynuował. – Serce moje tak się zżyło ze zwątpieniem, że wiara się już w nim nie mieści.

– Niech się pan modli, panie, niech pan powie: „Wierzę, Panie! ulecz mnie ze zwątpienia!”

– Kto może wiedzieć coś na pewno? Czy naprawdę istnieje coś trwałego i kamiennego poza przelotną grą zdarzeń? Gdzie są teraz piękne zalety Ewy? Nie ma ich nigdzie, jak nie ma innego nieba, prócz tego, które widzimy naszymi oczyma, jak nie ma Boga, którego...

– O, drogi panie! wszystko to... ja wiem, że istnieje! – przerwał mu Tom, padając na klęczki. – Niech mi pan wierzy, że istnieje inne niebo, że Bóg istnieje, a przy Nim pańska mała gołąbka! Czuję to całą duszą. O panie! wysłuchaj mnie. Kiedy sprzedano mnie handlarzowi niewolników, byłem bliski ostatecznej rozpacz. Lecz nie raz usłyszałem w głębi duszy swej głos Pana, który mówił: „Nie bój się niczego Tomie. Jestem z tobą”. Ucieszyła się wówczas i uspokoiła moja dusza. Wierzę, że Najwyższy podeprze również mego drogiego pana, jeśli pan uwierzy w Niego.

Łzy stoczyły się po twarzy Murzyna. Saint Clare złożył na jego ramieniu swą zmęczoną głowę i mocno uściśnął jego czarną spracowaną dłoń.

– Kochasz mnie, Tomie? – zapytał.

– Tak kocham, mój panie, że z radością oddałbym życie, aby pana nawrócić na prawdziwe chrześcijaństwo! – odpowiedział z uniesieniem niewolnik. – Panie, pan trzyma w ręku Ewangelię Ewy. Czy zechciałby pan przeczytać otwartą stroniczkę?

Był to rozdział jedenasty Ewangelii Jana, opowiadający o cudownym wskrzeszeniu Łazarza. Saint Clare zaczął czytać. Tom słuchał, na klęczkach, złożony w pobożnie ręce.

Po skończeniu rozdziału, Saint Clare odezwał się:

– Czy uważasz ten cud za możliwy?

– O, rozumie się, panie.

– Jakże chciałbym mieć twoją wiarę!

– Módl się panie...

– A może się modlę, skąd wiesz, że nie?

– Czy naprawdę, panie?

– Ach Tomie, modliłbym się, gdybym miał przy kim. Sam nie mogę. Pokaż mi, jak trzeba się modlić.

Tom zaczął się modlić. Spoglądając w górę, nie zwracał uwagi na swego pana, ale był pewny, że ten słucha go z uwagą. Nie mylił się: Saint Clare w końcu przejął się ekstazą Murzyna. Zdawało mu się, że zbliżył się dzięki tej modlitwie do ukochanej nieboszczki.

– Dziękuję ci, Tomie – rzekł, gdy Murzyn podniósł się. – Dzięki tobie zaznałem głębokiej pociechy. Teraz chcę zostać sam i rozmyślać. Zdaje mi się, że modlitwa twoja będzie wysłuchana, że spokój ogarnie moją duszę.

– Niech pan wierzy, a zobaczy pan, że to się spełni – odpowiedział Tom i poprawiwszy poduszkę pod głową swego pana, bez szmeru wyszedł z gabinetu.

ROZDZIAŁ IX

Spełnione przecucie

Czas mijał i życie płynęło zwykłym torem. W domu Saint Clare wszystko wróciło do dawnej normy, jak gdyby nie zaszła żadna zmiana. Jedynie Saint Clare czuł, że ze śmiercią córki stracił zainteresowanie do życia. Nieraz majaczyło mu się, że słyszy srebrzysty jej głosik i wesoły śmiech. Żyjąc wspomnieniami, przestał całkowicie zajmować się gospodarstwem, którego na szczęście doglądała miss Ofelia i Tom.

A jednak w głębi jego duszy dokonywał się moralny przewrót. Powoli utwierdzał się w wierze, że dotychczasowe jego życie było oparte na błędnych przesłankach. Często czytał Pismo Święte, które budziło uśpione dotychczas uczucie religijne. Z większą też jasnością

zaczął sobie zdawać sprawę ze swych obowiązków. Myślał wiele o niewolnictwie i postanowił wyzwolić przede wszystkim Toma. Pewnego razu oznajmił mu swoje postanowienie. Lecz radość, jaką Tom okazał, zasmuciła go mimo woli. Pomyślał, że Tom bez żalu rozstanie się z nim i że jest takim samym egoistą, jak wszyscy ludzie.

– Cóż – rzekł z goryczą – za miesiąc będziesz wolny... wówczas porzucisz mnie i wrócisz do swoich...

– Nie, nie porzucę pana, póki pan będzie cierpiał. Zostanę z panem i wyjadę dopiero wówczas, gdy będę panu niepotrzebny.

– Póki będę cierpiał? – zapytał melancholijnie Saint Clare. – Kiedyż przestanę cierpieć, mój drogi Tomie? Czyż udręka moja może zniknąć?

– Może! Zniknie, kiedy mój drogi pan stanie się prawdziwym chrześcijaninem.

– Za długo byś czekał.

– A ja myślę, że niedługo. Bliski jest dzień, kiedy pan spojrzy na świat innymi oczyma. Poza tym Najwyższy obarczył pana sprawą, która zmusi pana do zapomnienia o pańskiej udręce.

– Cóż to za sprawa?

– Wielka, mój panie!... Komu wiele dano, od tego wiele się wymaga...

W tej chwili wszedł Adolf i oznajmił, że goście przyjechali. Ciekawa rozmowa pana z niewolnikiem została przerwana.

Pani Saint Clare po swoim opłakiwała śmierć córki. Zmartwieniu swemu dawała dosyć dziwaczny wyraz. Między innymi zaczęła się gorzej obchodzić ze służbą. Wręcz przeciwnie miss Ofelia pod wpływem zgryzoty złagodniała, stała się lepsza i litościwsza względem niewolników.

Gwałtowna natomiast zmiana zaszła w charakterze Topsy. Krnąbrny ten potworek nie mógł się pocieszyć po śmierci jedynej istoty, która okazała mu miłość i nauczyła szlachetnych uczuć. Płakała często i zbierała pamiątki po ukochanej panience. Stała się posłuszna, zwłaszcza wobec miss Ofelii, która się do niej bardzo przywiązała.

Pewnego razu miss Ofelia zwróciła się do Augustyna:

– Chciałam się kuzyna zapytać, czyją własnością jest Topsy – moją czy twoją?

– Wszak mówiłem, że kupiłem ją specjalnie dla kuzynki.

– Nie wystarczy mi słowa, ja muszę mieć dokument, stwierdzający, że Topsy jest moją własnością.

– Ach, droga kuzynko – ze śmiechem odpowiedział Augustyn – co powie stowarzyszenie abolicjonistów, do którego należysz, kiedy dowie się, że stała się pani właścicielką niewolników?

– Skoro postanowiłam zrobić z Topsy chrześcijankę, muszę zabezpieczyć ją od wszystkich okropności niewolnictwa.

– No, dobrze. Napiszę przy okazji.

– Nie przy okazji, ale już teraz – upierała się miss Ofelia. – Oto papier, pióro i atrament, niech kuzyn wystawi dokument formalny.

Saint Clare nie lubił wcielać od razu słowa w czyn.

– Ach, widzę, że kuzynka już to wszystko z góry przygotowała – zawołał szyderczo. – Czy naprawdę nie wystarczy ci moje słowo?

– Znam twą lekkomyślność, Augustynie, dlatego tak postępuję. Zresztą nie lubię uzależniać się od przypadku. Kuzyn może nagle umrzeć albo zrujnować się, a wówczas Topsy znajdzie się na targu niewolników. Niech kuzyn pisze.

– Jesteś wyjątkowo przezorną osobą... Trudno, nie ma rady.

Zasiadł do stołu i napisał formalny akt darowizny.

– Teraz jesteś zadowolona? – zapytał, kładąc zamaszty podpis.

– Niezupełnie – odpowiedziała z uśmiechem – o ile mi wiadomo potrzebny jest podpis świadka.

– A do licha. To prawda! Zupełnie zapomniałem...

Saint Clare podniósł się i udał do żony.

– Mery – rzekł, podając jej dokument – nasza miła kuzynka pragnie mieć nasze autografy. Napisz tu swoje imię i nazwisko.

– Cóż to jest? – zapytała pani Saint Clare i przeczytała uważnie papier. Roześmiała się i rzekła uszczypliwie:

– Jak można się w życiu omylić! Nigdy bym się nie spodziewała, że tak nabożna osoba pragnie mieć niewolnicę. Co rzekłszy, niedbale podpisała dokument.

– Teraz jest już wszystko w porządku – rzekł Saint Clare, wracając do bawialni i wręczając miss Ofelii papier.

Miss Ofelia usiadła przy oknie. Przez kilka chwil zalegało milczenie. Wreszcie stara panna zakaszła i odezwała się:

– Augustynie, powiedz mi, czy zrobiłeś coś dla swych niewolników na wypadek swej śmierci?

– Nie – odparł lakonicznie Augustyn, nie odrywając się od gazety.

– To znaczy, że po twej śmierci mogą wpaść w ręce jakiegoś łotra...

– Postaram się któregoś dnia, aby do tego nie doszło.

– Znowu „któregoś dnia”. Ale kiedy?

– Wkrótce.

– A jeżeli dziś lub jutro umrzesz?

– Cóż to za proroctwo, kuzynko?

– Śmierć jest bliska życiu, Augustynie.

Rozmowa przyjęła zbyt ponury obrót. Augustyn podniósł się i wyszedł z pokoju.

„Śmierć! Śmierć!” powtarzał odruchowo, opierając się o balustradę i patrząc jakby przez mgłę na fontannę, na drzewa, kwiaty i całą rozkosz tego wspianego zakątka.

Dzień zbliżał się ku końcowi. Zachodzące słońce okrywało dom złotym blaskiem. Saint Clare zauważył, na drugim końcu galerii Toma, który siedział na stopniach z Ewangelią w ręku.

Przysiadł się do swego niewolnika, odczytał rozdział Ewangelii, po czym trawiony nieokreślonym niepokojem zaczął się przechadzać wzdłuż galerii.

Zadzwoniono na wieczorną herbatę. Po herbacie Saint Clare usiadł przy fortepianie i jął grać jedną z owych starych smutnych melodii, które dawniej śpiewano przy akompaniamencie harfy. Naraz wyjął pożółkły kajecik z nutami i odezwał się do miss Ofelii:

– Patrz kuzynko, ten kajet należał do mojej matki. To kopia znakomitego „Requiem” Mozarta, którą własnoręcznie przepisała.

I zaśpiewał przepiękne wiersze „Sądnego Dnia”.

Tom stanął w otwartych drzwiach bawialni i, złożony ręce pobożnie, zastygł w niemym zachwycie. Saint Clare grał i śpiewał z niezwykłą głębią uczuć. Po skończeniu boskiego hymnu siedział nieruchomo, ukrywając twarz w dłoniach.

– Jaki wzruszający jest ten hymn o Sądzie Ostatecznym – rzekł wreszcie jakby do siebie. – Jest w tym myśl o Okupieniu Grzechów całej ludzkości, rozstrzygnięcie przez wyższą mądrość wszystkich zagadnień moralnych.

– Ale w tej myśli jest wiele przerażającego – zauważyła miss Ofelia.

– Słusznie. Zwłaszcza dla mnie. Co czeka takiego człowieka, który swoją sytuacją, wykształceniem i umysłem był powołany do czynów szlachetnych, a jednak przez lenistwo całe życie był obojętnym świadkiem niedoli i cierpień swych bliźnich?

– Otrzyma przebaczenie, jeśli opamięta się w porę i przystąpi do działania.

– Zdaje się, że zaczyna się moje opamiętanie.

– Daj Boże! Dawno już czas.

– Tak, już czas się zmienić. Mam już pewien plan na początek.

– Można wiedzieć jak?

– Postanowiłem z początku zmienić sytuację swoich własnych niewolników, a następnie zwalczać w miarę możliwości niewolnictwo w całym kraju.

– A jak pan myśli, czy ojczyzna nasza zgodzi się kiedyś znieść niewolnictwo?

– Nie zrobi tego dobrowolnie. Wszakże duch czasu zmienia się na lepsze.

– Ach, nie bardzo w to wierzę – westchnęła miss Ofelia.

– Nie chodzi jedynie o wyzwolenie niewolników. Przypuścimy, że już jutro wszyscy będą wyzwoleni. Któż będzie uczył tę wielomilionową masę. Jesteśmy zbyt leniwi i lekkomyślni aby świecić im wzorem męstwa i dzielności. Przypuścimy nawet, że wyzwoleni niewolnicy wywędrują na Północ, gdzie szanuje się ich pracę. Ale powiedz szczerze, czy jest tam dosyć ludzi chętnych i humanitarnych, którzy by się podjęli od nowa wychować czarnych przybyszów. Wy, ludzie z Północy, wydajecie dużo pieniędzy na misję, ale czy zgodzicie się przyjąć do swego grona tych samych pogan, którym z dala dajecie szczodrobliwą jałmużnę? Myślę, że nie.

– Nie mogę zaprzeczyć, Augustynie —odpowiedziała z właściwą sobie szczerością miss Ofelia.

– Nie wiem, co mi się stało, Ofelio, ale stale dziś myślę o mej nieboszczce matce. Mam wrażenie, że znajduje się tu, w tym pokoju... I tak samo Ewa... To skutek rozstrojonych nerwów. Pójdę do miasta, przejdę się trochę i dowiem się nowin.

Wziął kapelusz i laskę i wyszedł na ulicę.

– Czy każe pan sobie towarzyszyć? – zapytał go Tom.

– Nie, nie trzeba, mój drogi. Wrócę za godzinę lub półtora, nie później – odparł Saint Clare.

Noc była piękna, rozjaśniona księżycem. Tom usiadł na schodkach w galerii i myślami przeniósł się do swej chatki, do dalekiego Kentucky. Wkrótce będzie wolny i wróci do swoich. Z wdzięcznością pomyślał o Saint Clare, o nieboszczce Ewie, którą widział w wyobraźni w postaci świetlistego aniołka. Pomału wpadł w drzemkę, uspiiony jednostajnym szmerem fontanny. Przyśniła mu się Ewa z wiankiem jaśminów na rozwianych złocistych kędziorkach. W tej chwili obudziło go głośne dobijanie się do wrót i wrzawa kilku głosów.

Zerwał się na równe nogi i podbiegł do bramy. Przed nim stała grupa ludzi z noszami, na których leżał ktoś, pokryty ciemnym płaszczem. Spojrzawszy na jego twarz, Tom krzyknął przerażony i cofnął się o parę kroków. Przybysze skierowali się ku bawialni, gdzie miss Ofelia siedziała jeszcze z robótką w ręku.

Jak się okazało, Saint Clare poszedł do pobliskiej kawiarni, aby przejrzeć dziennik. W tym czasie, między dwoma gośćmi wybuchła kłótnia. Jeden z nich dobył sztyletu i zamierzył się na przeciwnika. Saint Clare zerwał się z miejsca i usiłował odepchnąć napastnika, lecz uczynił to tak niezręcznie, że sztylet utkwiał w jego lewym boku. Znano go w tej kawiarni. Kelnerzy ułożyli go na noszach i zanieśli do domu.

Straszliwy popłoch powstał w domu Saint Clare'a, skoro przyniesiono śmiertelnie ранego gospodarza. Służba biegła z jednego pokoju do drugiego bez celu, głośno lamentując, niektórzy wyrwali sobie włosy, rzucali się na posadzkę, krzyczeli, jęczeli, płakali tak głośno, że słyhać było na ulicy. Pani Saint Clare miała atak hysterii. Jedynie Tom i miss Ofelia zachowali przytomność umysłu.

Rannego położono na kanapie. Był nieprzytomny, lecz miss Ofelia ocuciła go jakimś wzmacniającym lekarstwem. Otworzył oczy, toczył je błędnie po pokoju i wreszcie zatrzymał na portrecie swej matki.

Wkrótce zjawił się lekarz. Obejrzał dokładnie ranę i tylko wzruszył ramionami.

Nie było żadnej nadziei na uratowanie Augustyna.

– Niech pani wyprosi tych wszystkich gapiów – zwrócił się do Ofelii, wskazując na skupiających się w drzwiach niewolników.

Saint Clare otworzył oczy i uważnie przyjrzał się odchodzącym.

– Biedni ludzie! – szepnął z gorzkim wyrzutem do siebie.

Adolf nie chciał wyjść. Przewidując zmianę w swym losie, rozpacział okropnie, toczył się po podłodze i wzbraniał się podnieść.

Saint Clare znowu spuścił powieki. Widać było, że dręczą go jakieś złe myśli. Z trudem wyciągnął rękę do klęczącego Toma i szepnął słabym głosem:

– Biedny Tomie!

– Co pan rozkaże, drogi panie? – zapytał łagodnie Tom, pokrywając rękę umierającego pocałunkami i łzami.

– Umieram... Módl się za mnie.

– Czy nie życzy pan sobie księdza? – zapytał lekarz.

Saint Clare zaprzeczył ruchem głowy i powtórzył prośbę, aby Tom pomodlił się za niego.

Skoro Murzyn przestał się modlić, Saint Clare popatrzał nań uważnie, po czym zamknął oczy. Kilka chwil leżał nieruchomo, a potem zaczął powoli, bardzo cicho nucić słowa hymnu, który niedawno przedtem śpiewał i grał.

– Bredzi – zauważył lekarz.

– Nie – przemówił wyraźnie Saint Clare – nie bredzę... Wyszedłem nareszcie na prawdziwą drogę... Otóż i ona!

Sina bladeść zgonu rozlała się na jego twarzy, widocznie ujrzał nad sobą anioła miłosierdzia i przebaczenia, albowiem wargi jego złożyły się w uśmiech szczęścia i twarz przybrała wyraz bezgranicznego spokoju i wzniosłej pogody, jak niedawno przedtem oblicze jego umarłej córki.

Śmierć nastąpiła prędko, bez agonii. W ostatniej chwili Saint Clare otworzył oczy, radośnie wyszeptał: „matko to ty” – i zgasł na wieki.

Spełniło się przedśmiertne przeczucie Ewy.

ROZDZIAŁ X

Bezbronni

Głęboką jest rozpacz niewolników, gdy tracą dobrego pana.

Dziecko, straciwszy ojca, przechodzi pod opiekę krewnych lub przyjaciół. Lecz dola niewolnika jest stokroć gorsza – od nikogo nie może się spodziewać pomocy.

Kiedy zaczęto ubierać zwłoki Saint Clare przed złożeniem do trumny, znaleziono na piersiach wiszący na złotym łańcuszku medalion, usiany brylancikami. Leżał w nim miniaturowy portret młodej kobiety o pięknym i szlachetnym obliczu oraz pasemko czarnych włosów; tyle tylko zostało z pierwszych, rozbitych okrutną ręką losu, marzeń miłosnych biednego Saint Clare. Miss Ofelia zostawiła medalion na zwłokach, nic o tym nie mówiąc pani Saint Clare.

Tom całą noc siedział przy trupie swego pana, nie przestając wznosić modłów za jego duszę. Głęboko zasmucony ani razu nie pomyślał o swojej sytuacji i o straconych nadziejach na wolność.

Skoro zasypano ziemią śmiertelne szczątki gospodarza, życie narzuciło wszystkim pytanie: „co począć?” Myślała o tym przede wszystkim młoda wdowa, wybierając materiał do żałobnego stroju i zastanawiając się, jak ułożyć sobie dalsze życie. Myślała o tym również miss Ofelia i zadawali sobie to pytanie niewolnicy, z niepokojem myśląc o przyszłości.

W dwa tygodnie po pogrzebie, do miss Ofelii przybiegła zapłakana służąca, Róża.

– O, pani – krzychała, całując skraj sukni starej panny. – Niech mi pani pomoże. Nasza pani wysłała mnie do domu poprawczego, aby mi tam wymierzono piętnaście różg.

– Coś ty przeskrobała, biedna dziewczyno?

– Pomogłam pani mierzyć suknię. Naszej pani zdawało się, że źle układam fałdę. Uderzyła mnie mocno, więc krzyknęłam, że nie jestem winna i nie zasłużyłam na uderzenie. O droga pani, niech mi pani pomoże. W poprawczym domu biją tak, że mięso zdzierają z kości... Niechaj mnie sama pani bije... Ale tam bije mężczyzna, straszny brutal! Znam go. Pozwala sobie w stosunku do kobiet na coś gorszego od bicia... Na miłość boską, niech pani pomoże!

Miss Ofelia doskonale знаła porządku w domu wychowawczym, gdzie zarówno dyrektor jak i służba prześcigali się pod względem okrucieństwa. Litowała się nad biedną Różą, która była bardzo delikatną i nie zepsutą dziewczyną.

– Poczekaj tu, ja tymczasem pójdę do pani – rzekła.

Zastała panią Saint Clare przy toalecie. Niańka czesała ją, inna zaś niewolnica pocierała jej nogi nagrzanymi prześcieradłami.

– Jak się kuzynka dzisiaj czuje? – zapytała miss Ofelia. – Przychodzę w sprawie Róży.

– Jakaż to sprawa? – odparła oschle mrs. Saint Clare, rumieniąc się i ściągając brwi.

– Kuzynka chyba się domyśla. Wystarczy jeśli dodam, że Róża przyznaje się do winy i wyraża skruchę. Kuzynka wymierza jej zbyt surową karę! Czy nie można jej złagodzić?

– W jakim celu? Chcę ją nauczyć rozumu. Ponieważ ma ładną buzię i ponieważ darzyłam ją szczególnymi względami, więc straciła wszelki respekt i zaczęła mi gburowato odpowiadać... Muszę ją ukarać.

– Ale niech kuzynka pomyśli, co ją czeka w domu poprawczym. Wszak wystawia to na niebezpieczeństwo jej honor dziewiczy.

– Cha-cha-cha! Honor u takiej kreatury! Czyż one mają jakiś honor... Nie, muszę jej dowieść, że jest gorsza od ostatniego parszywego kundla. Prawo nie zabrania mi jej bić, aż zdechnie.

– Kto kuzynkę nauczył takich wyrażań? Z pewnością nie Augustyn... Najokropniejsze jest to, że oddaje ją kuzynka na pastwę znanym szubrawcom. Niech ją kuzynka sama ukarze.

– Ja mam skalać ręce dotknięciem takiej gadziny? Bardzo kuzynce jestem wdzięczna za taką propozycję!... W ogóle niepotrzebnie się pani wtrąca do tych spraw. Róża zarówno jak wszyscy niewolnicy jest moją własnością. Za najmniejsze przewinienie wszystkim każę wymierzyć chłostę w domu poprawczym!

Miss Ofelia zmiarkowała, że tylko zaostri karę Róży, jeśli wypowie to, co miała na duszy. Powstrzymując swój gniew, podniosła się i wyszła z pokoju.

W kilka chwil potem jeden ze służących zabrał Różę do domu poprawczego.

Po dwóch dniach do siedzącego w galeryjce Toma poszedł Adolf, który od czasu śmierci swego pana zmienił się nie do poznania – zaniedbał się i chudł przerażająco.

– Słyszałeś, Tomie – zagadnął go – że mają nas wszystkich sprzedać?

– Kto ci to mówił?

– Słyszałem, jak pani radziła się swego adwokata. Tej niedzieli mają nas zaprowadzić na targ niewolników.

– Niechaj się spełni wola Boża! – odpowiedział z głębokim westchnieniem Tom, spuszczać głowę.

– Nie znajdziemy już tak dobrego pana, Tomie.

Tom jeszcze niżej spuścił głowę i zamyślił się posepnie. Po czym, zamieniwszy jeszcze kilka słów z Alfredem, podniósł się i poszedł do miss Ofelii, która go od śmierci Ewy darzyła szczególnym szacunkiem.

– Pani – zaczął głuchym głosem – przyszedłem z wielką prośbą. Nieboszczyk pan nasz za życia nie raz przyrzekał mi wolność. Niech pani będzie tak dobra i powie to naszej pani. Być może zechce ona wykonać życzenie nieboszczyka pana.

– Dobrze Tomie, pomówię z nią, ale muszę cię uprzedzić, że nie bardzo na to liczę.

Co rzekłszy bezzwłocznie udała się do mrs. Saint Clare.

Młoda wdowa leżała na kanapie i oglądała cały stos lekkich żałobnych materiałów.

– Ten materiał bardzo mi się podoba – rzekła, wskazując na sztukę, którą trzymała przed nią niewolnica.

– Jak kuzynka myśli – dodała, zwracając się do Ofelii. – Czy to ładne?

– To rzecz mody i osobistego gustu – odparła wykrętnie stara panna.

– Nie wiem, co począc... Chciałabym zamówić parę lekkich sukien, póki tu jeszcze jestem.

– A czy prędko kuzynka wyjeżdża?

– Postanowiłam sprzedać wszystko – dom i niewolników i wrócić do ojca.

– To pani sprawa. Ale co pani robi z Tomem. Wszak nieboszczyk August przyrzekał go wyzwolić. Naturalnie spełni pani jego życzenie?

– Ani myślę! Co ja głupia jestem, aby puszczać za darmo tak drogiego niewolnika... A zresztą na co mu wolność?

– Jak to na co? Żył tylko w nadziei na wolność.

– To bydlęta! – ze złością zawołała mrs. Saint Clare. – Nigdy nie są zadowoleni, choćbyś ich złotem obsypał od stóp do głów... W ogóle jestem przeciwniczką uwolnienia Murzynów i nigdy nie uwolnię swoich, chyba że Murzyn mi zapłaci tyle, ile jest wart.

– Ale niech się kuzynka zastanowi, że Tom może się dostać do złych rąk, a on przecież na to nie zasługuje.

– Bzdury! Nie ma złych panów – wszyscy są dobrzy i szlachetni.

– Niech i tak będzie – odparła Ofelia, która postanowiła walczyć do ostateczności. – Niechże pani weźmie pod uwagę, że ostatnim życzeniem naszego drogiego Augustyna było uwolnienie Toma. Przyrzekł to Ewie, która prosiła go o to na łożu śmierci.

– Czy nie wstyd pani ranić mi serce przypominaniem okrutnych wspomnień! – zawołała z furją młoda wdowa, wachając sole trzeźwiące i podnosząc do oczu chusteczkę. – Boże, jaka jestem nieszczęśliwa! Wszyscy są przeciwko mnie... Wszyscy mnie męczą, napadają na mnie... O, jak okrutni są ludzie!

Zaczęła się rzucać na łożku, krzycząc dzikim głosem, śmiać się i spazmować w ataku histerycznym.

Miss Ofelia, rezygnując ze swej akcji, z ciężkim sercem wycofała się z pokoju.

Postanowiła napisać list do mr. Shelby i prosić go o pomoc dla biednego Toma. Uczyniła to tego dnia, gdy Toma wraz ze wszystkimi niewolnikami zaprowadzono na targ.

ROZDZIAŁ XI

Targ niewolników

Uważają powszechnie, że targi niewolników stanowią coś w rodzaju piekła na ziemi. Bynajmniej tak nie jest. Współczesność potrafi najokropniejszym rzeczom nadać przyzwoite pozory dla zamydlenia bardziej uczciwych oczu.

Popyt na niewolników jest duży, a jeszcze do tego handlarze doskonale tuczą i ubierają swój „towar”. W Nowym Orleanie targi odbywają się w przyzwoitym budynku, niczym się od innych nie różniącym. Tylko na podwórzu wisi zasłona, oddzielająca świat wolności od świata niewoli. Toma, Adolfa i dwunastu innych w przeddzień targów umieszczono w domu

niejakiego mr. Skeggsa. Spędzili noc w obszernej izbie razem z całą gromadką innych niewolników. Przywitano ich tu głośnymi salwami śmiechu.

– Bawią się chłopcy – zauważył z uśmiechem zadowolenia mr. Skeggs. – To chyba ty, Sambo, starasz się rozweselić towarzyszy? – zwrócił się do tłustego ogromnego Murzyna, który stał pośrodku izby.

Tom nie był usposobiony do zabaw. Umieścił swój kufer w najdalszym kącie i usiadł twarzą do ściany. Po chwili dosiadł doń Sambo i trącając go łokciem, zapytał:

– Cóż to stronisz od wszystkich, braciszku? Co?

– Myślę o tym, że jutro kupi mnie Bóg wie kto.

– I to ma być powód do smutku? – odezwał się ze śmiechem Sambo, strojąc pocieszne miny. I zwracając się po kolei do Adolfa, rzekł: – No, a ty, wykwintnisiu, też się smucisz? Oderwali cię od jakiejś ślicznotki? Nie bój się: dziewczynek nie brak, znajdziesz inną.

– Zostaw mnie w spokoju! – odparł Adolf, odsuwając się z oburzeniem.

– Patrzcie go, jaki ważny panicz! – drwił Sambo. – Zresztą przecież biały! Perfumami zalatuje, gdzie nam do niego!

– Odczepisz się ode mnie! – krzyknął Adolf zaciskając pięści.

– O, mój Boże! Ach jaki lalusz, istna laleczka z cukru – piszczął Sambo, naśladując Adolfa.

– Jakaż to pani cackała się z nim? I jak mogła się z nim rozstać? A może ona tego niby... – zaśmiał się.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to byłem u pana, który mógł nas wszystkich kupić, wraz z tym domem i jego właścicielem. Należałem do Augusta Saint Clare. Słyszałeś chyba o nim?

– No, no. Szczęśliwy twój pan, że umarł, bo inaczej nie mógłby się pozbyć takiego lalusia, o którego trzeba wielce zadbać, a z którego się nie ma pożytku.

Adolf rzucił się nań z zacisniętymi pięściami. Zaczęła się bójka, pod akompaniamentem krzyków i śmiechu widzów. Dopiero interwencja mr. Skeggsa położyła jej kres...

Inaczej było w kobiecym oddziale. Tam cisza zalegała śmiertelna. Na podłodze leżało wiele kobiet w różnym wieku. W jednym z kątów leżała mulatka czterdziestopięcioletnia, o bardzo sympatycznej twarzy, ubrana schludnie i nawet elegancko. Przytulona do niej leżała piętnastoletnia dziewczynka, w której z pierwszego wejrzenia można było poznać jej córkę. Dziewczynka była równie przyzwoicie ubrana jak matka i ręce jej były nadzwyczaj delikatne, jak u damy. Widać było, że nigdy nie miała do czynienia z pracą ręczną.

Matka miała na imię Zuzanna, córka – Emmelina. Należały do pewnej damy z Nowego Orleanu, która obchodziła się z nimi wyjątkowo serdecznie i wychowała je na szczerze chrześcijanki. Niestety syn tej szlachetnej matrony nie był podobny do matki. Zaczął hulać i wkrótce przehulał cały majątek. Nieszczęśliwa dama chcąc nie chcąc musiała się rozstać nawet ze swymi ulubieńcami.

– Matko – odezwała się Emmelina – przespałabyś się trochę. Złóż głowę na moich kolanach i zaśnij.

– Och, dziecko moje, czyż mogę myśleć o śnie, skoro spędzamy być może ostatnie wspólne chwile?! Jesteś taka ładna, że na pewno sprzedadzą cię osobno.

Zuzanna cicho zaszlochała. Z rozpaczą myślała o hańbie grożącej Emmelinie.

– Pamiętaj, Emmy – dodała po chwili – jutro zaczesz włosy gładko do tyłu.

– Dlaczego, mammo? Nie jest mi do twarzy w gładkim uczesaniu.

– Właśnie dlatego. Im brzydziej będziesz wyglądała, tym lepiej dla ciebie. Pamiętaj, co ci powiem – dodała po krótkiej pauzie. – Jeśli rozłączą nas jutro, to staraj się zawsze postępować jak gdybym ja czuwała przy tobie. Odebrałaś wychowanie chrześcijańskie, nie kalaj go złym postępowaniem.

– O mammo, bądź spokojna. Będę zawsze taka, jaką jestem.

– Nie zawsze to będzie od ciebie zależało, biedna moja dziewczynko... Wiele doświadczysz złego. Módl się, a Bóg ci pomoże. A teraz zmówimy krótką modlitwę, córko moja. Jedyna nadzieja nasza w Bogu.

Trzymając się w objęciach zmówiły kilka modlitw, po czym zaśpiewały hymny pobożne.

Nastąpił ranek. Po sutym posiłku mr. Skeggs odbył szczegółowy przegląd „towaru”.

– Cóż to ma znaczyć? – rzekł, zatrzymując się przed Emmeliną. – Wszak masz kędzierzawe włosy, w jakim celu zaczesłaś je tak szpetnie? Musisz zmienić fryzurę, moja droga. Za kędzierzawe włosy płacą więcej, niż za takie szcurze kosmyki.

– Co robić, mamó? – zapytała szeptem Emmelina.

– Ulegnij – brzmiała zrezygnowana odpowiedź.

Po godzinie cała partia znalazła się na sali licytacyjnej. Na obu krańcach sali wznosiły się trybuny dla taksatorów.

Pośrodku znajdowało się większe półkoliste wzniesienie, na które wchodzili sprzedawani niewolnicy! Na pierwszy ogień wystawiono Toma, Adolfa i Zuzannę z córką jako towar pierwszorzędny. Dookoła wzniesienia skupił się tłum nabywców, z uwagą przyglądających się żywemu towarowi.

Do Toma zbliżył się jeden z nabywców, przysadzisty mężczyzna w kolorowej bluzie i w brudnych szarych spodniach. Jego czerwona otyła twarz była okryta ryżą szczecina, złe drobne szare oczy, ogromne usta o grubych wargach nosiły na sobie piętno siedmiu grzechów śmiertelnych. Nieustannie żując coś w ustach splotwał na wszystkie strony z mistrzostwem doświadczonego wirtuoza.

Poddawszy Toma wszechstronnym badaniom, wymacawszy jego mięśnie i obejrzawszy podniebienie, zapytał go:

– Skąd pochodzisz?

– Z Kentucky, panie – odpowiedział głuchym głosem Tom.

– Co robiłeś?

– Zarządzałem gospodarstwem.

– Łzesz! – burknął rudy osobnik, podchodząc do Adolfa. Obejrzawszy go, zbliżył się do kobiet. Na widok Emmeliny oczy jego zajaśniały pożądliwym blaskiem. Długo macał swymi brudnymi łapami delikatne ciało nieszczęsnej dziewczyny, która roniła gorzkie łzy. Matka jej płakała głucho, kryjąc twarz w kolanach.

Zacząła się wyprzedaż. Pierwszy został sprzedany Adolf; kupił go jakiś mały elegant. Toma kupił rudy jegomość, który go tak szczegółowo oglądał. Po Tomie sprzedano Zuzannę. Nabywcą jej był starszy człowiek, o bardzo miłej i dobrodusznej twarzy. Zaczął go prosić, aby kupił także jej córkę. Chciał spełnić jej prośbę, ale nie starczyło mu pieniędzy. Za dziewczynkę bowiem dawano już ogromną sumę. Po drugim przetargu zwyciężył rudy nabywca Toma. Był to jeden z bogatszych plantatorów z Południa, z nad Czerwonej rzeki, nazwiskiem Legry. Nawet na okrutnym Południu słynął z wyjątkowej srogości. Z uśmiechem małpim ustawił Emmelinę w miejscu, gdzie już stał Tom i dwaj inni Murzyni. Związawszy ich jednym powrozem, poganiał ku bramie, jak trzodę. Ściany drgnęły od rozpaczliwych jęków Zuzanny. Właściciel jej starał się uspokoić ją, ale nic nie mogłoby w tej chwili pocieszyć strapionej matki.

ROZDZIAŁ XII

Przejazd

Tego samego dnia ośmiu kupionych niewolników znalazło się na okręcie, dążącym do plantacji Legry'ego nad Czerwoną rzeką. Nazajutrz właściciel wyprowadził ich na pokład i poddał badaniu. Z oburzeniem obejrzał przyzwoity strój Toma. Zerwał mu z szyi własnoręcznie kołnierzyk i kazał mu się przebrać w kurtkę i spodnie robocze. Potem zaczął rewidować jego kufer. Kilka drobiazgów, pamiątek po Ewie, rzucił ze śmiechem do wody, podobnie jak i modlitewnik. Wszystko co posiadało jakąkolwiek wartość odebrał niewolnikom i z miejsca odsprzedał majtkom i innym amatorom tanich okazji.

– Czego się zasmuciłaś, pięknotko? – zwrócił się do Emmeliny, ujmując ją za podbródek.

Dziewczyna drgnęła i spojrzała nań z takim strachem i wstrętem, że zaczerwienił się gwałtownie.

– Jak ty śmiesz tak na mnie patrzeć, ty nikczemna kreaturo! – ryczał, opluwając ją śliną i potrząsając za plecy. – Czy zapomniałaś, że jestem twoim panem? Żebyś nie widział kwaśnych gęb – nie cierpię tego, zrozumiano! No, patrzcie na mnie wszyscy, jeśli nie chcecie spróbować mojej pięści! – krzyknął, cofając się o krok.

Oczy niewolników wpatrzyły się w niego jak oczarowane.

– Tak! – pochwalił. – Widać, że moja pięść nabierze u was szacunku! Wykropię wam skórę, jeśli mi się któryś nie spodoba. Żadnej pobłażliwości u mnie nie ma.

Odwrócił się i doszedł do bufetu, gdzie kazał sobie podać szklanekę wódki.

Nieszczęśliwi niewolnicy obejrzeliby się porozumiewawczo: wiedzieli, co ich czeka u takiego właściciela.

Emmelina nawiązała rozmowę ze starą mulatką, do której była przykuta.

– Ty do kogo należałaś? – zapytała, z politowaniem patrząc na jej steraaną twarz.

– Do mr. Elisa z Nowego Orleanu. Może słyszałaś o nim?

– Nie, nie słyszałam... Dobry on?

– Był dobry, dopóki nie zachorował. Męczył się półtora roku i stał się taki zły i kapryśny, że nie sposób było mu dogodzić. Wydarzyło się nieszczęście, że pewnej nocy zdrzemnąłam się i nie dałam mu na czas lekarstwa. Za to kazał mnie sprzedać takiemu nabywcy, który mnie zakatuje na śmierć... W ten sposób popadłam do tego rudego diabła. Rozumie się, że rychło wpędzi mnie do grobu.

– Masz rodzinę, ciotko?

– Mam męża i czworo dzieci, lecz męża widziałam po raz ostatni trzy lata temu. Ponieważ jest dobrym ślusarzem, właściciel wysłał go do fabryki. Dzieci mi również odebrano, zostałam sama jak palec.

Emmelina chciała ją pocieszyć, ale nie wiedziała jak. Cóż mogła jej powiedzieć, skoro sytuacja jej była nie lepsza.

Tymczasem statek sunął po Czerwonej rzece... Załzawione oczy nieszczęsnych niewolników nie widziały nic, prócz jednostajnych, nagich wąwozów i ponurych pustych równin.

ROZDZIAŁ XIII

Na nowym miejscu

Któryś z angielskich poetów powiedział, że ludzie okrutni chętnie zamieszkują mroczne ustronie. Stosowało się to w zupełności do Legry'ego.

Od przystani do jego plantacji ciągnęła się długa, uciążliwa droga, którą niewolnicy przebyli pieszo, podczas gdy Legry jechał bryczką. Po drodze nie przepuszczał okazji, aby ich dręczyć, zabronił im śpiewać hymny, zachęcał natomiast do wesołych bezmyślnych piosenek.

Ich przymusowo wesołe głosy, jakże straszliwie kłóciły się ze znękanymi twarzami. Wieczór już zapadał, a do plantacji było jeszcze daleko.

Ściemniło się, gdy ukazała się posiadłość Legry'ego. Niegdyś należała do bogatego Francuza, który, nie szczędząc kosztów, wznosił wspaniałe pałacyk. Ale w końcu zrujnował się, stracił wszystko i wkrótce umarł ze zgrzyoty. Legry był zbyt skąpy, aby utrzymać w porządku kupiony na licytacji majątek. To też tylko ślady zostały po dawnej wspaniałości. Aleje wysadzone specjalnym gatunkiem drzew chińskich zarosły trawą, a dom był zaniedbany i groził runięciem.

Na spotkanie przybyszów wybiegły trzy ogromne i dziko wyglądające brytany. Oberwani niewolnicy, którzy zbiegli się ze wszystkich stron, ledwo uratowali Toma i jego towarzyszy od kłów wściekłych zwierząt.

– Oto moi drodzy – odezwał się Legry ze śmiechem – widzicie, jakich tu mam dozorców. Upprzedzam, że przy najmniejszej próbie ucieczki, rozszarpią was na strzępy. No, jakże tam Sambo – zwrócił się do krzątającego się wysokiego Murzyna o ogromnej głowie – jakżeście tu żyli beze mnie? Wszystko w porządku?

– Nudno było, panie. Ale wszystko jest w porządku – odpowiedział Sambo, uwijając się jak węgorz.

– Tym lepiej dla was... A ty, Quimbo – rzekł do drugiego, który starał się ściągnąć na siebie uwagę pańską – zrobiłeś to, co ci kazałem przed wyjazdem?

– Niech pan będzie spokojny, wszystko zrobione. Czyżbym mógł zapomnieć.

Sambo i Quimbo cieszyli się jego względami. Sprawowali dozór nad resztą niewolników. Systematycznie przyzwyczajeni do okrucieństwa, stali się gorsi i okrutniejsi od samego Legry'ego.

– No, Sambo – ciągnął dalej plantator – rozmieść tę hołotkę, którą przyprowadziłem ze sobą; a tę pięknotkę bierz sobie, będzie twoją żoną. Widzisz, nie zapominam swych przyrzeczeń...

Co rzekłszy pchnął starą mulatkę ku Sambo. Biedna kobieta cofnęła się ze strachem i krzyknęła:

– O panie, ja mam męża w Nowym Orleanie!

– Co z tego? Tam był jeden, tu będzie drugi. U mnie nie ma sprzeciwu. Zrozumiano? Jeśli nie rozumiałaś, to masz oto nauczyciela.

I trzasnął ją biczem.

– A ty, ślicznotko – zwrócił się do Emmeliny – chodź ze mną.

W tej chwili w jednym z okien na chwilę ukazała się żółta twarz kobieca o dużych czarnych oczach. Gdy Legry wszedł z Emmeliną do budynku, krzyknęła coś, lecz Tom nie rozróżnił słów. Legry krzyknął w odpowiedzi:

– Milcz! Tu ja jestem gospodarzem!

Więcej Tom nie słyszał, ponieważ Sam zaprowadził jego i towarzyszy do szeregu nędznych lepianek, w których na podłodze pokrytej zgniłą słomą poniewierali się liczni Murzyni.

Wkrótce zaczęły wracać z robót polnych tłumy mężczyzn i kobiet, brudnych i oberwanych, o zmęczonych i posepnych obliczach. Od razu widać było, że niechętnie odnoszą się do przybyszów. Zamorzani głodem, zadreczeni ciężką pracą, nieustannie bici, nieufnie odnosili się do wszelkich zmian w swym pełnym udręki życiu.

Dorywano się do ręcznych młynków, aby wymieć skąpą porcję stęchłego zleżalego maisu, który dawano im na wieczerzę.

– Jak się nazywasz? – zwrócił się Sambo do swej nowej „żony”.

– Lucy.

– Doskonale, postaram się zapamiętać. Przygotuj mi kolację, ale uwijaj się żywiej. Jesteś teraz moją żoną i powinnaś mi dogadzać.

– Nie, nie jestem twoją żoną i nigdy nie będę nią! – z męstwem desperacji – zawołała Lucy. – Odczep się ode mnie!

– Uważaj, bo cię zbiję na kwaśne jabłko! – zawołał Sambo, zamierzając się na nią pięścią.

– Możesz mnie zabić, jeśli chcesz i czym prędzej tym lepiej, a żoną twą nie będę!

Murzyn rzucił się na nią i uderzył ją w twarz.

Tom umierał ze zmęczenia i głodu. Jakkolwiek wydano mu porcję maisu, przez długi czas nie miał dostępu do młynów. Kiedy wreszcie nastąpiła jego kolej, ustąpił miejsca dwóm słabym kobietom. Wzruszone niezwykłą uprzejmością odwzajemniły się, proponując upiec mu z mąki ciasto. Tom przysiadł się do ogniska, wyjął z kieszeni Ewangelię i zaczął czytać.

Niebawem zaczął świecić srebrzysty księżyc. Ogień dogasał. Tom pocałował drogocenną księgę, włożył ją z powrotem do kieszeni i spojrzął na chłodny miesiąc, obojętnie patrzący z wyżyn na nędzną osadę, gdzie wśród męk straszliwych upływało życie poniżonych i zmęczonych ciałem i duszą ludzi.

Wreszcie podniósł się i poszedł do wskazanej mu lepianki. Była przepelniona śpiącymi. Powietrze było tu tak gęste i zepsute, że Tom mimo woli się cofnął. Przewyciężając wstręt, odszukał w jednym z kątków pęk świeżej słomy, pokryty podartym i brudnym prześcieradłem, położył się i zasnął.

ROZDZIAŁ XIV

C a s s y

Tom wkrótce oswoił się z nowymi warunkami życia, mimo ich okropności. Pracował rzetelnie i ciężko, jak u dawnych właścicieli. Legry ocenił jego zdolności, ale czuł doń wyraźną antypatię. Nie podobał mu się spokój Toma i jego pobożność. Rozumiał, że Tom w głębi duszy potępia swego pana, aczkolwiek nie daje temu wyrazu.

Kupił Toma z zamiarem uczynienia go swym głównym pomocnikiem i w tym celu zamierzał zahartować jego zbyt czułe serce.

Pewnego razu, przy rannym apelu Tom zauważył w rzędzie nową niewolnicę. Była to kobieta, może trzydziestopięcioletnia, wysoka, zgrabna, bardzo ładna, o małych delikatnych rękach; ubrana była czysto i przyzwoicie. Na twarzy można było wyczytać długą opowieść o zawiedzionych nadziejach, przebytych cierpieniach i troskach. Zaliczała się do owych postaci, które wystarczy raz zobaczyć, aby nie zapomnieć nigdy.

Tom patrzył na nią jak oczarowany. Nie mógł zrozumieć, jak kobieta o tak dumnej prezencji mogła się dostać do szeregu niewolników. Towarzysze Toma znali ją zapewne, gdyż oprowadzali tryumfującymi i złośliwymi spojrzzeniami. Niektórzy szydzili z niej i robili sprośne uwagi. Ale nieznamoma ledwo raczyła na nich spojrzeć, uśmiechając się lekceważąco i dumnie.

Tom był zdumiony. Przy pracy ukradkiem spoglądał na nią. Zręczna i bardzo zwinna radziła sobie łatwiej z robotą od wielu starszych robotników.

Z drugiej strony obok Toma pracowała Lucy. Była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach. Tom po kryjomu wsuwał jej do koszyka własny plon, aby ułatwić jej pracę.

– Nie rób tego, mój drogi – rzekła Lucy, podnosząc nań pełne łez oczy – pobiją cię za to.

– To nic – odparł Tom. – Gotów jestem znieść wszystko.

W tej chwili przybiegł Sambo, wywijając biczem.

– Co robisz, łotrze? – zawołał ze wściekłością. I kopnąwszy biedną kobietę w brzuch, smagnął Toma po głowie.

Tom, nic nie mówiąc, przesunął ręką po twarzy i pracował dalej. Natomiast Lucy przewróciła się na ziemię, tracąc przytomność.

– Poczekaj, parszywa babo, ja cię zaraz postawię na nogi! – krzyknął z wściekłością Sambo, wyjął z kieszeni ogromną szpilkę i wetknął ją w pierś nieszczęsnej kobiety.

Lucy przeraźliwie krzyknęła, zerwała się na równe nogi i wyęzając resztki sił, z gorączkowym pośpiechem zaczęła pracować.

Sambo odszedł do innej grupy.

Mimo ryzyka Tom wsunął znowu do kosza swej sąsiadki dwie pełne garście bawełny.

Nieznajoma naraz badawczo zmierzyła go od stóp do głów, po czym bez słowa wyspała do jego kosza taką samą ilość bawełny, jaką oddał biednej Lucy.

– Widać, że jesteś nowicjuszem – rzekła. – Gdybyś znał tutejsze porządki, nie robiłbyś tego.

Sambo podbiegł do niej i zamierzając się biczem, krzyknął:

– Będiesz mi się tu kręcić? Chodź ze mną, nauczę cię brać zły przykład z kogo innego... Nie guzdraj się, bo gorzej z tobą będzie! Teraz ja jestem twoim panem, zrobię z tobą, co zechcę.

Czarne oczy nieznajomej błysnęły złowieszczym blaskiem. Błada, z drżącymi nozdrzami i wargami, spojrzała pogardliwie na Sambo i wycedziła wyraźnie:

– Ach, ty gadzie ohydny! Ty będziesz mi rozkazywać? Waż się mnie tylko dotknąć, pokażę ci, że jeszcze mam tu tyle władzy, że potrafię cię spalić żywcem, poćwiartować i naszczyć na ciebie psy! Precz stąd, bydlę!

– Więc po jakiego licha znalazła się pani tutaj? – wymamrotał Sambo, momentalnie ustępując – Od razu się pani na mnie obraziła, miss Cassy, chciałem tylko pożartować.

– Nie radzę ci nadal tak żartować ze mną... w ogóle, nie waż się do mnie wtrącać.

Sambo z miną pobitego psa wycofał się na drugi koniec plantacji, Cassy zaś wzięła się znów do pracy, która naprawdę paliła się jej w rękę.

Wieczorem wrócili z pól niewolnicy, unosząc na głowach ciężkie kosze. Pod przewodem Sambo skierowali się ku przestronnemu spichlerzowi, gdzie w obecności właściciela ważyli zebrane plony.

Tego wieczoru Sam odezwał się do gospodarza, który stał przed spichlerzem.

– Panie, ten wielce chwalony Tom jest zwyczajnym wyrodkiem. Przez cały czas podsuwał tej szubrawej Lucy pęczki i skamlał coś o Bogu.

– Ach, czarny diabeł! Zbuntować mi chce niewolników. Ja go nauczę! Najlepiej będzie zmusić tego zbyt słodkiego Murzyna do karania swych towarzyszy; wówczas prędko zapomni o tych wszystkich czułościach.

– Niełatwo będzie go zmusić. Otóż i ta oszustka Lucy nic prawie nie robiła, gdyby nie Tom, wróciłaby z pustym koszem.

– Tak? No dobrze, za to Tom ją wybatoży.

– A jak pracowała miss Cassy? – rzekł wchodząc do spichlerzy.

– Uwijała się zręcznie, jakby sam diabeł jej pomagał. Tymczasem zmęczeni i wygłodzeni Murzyni dochodzili po kolei do wagi, aby zważyć zebrany plon.

– Tomie – rzekł w końcu Legry. – Jeszcze tu jesteś? Doskonale? Wiesz, że kupiłem cię nie do czarnej roboty. Zamierzam uczynić cię głównym dozorcą. Chcę, abys już teraz przystąpił do wykonywania nowych obowiązków. Bierz tę leniwą Lucy i wybatoż ją jak się patrzy.

– Wybacz pan – odpowiedział półgłosem Tom – ale ja nie mogę wykonać tego rozkazu i mam nadzieję, że nie będzie mnie pan zmuszał...

– Wszystko możesz, skoro każe ci twój pan – krzyknął wściekle Legry i kilkakrotnie uderzył go po twarzy szpicrutą.

– Nie panie – kontynuował Tom, ocierając rękawem cieknącą krew – co jest niemożliwe, to będzie do końca niemożliwe. Gotów jestem harować w dzień i w nocy, póki się na nogach utrzymam, lecz nie będę nigdy znęcał się nad bliźnimi! Nigdy nie robię tego, co jest niesprawiedliwe. I pan mnie do tego nie zmusi.

Tom mówił łagodnie i z respektem, Legry zaś był przeświadczony, że zdoła przełamać jego opór.

– Ach, ty czarna świnió! – krzyczał z pianą na ustach. – Ty śmiesz potępiać to, co ja ci rozkazuję! Będziesz mi tu sędzią? Zakatuję cię na śmierć, ty łotrze wstrętny.

– Może mnie pan zabić, ale ręki na bliźniego swego nie podniosę.

Legry zrozumiał, że nic są to próżne słowa.

– Czyż nie jestem twoim panem, ty czarna małpo! Co? Czy nie należysz do mnie cały ze swymi nędznymi flakami? Odpowiadaj, brudna bestio! – krzyczał wściekle, kopiąc Toma w brzuch butami.

Zbity, pokrawiony i poniżony Tom poczuł w duszy przyływ nieziemskiej radości, jaką odczuwali zapewne pierwsi męczennicy. Prostując się, wzniósł do góry twarz opromienioną wewnętrznym światłem i zawołał głosem zwycięskim:

– Nie, panie! Nie kupił mnie pan całego, mojej duszy pan nie kupił i zresztą nie mogła być kupiona. Należy do Boga i tylko Najwyższy może mi ją zabrać... Nie panie, chociaż pan drogo za mnie zapłacił, lecz nie cały jestem pańską własnością: lepsza moja częśćka jest w innej władzy.

– Zobaczmy, co się stanie z tą lepszą częśćką! – zawołał dzikim głosem Legry. – Hej, Sambo, Quimbo! Skrójcie temu kaznodziei taką kurtę, aby nosił ją cały miesiąc!

Siłacze rzucili się na Toma ze złośliwym krzykiem i pociągnęli go za sobą.

ROZDZIAŁ XV

Historia Cassy

Zapadła noc. Zostawiony w spichrzu nieszczęsny Tom leżał na ziemi, zbity i skrwawiony. Mimo męstwa i cierpliwości, od czasu do czasu wydawał głuche jęki. Noc była parna i duszna. Roje owadów wzmagały cierpienia Toma. Poza tym trapiło go straszliwe pragnienie.

– O Panie! – szepnął ze łzami w oczach. – Daj mi siły, abym mógł to wszystko znieść!

Z zewnątrz dobiegły lekkie kroki. Po chwili drzwi otworzyły się cicho i na progu stanęła postać kobieca.

– Kto tam? – zapytał Tom. – Dajcie mi na miłość Boską łyk wody!

– Zaraz nieszczęsny, zaraz cię napoję – brzmiała cicha odpowiedź.

Była to miss Cassy. Zbliżyła się do Toma i podała mu do ust butelkę z wodą.

– Dziękuję pani.

– Nie nazywaj mnie panią. Jestem taka sama nieszczęsna niewolnica jak ty, tylko bardziej poniżona...

Wyszła i po chwili przyniosła siennik i kilka mokrych prześcieradeł. Zrobiła mu wygodne posłanie i pomogła mu się położyć.

– To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Ale mam nadzieję, że to ci ulży.

Tom podziękował jej gorąco. Usiadła przy nim na ziemi.

– Biedny przyjacielu – podjęła znów – masz rację, ale nic ci to nie pomoże. Ulegnij. Twój właściciel jest istnym diabłem.

Ulegnąć? Tom zawahał się. Słabość ludzka i straszliwie cierpienia kusiły go już nieraz.

– O, panie! Co mam począć? – szeptał w przerażeniu.

– Czego zwracasz się do Boga? – odezwała się z utajoną złością Cassy. – Nigdy nie słyszy nas... Wszystko pcha nas ku otchłani zatracenia i nic nam innego nie zostaje, jak skoczyć w przepaść.

Tom zadrzał z przerażenia, słuchając gorzkich słów.

– Biedny Tomie, nie wiesz przecież, co tu się dzieje – rzekła. – Już pięć lat jestem we władzy tego diabła i poznałam go na wskroś... O jak ja go nienawidzę! Zrozum, że ta plantacja znajduje się w sercu pustyni; w promieniu dziesięciu mil nie ma żadnego osiedla. Można cię tu rzucić na pożarcie brytanom, spalić żywcem, powiesić lub zakatować. Włosy by dęba stanęły, gdybym opowiedziała, czego byłam świadkiem. Myślisz, że dobrowolnie zgodziłam się tu żyć? Nie było chwili, abym nie przeklęła tego istnienia... Teraz zamierza zastąpić mnie tą młodzianką dziewczynką, którą przywiózł z miasta. Widziałam, jak czytała Biblię, ale ani Biblia ani nic innego jej nie uratuje!

– O Boże, czyż naprawdę porzuciłeś nas? Nie, nie wierzę! – zawołał w uniesieniu Tom. – Uchron mnie Boże od rozpacz i zwątpienia, abym nie zatracił na zawsze swej duszy!

– Jeśli wierzysz w Boga, to powinieneś zrozumieć, że Bóg nie będzie nas karał za krzywdy, które wyrządzamy bliźnim wbrew swej woli. Bóg zemści się na tych, którzy nas zmuszają do zła – odpowiedziała Cassy.

– Nie, miss Cassy – tak nie jest. Po to Najwyższy dał nam rozum, abyśmy nie grzeszyli, jeśli nas nawet do tego zmuszają. Pan Bóg nie zapyta mnie dlaczego, lecz zapyta jak mogłem się stać oprawcą swych Bliźnich.

– Masz słuszość – rzekła po chwili Cassy. – O, gdybyś tu był dawniej, nie upadłabym może!... A teraz nie mam nadziei na zbawienie! – zawołała nagle i łkając żałośnie, zaczęła bić czołem o stojącą przed nią skrzynkę.

– Niech się pani uspokoi! Nie wszystko jeszcze stracone – pocieszał ją Tom.

Cassy opanowała się, wytarła oczy i podniosła do góry twarz, niemal spokojną, lecz o smutnych i rozpaczonych oczach.

Na prośby Toma przeczytała na głos rozdział Ewangelii. Następnie długo trwała w milczeniu, po czym przemówiła z ożywieniem:

– Chcesz, opowiem ci swą historię? Tak? Więc słuchaj uważnie i wiedz, że takich jak ja jest wiele. Wychowano mnie w bogactwie i rozkoszy. Pamiętam, że dzieckiem będąc bawiłam się w pysznie urządzonej salonach, ubrana jak laleczka. Później zaczęłam się uczyć w sąsiednim klasztorze. Uczono mnie ojczystego i francuskiego języka, muzyki, rysunków i wielu innych nauk. Miałam niespełna lat czternaście, kiedy umarł mój ojciec. Po jego śmierci okazało się, że był zrujnowany, i że trzeba sprzedać majątek, aby spłacić długi. Byłam wciągnięta do żywego inwentarza, ponieważ matką moją była niewolnica, a ojciec zaniedbał uczynić mnie wolną. Wiedziałam, że jestem niewolnicą, ale to mnie wcale nie smuciło... Przebywałam stale z prawowitymi dziećmi swego ojca i nie widziałam między nami żadnej różnicy. Matki nie pamiętam. Podobno umarła wkrótce po porożeniu... Nazywałam matką żonę swojego ojca, która okazywała mi zawsze dobroć. Śmierć ojca uderzyła we mnie jak piorun. Był jeszcze młody i silny, i nikt się nie spodziewał tego przedwczesnego zgonu. Zaraz po pogrzebie, żona mego ojca zebrała swoje dzieci i wyjechała z nimi do swych rodziców, mnie zaś zostawiła w majątku. Przychodził do nas codziennie młody adwokat.

Jednego razu przyprowadził pewnego młodego człowieka, który wydał mi się ideałem męskiej urody... Nigdy nie zapomnę pierwszej z nim rozmowy. Mówił mi, że kocha mnie od dawna i pragnie być moim przyjacielem i obrońcą. Napomknął mi, że kupił mnie za dwa tysiące dolarów, ale od razu stwierdził, że nie zamierza skorzystać ze swych praw i że pragnie, abym mu się oddała dobrowolnie... Pokochałam go... O, jak gorąco i głęboko kochałam tego człowieka. Kocham go nawet teraz i do grobowej deski. Umieścił mnie w swym domu, równie wspaniałym jak mój dawny. Miałam powozy, konie, służących, drogie szaty i wiele klejnotów. Kochałam go nad życie i pragnęłam tylko jednego: aby poślubił mnie. Lecz wyperswadował mi, że to niemożliwe, gdyż prawo zabrania poślubić niewolnicę. Byłam wierna i wierzyłam mu. Uważałam się za jego żonę, ponieważ przez kilka lat żyłam tylko nim i dla niego... Mieliśmy dwoje ślicznych dzieci: chłopczyka, imieniem Henry i dziewczynkę Elizę. Ale jakież to były szczęśliwe czasy! Lecz niestety, wszystko się kończy... Henry, mój mąż, miał kuzyna, z którego był bardzo dumny. Od pierwszego wejrzenia czułam doń niechęć. Wszakże przesiedlił się z Nowego Orleanu i zamieszkał z nami. Stale wychodził razem z Henrym – wracali często o świcie. Później dowiedziałam się, że zaciągał go do domów gry. Poza tym zapoznał go z pewną młodą i piękną damą. Wkrótce spostrzegłam, że nie ja jedna zajmuję miejsce w sercu mego bóstwa. Kuzyn jego uknuł podstępny plan: namawiał Henry'ego, aby się ożenił z ową damą i mnie oraz dzieci odstąpił jemu, spłacając tym dług karciany... Pewnego razu Henry oświadczył mi, że musi jechać do innego miasta, gdzie spędzi trzy tygodnie. Pożegnał mnie z dawną czułością. Ja jednak wiedziałam, że żegna mnie na zawsze... Tego samego dnia przyjechał kuzyn i z piekielnym uśmiechem oznajmił mi, że kupił mnie i moje dzieci... Przeklęłam swego nowego pana i powiedziałam mu, że wolę umrzeć, niż ulec. „Jak chcesz” – rzekł – „ale wiedz, że jeśli będziesz się opierać, to sprzedam twoje dzieci. Wiedz, że ledwo cię ujrzałem, postanowiłem cię posiadać. W tym celu obudziłem w Henrym namiętność do gry i zapoznałem go z tą kobietą”. No i cóż! Uległam, nie chcąc stracić dzieci. O, jak straszliwie cierpiałam!... Lecz i to nie pomogło. Rozgniewany na mnie za to, że nie okazywałam mu miłości, której przecież nie czułam, Buttlex – tak się nazywał mój pań – sprzedał moje dzieci. Myślałam, że oszaleję z rozpacz. Oderwano ode mnie mego chłopca przemocą... Nie panując nad sobą, schwyciłam nóż, rzuciłam się na swego oprawcę i upadłam zemdlona. Kilka tygodni przeleżałam w gorączce, nieprzytomna. Później dowiedziałam się, że Buttler wyjechał i polecił mnie sprzedać, skoro wrócę do zdrowia. Wówczas zaczęli przychodzić różni nabywcy, przyglądali mi się bez żenady i omawiali moją wartość. Któregoś dnia przyszedł niejaki Stuart, który okazał mi wiele współczucia. Przyrzekł mi odszukać moje dzieci. Kupił mnie niebawem i przeprowadził do swego domu. Nazajutrz zaczął szukać moich dzieci. Okazało się, że Henry został sprzedany plantatorowi z nad Brylantowej rzeki. Od tego czasu nic o nim nie słyszałam. Stuart odnalazł moją córkę. Znajdowała się u pewnej starej damy, która za żadne pieniądze nie chciała jej sprzedać... Stuart obchodził się ze mną łagodnie, otaczał mnie pieczołowitością, to też odwzajemniłam mu się, o ile to było możliwe, wdzięcznym uczuciem... Po roku urodził się nam syn... O jakże pokochałam go! Pokochałam go tak bardzo, że nie mogłam się zgodzić, aby żył... Napoiłam go opium i, przycisnąwszy do piersi, z płaczem ukołysałam do snu wiecznego... Wszyscy myśleli, że otrułam go niechcący... Wybuchła epidemia cholery. Stuart zmarł. Umarli wszyscy, którzy pragnęli żyć, ja zaś, która błagałam o śmierć, zostałam przy życiu! Znowu mnie sprzedano, przechodziłam z rąk do rąk, póki nie znalazłam się tutaj... Hańba ostateczna... Nie, nie warto o tym mówić... Bądź zdrow!

Zostawszy sam w nocnym mroku, Tom zaczął się modlić za cierpiących; modlił się, dopóki nie zmorzył go ciężki sen.

ROZDZIAŁ XVI

Talizman

Legry siedział w jadalni. Był to obszerny pokój, niegdyś wspaniale urządzone, ale obecnie straszliwie zapuszczony.

Plantator siedział na fotelu i nagrzewał wodę do ponczu.

– Niech diabeł porwie tego łotra Sambo! – mruczał. – Podjudził mnie przeciwko Tomowi i oto teraz, kiedy brak rąk, pozbawił mnie najlepszego robotnika!

– Sam jesteś winien, dlaczego słuchałeś go? – rozległ się za nim głos kobiety.

– Ach, to ty, stara ślicznotko! – odpowiedział szyderczo Legry, odwróciwszy się do Cassy.

– Znowu przychodzisz tu! Czy mogę wiedzieć w jakim celu?

– Aby pomówić z panem.

– Aha, a więc namyśliłaś się? Znudziło ci się orać nosem i mieszkać z robotnikami? Wiesz co, zawrzyjmy zgodę, usiądź mi na kolanach i pomówimy poważnie.

I uchwyciwszy ją za rękę, usiłował przyciągnąć do siebie.

– Nie waż się tknąć mnie! – krzyknęła Cassy, wyrrywając rękę. – Nie waż się dotknąć, bo cię ugryzę boleśniej od twych brytanów!

– Wściekłaś się, czy co?

– Masz rację. Tak, wreszcie wściekłam się. Teraz miej się na baczności: do wszystkiego jestem zdolna.

– Po coś tu przyszła, czego chcesz ode mnie? – zapytał Legry, patrząc na nią z prawdziwą trwogą.

Legry był do niej na swój sposób przywiązany. Ona jedna potrafiła okiełznać jego dziki charakter. Wszakże ostatnio sprzykrzyła mu się swą zapalczywością, więc postanowił zastąpić ją inną kobietą. Na widok cichej i potulnej Emmeliny, Cassy ujęła się za nią i ostro wystąpiła przeciw Legry'emu. Rozjuszony plantator wypędził ją z domu i kazał jej pracować w polu. Lecz tego dnia czuł się gorzej od niej: litował się nad nią, a jednocześnie był zawstydzony swym brutalnym wybuchem.

– Po co przyszłam? Aby powiedzieć ci, że jesteś idiotą. Kaleczysz najlepszych robotników wówczas, gdy ich najbardziej potrzebujesz.

W tej chwili wszedł Sambo i podał gospodarzowi jakiś mały przedmiot zawinięty w biały papier.

– To talizman – rzekł. – Murzyni noszą go, aby nie odczuwać żadnego bólu. Znalazłem go na szyi Toma.

Legry jak większość ludzi brutalnych był bardzo przesądny. Wyrwał z rąk niewolnika rzekomy talizman. Był to srebrny dolar i lok złocistych włosów, które od razu zwinęły się w około palca plantatora.

– A do diabła! – zawołał przestraszony, zrywając z palca włosy, jak gdyby go parzyły. – Rzuć to do ognia, Sambo!... Jak śmiałeś przynieść tę piekielną sztuczkę?

Nie czekając na pomoc Sambo, Legry sam wrzucił lok do kominka, a dolar cisnął przez okno na podwórze.

– Jeżeli jeszcze raz przyniesiesz mi coś podobnego, to pogruhoczę ci wszystkie gnaty! – krzyknął, pokazując Murzynowi zaciśniętą pięść.

Sambo wycofał się czym prędzej, dziwiąc się niezrozumiałej wściekłości swego pana.

Wyszła również Cassy, ponieważ zmiarkowała, że tym razem nic nie wskóra.

Lecz co się działo w duszy Legry'ego? Czemu zwykły lok włosów doprowadził go do wściekłości? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy myślał sięgnąć wstecz dalekiej przeszłości.

Niegdyś i on był niewinnym dzieckiem, które do snu kołysała nabożna matka, marząca o tym, aby wychować je na gorliwego chrześcijanina. Lecz dawno już o tym zapomniał. Ojciec jego był człowiekiem twardym i zawziętym. Młody Legry, który odziedziczył po ojcu charakter, ledwo wyrósł, uciekł z domu i wynajął się jako juga na okręt. Po kilku latach odwiedził swą matkę, która pędziła nędzne życie w małej wiosce w Nowej Anglii. Otoczyła syna czułą pieczołowitością i starała się go namówić do spokojnego i uczciwego życia. Lecz niska i zła natura Legry'ego górowała nad jego sumieniem.

Pewnego razu, kiedy matka upadła mu do nóg, błagając aby nie gubił swego ciała i duszy, kopnął ją nogą w twarz. Szymon Legry, miotając przekleństwa odepchnął ją nogą i, skradłszy jej ostatnie oszczędności, umknął z powrotem na okręt.

Minął rok. Okręt, na którym Legry pracował, zawinął do portu jego ojczystego miasta. Lecz wyrodney syn ani myślał zajrzeć do matki. Wieczorem, gdy z kolegami uczładował w portowej tawernie, podszedł doń jakiś nieznajomy i podał mu list. Ledwo naddał kopertę, wysunął się z niej lok siwych włosów i skręcił się dookoła jego palca. W liście donoszono mu, że matka jego umarła i że na łożu śmierci wybaczyła mu wszystkie winy.

Szymon Legry poczuł przesadną zgrozę. Nie zastanawiając się długo, spalił list i włosy – i zaczął zalewać robaka.

Teraz podobnie wysuszał szklanki ponczu i miotał przekleństwa:

– O przekłeta bestia! – krzyczał – Skądże wziął te włosy?... W młodości takie złote włosy miała ta, która mi dała życie... Nie, prócz diabła nie ma nic i wkrótce wpadnę w jego łapy... Gdzie to mówiono: „czcij ojca i matkę”?... Przecież nie diabeł podszeptał mi te słowa?... O, jak tu strasznie! – zawołał, rozglądając się po mrocznej, zapelnionej drżącymi cieniami sali. – Pójdę, zawołam Emmelinę... Ona jest moją niewolnicą i powinna milczeć.

Dopił resztek ponczu i drżąc ze strachu wybiegł z pokoju. Zszedł na dół po kręconych schodach. Naraz dobiegły go dźwięki smutnego hymnu niewolników, zaczynającego się od słów: „Jaki będzie lament na sądzie ostatecznym!” Rozlegając się głucho pod mrocznymi sklepieniami, głos zdawał się wychodzić spod ziemi.

– Przekłeta dziewczyna! – mruczał Legry, zaciskając pięści. – Hej, Emmelino! – krzyknął, lękając się iść dalej w ciemnościach.

Odpowiedziało mu jedynie echo. Niewidoczna śpiewaczka kontynuowała: „O dzieci, które zapomniałyście matek, zobaczycie je w dniu sądnym, ale wówczas będą wam obce!”

Legry zastygł z przerażenia. Serce biło gwałtownie, chłodny pot wystąpił na czole. Tracąc nad sobą panowanie nieomal na czworakach wrócił na górę do siebie, gdzie świeciło przynajmniej jakieś światło i znajdowały się żywe stworzenia – brytany.

– O diable, bodajbyś wziął w opiekę swego wiernego sługę! – wymamrotał w ostatecznej rozpacz. – Odpędź ode mnie nieboszczyków!... Hej, chodźcie tu, wierne moje psy! – Prędeż, przyjaciele moi!

Lecz brytany nie ruszały się z miejsca. Więc podbiegł do okna i trzy razy zatrąbił na rogu myśliwskim. Było to umówione wezwanie jego wiernych popleczników.

O drugiej nad ranem Cassy, zajrzała do okna bawialni.

Legry, Sambo i Quimbo kompletnie pijani, krzycząc i miotając przekleństwa, płąsali dookoła stołu. Za nimi szczekając uganiały się brytany.

Długo spoglądała Cassy na dziką scenę.

– Czyż zabicie tych szubrawców nie będzie dobrym uczynkiem? – szeptała, odwracając się i opuszczając galerię.

ROZDZIAŁ XVII

Uwięzione

Czuając, że nie będzie mogła zasnąć, Cassy poszła do Emmeliny, która zajmowała pokój o piętro niżej.

Ujrawszy Cassy, biedna dziewczynka rzuciła się jej na szyję i drżącym głosem wyszeptwała:

– Jaka jestem szczęśliwa, droga Cassy, że pani przysła! Bałam się ogromnie, myśląc, że to on idzie... Boże! co tam się dzieje na górze?

– Pan hula ze swoim godnymi kompanami – z pogardą odpowiedziała Cassy, siedząc z dziewczyną na starej otomanie.

– Cassy, miła moja, droga, czy nie możemy uciec z tego straszego domu? – mówiła Emmelina, patrząc w oczy młodej kobiecie.

– Nie – cierpko odpowiedziała Cassy – z tego domu jest jedno tylko wyjście... do grobu.

– Boże mój, cóż mamy począć?... Czyż należy poddać się temu oprawcy? – krzyknęła Emmelina z rozpaczą załamując ręce.

– Tak, nic innego nie pozostaje, jeśli nie chcesz być poddana najokropniejszym doświadczeniom – powiedziała Cassy. – Ukorz się, tak jak ja uległam.

Mówiąc te słowa, Cassy wyszła z pokoju. Zostawszy sama, młoda dziewczyna rozplakała się gorzko, potem jednak opanowawszy się spojrzała w niebo swymi pięknymi wielkimi oczyma. W tej chwili podobna była do skruszonej Magdaleny.

W międzyczasie Legry zasnął, osunąwszy się na krzesło przed kominkiem w saloniku.

Bardzo często podczas snu unosi się rąbek tej zasłony, która oddziela świat rzeczywisty od pozagrobowego. Legry'emu śniło się tej nocy, że przysła do niego jakaś zakrwawiona postać. Legry domyślał się kto to jest i drżał ze strachu. Po tym otworzyła się przed nim przepaść i mnóstwo rąk zaczęło go popychać ku niej. Przysła także Cassy i też go popychała. Znowu ukazała się zakrwawiona postać i kiedy odrzuciła prześcieradło, Legry ujrzał swoją matkę. Chciał błagać ją o pomoc, ale ona odwróciła się od niego i odeszła, a on wpadł w przepaść słysząc diabelski chichot. W tej chwili obudził się i ujrzał wchodzącą Cassy.

Legry ucieszył się na jej widok i zaczął opowiadać jej o okropnym swoim śnie, ale Cassy przerwała mu chłodno mówiąc:

– Takich nocy oczekuje cię sporo, zresztą nie przyszłam po to, żeby wysłuchiwać twoich snów, ale aby ci dać pewną radę.

– Radę? A czy ja potrzebuję obcych rad? – z oburzeniem krzyknął Legry.

– Nawet bardzo – spokojnie odpowiedziała Cassy. – Po pierwsze, radzę ci nie męczyć więcej Toma... właściwie sam Tom mnie nie obchodzi, ale pomimo tego, że się gniewamy, nie zmartwiłabym się wcale, gdybyś nie był pierwszym na rynku bawełnianym, i gdyby nie to, że przegrasz swój zakład kilkuset dolarowy i narazisz się na kpiny swego przyjaciela.

Z prawdziwą kobiecą przebiegłością Cassy poruszyła w duszy Legry'ego dwie słabe struny: po pierwsze dała mu do zrozumienia, że nie jest on jej zupełnie obojętny, jakby to się wydawało na pozór, a po drugie przypomniała mu o zakładzie z jednym z sąsiadów.

– No dobrze – powiedział już łagodniejszym głosem Legry – jestem gotów przebaczyć Tomowi, jeśli on mnie przeprosi i będzie robił to co mu każę.

– Nigdy się nie zgodzi być katem – powiedziała Cassy.

– Głupstwo, zgodzi się! – upierał się Legry. – Gdzie on jest teraz?

– Tam, gdzie go rzucono, w spichlerzu.

– Pójdę do niego, a ty zaczekaj tutaj.

Legry nie był tak pewien zwycięstwa nad Tomem, jak to chciał okazać. Nadto nocne sny i słowa Cassy trochę podziałały na niego; postanowił dzisiaj ograniczyć się tylko do gróźb.

Słońce zajrzało i do tego zapadłego spichrza, gdzie leżał Tom.

Cierpiąc straszliwie od ran cielesnych, Tom myślał, że dzień wschodzący może będzie już ostatnim dniem jego życia, i serce jego przepelniało się radością męczennika w oczekiwaniu nagrody za wierność niewzruszoną – korony chwały.

– No przyjacielu, jak się czujesz? – nagle usłyszał koło siebie głos Legry’ego. – Mam nadzieję, że już teraz nie będziesz sprzeciwiał się mi? Prawda?

Tom milczał.

– Nie raczysz dać mi odpowiedzi – syknął Legry, znowu ogarnięty gniewem. – Wstań ty bydlę! Jak śmiesz leżeć w obecności swego pana! – krzyczał, kopnąwszy Toma nogą w bok.

Zrobiwszy nieludzki wysiłek, nieszczęśliwy Murzyn usiłował wstać. Legry chichotał, patrząc na jego cierpienia.

Powstawszy, całą siłą woli trzymając się na nogach, Tom zajrzał spokojnie w oczy pana.

– Podniosłeś się jednak! To znaczy, że za mało ci batów wysypano – szyderczo powiedział Legry. – Jeśli nie chcesz, żeby ci dołożono, to padnij przede mną na kolana i proś o przebaczenie.

Tom nie poruszył się.

– Na kolana, psie! – krzyknął plantator, uderzywszy Toma z całej siły batem.

– Nie mogę prosić o przebaczenie, ponieważ czuję się niewinny, panie – stanowczo powiedział Tom.

– Ach tak? Więc ty sobie wyobrażasz, że ja nie potrafię przekonać cię odpowiednio? – krzyczał Legry, tupiąc nogami. – Cóż ty powiesz, jeśli ja rozkażę przywiązać cię do drzewa i podpalić cię.

– Ja wiem panie, że może pan poddać ciało moje najstraszliwszym męczarniom – cicho odpowiedział Tom. – Ale nad duszą moją nie ma pan władzy. Spali pan tylko moje grzeszne ciało, ale dusza moja wzniesie się tam, gdzie oczekuje mnie wieczna błogość!

– Łzesz, bydlę! Nie będziesz się radować, gdy będą cię smażyć na wolnym ogniu! – z pianą na ustach krzyczał Legry.

– Nie panie, tego nie będzie, pomogą mi anioły.

– No zobaczymy jak one ci pomogą. Gdzież są twoje anioły, dlaczego ich nie widać – ryczał Legry, okładając Toma batami.

Nieszczęśliwy Murzyn upadł oblewając się krwią.

W tej chwili ręka Cassy spoczęła na ramieniu plantatora. Dotknięcie tej ręki wywołało wspomnienie snu.

– Po coś tu przyszła? – głuchym głosem zapytał Legry.

– Dlatego, że ty wariujesz i szkodzisz samemu sobie – odpowiedziała Cassy po francusku.

– Ja postaram się doprowadzić go przez kilka dni do stanu, żeby mógł pracować.

Legry zgrzytnął zębami.

– No dobrze, niech i tak będzie na razie – i zwracając się do Toma krzyknął – to jeszcze nie koniec, zobaczymy się jeszcze.

I odwróciwszy się szybko wyszedł.

– Jesteś dobrym, uczciwym i odważnym człowiekiem – odpowiedziała Cassy, i ja zrobię wszystko co będzie w mojej mocy, abyś się szybko wyleczył – mówiła Cassy krzątając się koło niego. – Poczekaj chwilę, przyniosę ci zaraz posiłek i maści na twoje rany.

– Dzięki ci, pani. Ale proszę cię bądź tak dobra i daj mi przede wszystkim Ewangelię, pragnę ją czytać.

Cassy dała mu książkę i poszła do domu by wrócić za chwilę i przynieść to wszystko co obiecała choremu.

ROZDZIAŁ XVIII

Wolność

Teraz zobaczymy, co się działo z Jerzym Harris i jego żoną, których zostawiliśmy na fermie kwakerskiej niedaleko Kanady. W tej samej fermie, gdzie jak sobie przypominamy, wracał do zdrowia Tom Loker. Babka Dorkas doglądała go z macierzyńską pieczołowitością. Była to wysoka siwa kwakierka o bardzo sympatycznej twarzy.

– Znudziło mi się leżeć, niech was wszystkich licho weźmie! – mruzczał Loker.

– U nas nie godzi się przeklinać, Tomie – odpowiedziała spokojnie babka Dorkas.

– Przepraszam, babko Dorkas. Lecz trudno mi się od tego odzwycząić.

– Trudno, mój przyjacielu. Być może, że i mnie trudno pielęgnować tak nieokiełznanego ducha.

– Właśnie podziwiam pani cierpliwość – przyznał szczerze rekonwalescent. Po chwili milczenia, dodał niepewnie: – czy uciekinierzy jeszcze się tu znajdują?

– Owszem.

– Niech im pani poradzi, aby czym prędzej przeprawili się przez jezioro.

– Doskonale.

– Niech ich pani uprzedzi, że w sąsiednim miasteczku znajdują się nasi wywiadowcy, którzy mogą ich złapać. Nie chciałbym, aby ich schwytano... bynajmniej nie przez wzgląd na nich, lecz aby ukarać tego psa Marksa. Powiedźcie im, że rysopis ich znany jest w Sandusky. Niech się jakoś przebiorą i ucharakteryzują.

– Dobrze, powiem im. Ale nie denerwuj się, mój drogi...

Jeszcze dwa tygodnie przeleżał Tom w domu kwaków i podniósł się jako zupełnie inny człowiek. Postanowił nawet przyłączyć się do gminy kwaków. Lecz nie wytrzymał długo i pewnego dnia uciekł do kolonii Anglików, gdzie został leśniczym. Wszakże zachował dla kwaków dożywotnią wdzięczność.

Ostrzeżenia Lokera przysłużyły się zbiegom. Tego samego dnia wieczorem ruszyli w dalszą drogę. Wszyscy byli ucharakteryzowani i przebrani. W Sandusky zatrzymali się na noc u znajomych kwaków. Nazajutrz wsiedli na statek, który miał ich przewieźć przez jezioro do krainy wolności; szczęśliwie uniknęli niebezpieczeństwa.

Godziny upływały prędko. Wreszcie ukazały się wybrzeża błogosławionej Kanady – kraju obiecanego wszystkim nieszczęśliwych, cierpiących w jarzmie haniebnego niewolnictwa.

Oto i przystań miasteczka Amgerstberg. Prowadząc pod rękę miss Schmit, która dla większego bezpieczeństwa dotrzymała zbiegom towarzystwa, Jerzy machinalnie zszedł na ląd. Wzruszenie przesłoniło mu oczy mgłą. Za nim szła Eliza w męskim przebraniu, prowadząc Harry'ego.

Pani Schmit zatrzymała powóz i rzuciła woźnicy adres znajomego misjonarza, gdzie zbiegowie mieli odpocząć przed udaniem się do jej kanadyjskiego majątku.

Skoro małżonkowie zostali sami w bezpiecznej przystani, padli sobie w objęcia, po czym, na klęczkach wnieśli do Boga modły dziękczynne.

ROZDZIAŁ XIX

Zwycięstwo

Bywają sytuacje, kiedy śmierć wydaje się upragnionym ratunkiem.

Słyszac groźby swego oprawcy i wierząc, że zbliża się ostatnia godzina, Tom poczuł przyływ siły i odwagi. Lecz skoro Legry odszedł, poczuł przejmujący ból w całym ciele i uświadomił sobie, że godzina jego jeszcze nie wybiła.

Cassy gorliwie pielęgnowała go i usiłowała natchnąć go męstwem. Ale Legry kazał mu wrócić do pracy, mimo że skatowany ledwo powłóczył nogami. Musiał więc harować w palących promieniach słońca, znosząc nieustannie ciosy, zniewagi i urągania bestialskich dozorców. Nic dziwnego, że cierpliwość jego zaczęła się wyczerpywać.

Nie miał czasu nawet na czytanie Ewangelii. Praca bowiem na plantacjach kończyła się dopiero wówczas, gdy zapadał mrok. Nawet w niedzielę nie było wytchnienia.

Nastąpił moment, kiedy rozpacz oładnęła duszą Toma i jęła podważać jego gorącą wiarę. Przestał wierzyć w pomoc Boską, ufając, że uratują go ludzie.

Wkrótce jednak dokonał się w jego duszy przełom. Pewnego wieczoru wyjął z kieszeni Biblię, w której były podkreślone miejsca, niegdyś wprawiające go w zachwyty. Czyżby słowa święte przestały nań oddziaływać? W każdym razie schował Biblię i westchnął głęboko. Nagle drgnął, słysząc nad sobą czyjs brutalny chichot. Przed nim stał Legry.

– Co stary? – zapytał – widać, żeś nareszcie zrozumiał, że twoje brednie na nic się nie zdadzą?

Szyderstwo podziało na Toma, jak ostrogi na zmęczonego wierzchowca. Poczuł w sobie dawną wytrwałość, wracającą wiarę i ekstazę.

– Bałwan z ciebie, idiota – kontynuował Legry – sam sobie życie popsuleś. Chciałem cię uczynić głównym pomocnikiem. Byłoby ci u mnie lepiej niż ma Sambo i Quimbo. Posłuchaj mojej rady: rzuć do ognia tę głupią książkę i rób to co ja – nie wierz w nic, szukaj tylko własnego zadowolenia.

– Niech mnie Bóg uchowa! – z uniesieniem zawołał Tom, podnosząc oczy do góry.

– Tfu! Idiotą jesteś czy co! – krzyknął Legry i pogardliwie plunął mu w twarz. – No, poczekaj, ja przełamie twój upór; prędzej czy później, a napędzę ci do głowy rozum!

Tom osunął się na dawne miejsce. Nowa zniewaga Legry tak go rozszłościła, że poczuł się zdolny do najbardziej desperackich czynów. Lecz po chwili wszystko co miał przed oczyma skłębilo się w ciemny chaos, na którego tle ukazała się głowa Zbawiciela w cierniowej koronie. I Tom usłyszał cudowny głos, brzmiący jak muzyka: „Ten, kto przewycięży cierpienie, zasiądzie ze Mną na tronie mej chwały.”

Kiedy nazajutrz skoro świt niewolnicy wyruszyli do swej ciężkiej pracy, jeden z nich maszerował pewnymi krokami zwycięzcy, z dumnie podniesioną głową. To był Tom, który przewyciężył cierpienie i szedł pewnie drogą wskazaną mu z niebiosów.

Odtąd w duszy Toma już na zawsze zapanował spokój, pogoda i szczęście. Teraz miał tylko jedno pragnienie: dostąpić łaski męczeństwa i śmiercią swą dowieść zwycięstwa dobrego nad złem.

Wszyscy zauważyli zmianę, która dokonała się w Tomie. Był po dawnemu żywy i pogodny, jak gdyby nic mu nie dolegało.

– Co się stało z Tomem? – ze zdziwieniem zapytał Legry swych zauszników.

– A lichy go wie! – odparł Sambo. – Pewnie zamierza dać drapaka...

– Niech tylko spróbuje! Jak zobaczysz coś podejrzanego, od razu szczuj brytany.

– Niech pan będzie spokojny, nie przeoczę! Urządzą takie polowanie, że w niebie będzie gorąco.

Wraz ze spokojem w duszy Toma zamieszkała litość dla towarzyszy niedoli. Pomagał im, gdy tylko nadarzała się sposobność. Przemawiał też do nich często, pouczając o Bożym miłosierdziu. Wkrótce ten spokojny cichy i cierpliwy dziwak, który zawsze był gotów spieszyc każdemu z pomocą, który zawsze stawał na uboczu, ostatnie miejsce zajmował w kolejce przed młynem lub piecem, który jadał tak mało, że dzielił się swą porcją z innymi, który w chłodne noce oddawał swą koldrę kobietom i dzieciom, który na polu napełniał kosze słabszych, który nigdy nie narzekał na wspólnego tyrana – znalazł ogromny podziw u niewolników.

Po skończeniu pracy zbierano się w około Toma i słuchano z uwagą Ewangelii, którą czytał i komentował łagodnym, nieco zmęczonym głosem. Często Legry biczem rozpętał słuchaczy, rzucając bluźniercze przekleństwa.

Zbawiennemu wpływowi Toma uległa również Cassy. Doprowadzona do rozpacz postanowiła zemścić się na swym ciemńcy. Którejś nocy, kiedy wszyscy już spali, przekradła się do lepianki, w której nocował Tom, obudziła go i wywołała na dwór.

– Chodź ze mną, wuju Tomie – rzekła Cassy, mocno ściskając go za rękę. – Chcesz być wolny?

– Chcę, pani. Kiedy zdobędę koronę męczeństwa, wówczas będę wolny – odparł uroczyście Tom.

– Nic jeszcze nie wiadomo, kiedy to się stanie... – odezwała się Cassy i z dziką energią dodała: – Zrobię coś takiego, że będziesz wolny przy życiu. Idź za mną, a uzyskasz wolność!

Tom ociągał się.

– Chodźże, powiadam ci! – upierała się – On śpi mocno... Wlałam mu do wina krople na sen. Drzwi w głębi nie są zamknięte... Tam leży topór... Pokażę ci drogę... Sama bym tego dokonała, lecz lękam się, że sił mi nie starczy...

– Nie namówisz mnie do zbrodni.

– To nie zbrodnia – zakatrupić taką bestię, lecz dobry uczynek dla tych setek nieszczęsnych istot. Ucieklibyśmy potem. Lepiej skonać na pustyni z głodu niż tu zginąć z rąk kata.

– Nie, miss Cassy. Przestępstwo nigdy nie jest usprawiedliwione. Nigdy w życiu nie pójdę na to.

– Dobrze. Więc sama to zrobię – odpowiedziała zdecydowanym głosem Cassy, odwracając się do wyjścia.

– O miss Cassy! – zawołał błagalnym tonem Tom. – Na imię Zbawiciela, który zginął za nas na krzyżu, zaklinam panią: niech pani nie gubi swej duszy, okupionej krwią Zbawiciela! Powinniśmy cierpliwie oczekiwać wyzwolenia.

– Cierpliwość moja skończyła się już! – odparła z goryczą Cassy. – Czuję, że muszę to zrobić, że jestem do tego powołana!

– Nie, nie! – kontynuował ze wzruszeniem Tom, ściskając kurczowo jej małe dłonie. – Módlmy się, aby Bóg pozwolił nam pokochać naszych wrogów!... O Boże! – dodał, podnosząc ręce ku górze. – Pomóż mi nawrócić tę biedną zbłąkaną duszę!

Namiętna wiara Toma i jego przenikliwy głos w końcu podziały. Przyrzekła Tomowi zapomnieć o swych zbrodniczych zamiarach.

– Miss Cassy – rzekł po krótkim namyśle Tom – jeśli jest jakaś możliwość ucieczki, to powinna pani zabrać ze sobą Emmelinę i ratować się ucieczką. Służę pani swoją pomocą.

– A ty, Tomie, nie uciekasz?

– Nie. Był czas, kiedy myślałem o tym. Ale Najwyższy obarczył mnie zadaniem, z którego muszę się wywiązać. Muszę skierować do Niego swych nieszczęsnych braci. Nie zejdem ze swego posterunku, póki Zbawiciel mnie nie odwoła.

– Masz słuszność, mój szlachetny przyjacielu. Lecz nie wiem, dokąd uciekać. Tylko mogła może nas ukryć. Nie możemy się schronić w trzęsawiskach, wytropią nas tam brytanami. O tak, widzę, że ucieczka jest niemożliwa...

– Kto wie? Pamięta pani, jak Najwyższy uratował Daniela. Zwróćcie się do Niego. On wam wskaże właściwą drogę i zaprowadzi do pewnej przystani.

Dotychczas Cassy obmyślała tysiączne plany, które po namyśle okazywały się niewykonalne. Tym razem nowa myśl strzeliła jej do głowy. Zdawała się łatwą do wykonania, to też do serca biednej kobiety znowu wstąpiła nadzieja.

– Spróbuję uciec, wuju Tomie – odpowiedziała lakonicznie, ściskając rękę Murzyna.

– Tak wam dopomóż Bóg! – rzekł Tom, spoglądając na nią z ojcowską miłością.

ROZDZIAŁ XX

Plan Cassy

„Droga ludzi złych pełna jest cieni, nie widzą oni przeszkód, o które potkną się ich nogi.”

Obszerna góra domu pana Legry była zavalona starymi niepotrzebnymi meblami poprzednich właścicieli, kurzem i pajęczyną. Murzyni – ludzie bardzo zabobonni wierzyli, że jest tam coś nie w porządku. Do rozpowszechniania takich pogłosek przyczyniała się jeszcze ta okoliczność, że gospodarz kiedyś zamknął tam jakąś niesforną Murzynkę, którą stamtąd przewieziono wprost na cmentarz. Od tej pory wszyscy zapewniali, że w nocy dochodzą stamtąd jęki i krzyki. Pogłoski te doszły do uszu Legry’ego, który wpadł w złość i zapowiedział, że jeśli jeszcze raz usłyszy coś podobnego to każdego z osobna zamknie na górze. Ta pogrożka poskutkowałą. Nie mówiono o tym więcej, ale legenda pozostała.

Otóż tę legendę postanowiła wykorzystać Cassy, aby uratować siebie i Emmelinę.

Pokój Cassy znajdował się tuż pod górą. Następnego dnia po nocnej naradzie, z Tomem, Cassy poleciła przenieść swoje rzeczy do pokoju położonego o piętro niżej. Dowiedziawszy się o tym, Legry zapytał swą niewolnicę:

– Cóż to ma znaczyć, Cassy?

– To znaczy, że ja chcę mieszkać w innym pokoju – odpowiedziała młoda kobieta.

– Do diabła! Ale ta zachcianka nie jest bez powodu. Nie zwiędnie ci chyba język, jeśli powiesz, dlaczego zmieniłaś pokój. Poprzedni nie był wcale taki zły...

– A więc wiedz dlaczego zmieniłam. W pokoju tym nie śpię po całych nocach. Diabły tam wodzą swój stan... rozumiesz? – powiedziała Cassy i tak popatrzyła na Legry’ego, że ciarki po nim przeszły. – Jeśli nie wierzysz – ciągnęła młoda kobieta – to radzę ci przenocować w tym pokoju. To pewnie są dusze zamordowanych tam ludzi...

Plantator zgrzytnął zębami i rzucił się z zaciśniętymi pięściami na Cassy, ale zdążyła mu się wymknąć i uciekła śmiejąc się i grożąc, że powiesi się na górze.

Legry zamyślił się. Cassy miała na tego człowieka dziwny wpływ. Legry bał się jej i często okazywał jej uległość.

Cassy przymocowała do ścian kilka szyjek od butelek w ten sposób, że najmniejszy powiew wiatru wydobywał dźwięki podobne do jęków, wycia i żalonych krzyków. Po tym umyślnie w nocy sprowadzała ludzi, którzy słysząc to tracili wprost przytomność ze strachu. Rozumie się samo przez się, że legenda o strychu znowu ożyła na plantacji mimo pogroźek gospodarza.

Znając wszystkie swoje przestępstwa Legry uwierzył Cassy i nie protestował przeciwko jej przeprowadzce.

Wieczorem tegoż samego dnia kiedy młoda kobieta przenosiła swe rzeczy, Legry siedział na swoim ulubionym miejscu w saloniku przed kominkiem. Pogoda była straszna; rozszalała się burza i po całym domu rozlegały się owe dźwięki które można zawsze słyszeć podczas burz w starych, rozpadających się domach.

Legry sprawdzał swoje rachunki, a Cassy, którą przywołał do towarzystwa, siedziała nieruchomo utkwivszy wzrok w płomieniach kominka.

Po pewnym czasie Legry odłożył rachunki i otworzył leżącą przed nim książkę, którą Cassy czytała poprzednio. Był to zbiór opowiadań o umarłych, o snach, zjawach itp.

– Czy ty naprawdę wierzysz w to wszystko Cassy? – zapytał Legry.

– Nie chcąc nawet, trzeba wierzyć – odpowiedziała młoda kobieta.

– Naczytałaś się tych głupich opowiadań i coś ci się wydaje... Ja mógłbym przeczytać o wiele więcej i nie bałbym się niczego.

Cassy spojrzała na niego tym swoim wzrokiem, który go przejmował strachem: wyrażał on jednocześnie pogardę i pogroźkę i jeszcze coś czego on nie umiał sobie wytłumaczyć.

– Cóż tak patrzysz na mnie? – krzyknął, poruszając się – czy możesz dowieść mi, że to nie są szczury i wiatr?

– A czy szczury schodząc ze schodów mogą tupać nogami jak ludzie i otwierać drzwi, które ty zamknęłaś na klucz? – powoli cedząc słowa przez zęby, zapytała Cassy. – Czy mogą one przejmować ruchy ludzi, podchodzić do ciebie, wznosić nad tobą ręce? O tak, jak ja to robię w tej chwili?

Powoli wstała podniosła ręce z jakimś złowrogim wyrazem twarzy i zniemacka opuściła je na plecy Legry'ego. Legry z przerażenia skoczył, miotając przekleństwa.

– Przestań błaznować! – krzyczał ponuro wycierając zimny pot z czoła. – Któż to według ciebie tam spaceruje? Chyba nie sądzisz, że trupy?

– A skąd ja mam wiedzieć! O tym ty powinieneś wiedzieć. Przecież jesteś gospodarzem – wzgardliwie powiedziała Cassy.

– Ale tyś to pewnie widziała wszystko?... – No powiedz, Cassy.

– Cóż mam mówić? Posiedź tam trochę w tym pokoju to zobaczysz. Mnie przecież ty i tak nie wierzysz.

– I... to idzie z góry?

– Co to znaczy „to”?

– No to o czym ty mówiłaś!

– Przecież ja o wielu rzeczach mówiłam! Legry podniósł się i jał przemierzać pokój, mrużąc coś pod nosem. W końcu stanął przed Cassy i rzekł:

– Ja muszę poznać całą prawdę, wezmę rewolwer i pójdę.

– Idź. Możliwe, że oni zlekną się twoich rewolwerów – powiedziała młoda kobieta, uśmiechnąwszy się dziwnie.

Legry wściekle tupnął nogą.

– Diabli by cię wzięli z twoimi urojeniami! – zaryczał niesamowicie.

– Przestań gadać!... Słuchaj! – szepnęła kobieta wskazując na stojący w kącie stary zegar, który w tej chwili zaczął wydzwaniać godzinę.

Legry mimo woli naliczył dwanaście uderzeń.

– Północ! – wieloznacznym szeptem kontynuowała młoda kobieta, wstając i podchodząc do drzwi, za którymi widać było schody prowadzące na górne piętro. – Słyszysz? – dodała chwytając go za rękę i ciągnąc za sobą na korytarz.

Z góry dochodziły głuche łkania i jęki. Kolana Legry'ego drżały kurczowo, wpił się w rękę swojej towarzyszki.

– Weź swoje rewolwery i idź tam... Dlaczego się nie ruszasz – z ironią powiedziała Cassy.

– Nie, ja tam nie pójdę – osłabionym głosem odpowiedział Legry, zawracając szybko do saloniku.

– Dlaczegoż to? Przecież ty nie wierzysz w duchy. Nie mój drogi – mówiła Cassy, trzymając jego rękę jak w żelaznych kleszczach – teraz już ja cię zmuszę, abys poszedł to obejrzeć żeby ci dowieść, że nie kłamałam.

I z wysiłkiem pociągnęła do korytarza opierającego się i drżącego ze strachu Legry'ego.

– Puść mnie!... Puść przeklęta wiedźmo! – krzyczał Legry, usiłując wyrwać się z silnych rąk Cassy.

Wreszcie natężywszy wszystkie siły zdołał wyrwać się i skryć w saloniku. Cassy, śmiejąc się podążyła za nim.

– No i cóż, przekonałeś się? – zapytała patrząc na jego bladą z przerażenia twarz.

– Żeby cię diabli wzięli! – mruknął odwracając się od niej.

Potem podszedł do kredensu, wyjął butelkę wódki i wypił chyłkiem taką porcję, że od razu zaproszył sobie głowę. Wypiwszy do dna, kazał się odprowadzić do sypialni, skoro zaś zasnął twardym snem, Cassy wymknęła się z triumfującym uśmiechem.

Przy pomocy oddanego Murzyna udało jej się doprowadzić sprawę do tego stanu, że Legry zaczął nocować poza domem u swego sąsiada.

Wszystko to Cassy robiła w tym celu, aby przyspieszyć i ułatwić ucieczkę.

Wkrótce wszystko było gotowe do drogi i pewnego wieczoru gdy Legry wyjechał na noc, Cassy upewniwszy się, że na dworze nikogo nie ma, wbiegła do pokoju, gdzie Emmelina pakowała niezbędne rzeczy.

– Włóż kapelusz i idziemy – powiedziała młoda kobieta.

– Czy nie za wcześnie? – zapytała Emmelina.

– Nie – odpowiedziała Cassy – najodpowiedniejsza pora.

– Ale mogą nas zauważyć.

– Na tym właśnie mi zależy.

– Dlaczego? – ze zdziwieniem zapytała Emmelina.

– Bardzo proste – z uśmiechem odrzekła Cassy. – Teraz uciekniemy tylko dla pozorów, właśnie po to, aby nas zauważyli Sambo i Quimbo. Podczas gdy będą oni czynili przygotowania do pościgu, my przepłyniemy jezioro do polany, która ciągnie się aż do tylnego wejścia naszego domu. Na wodzie nie pozostają ślady. Szukać nas będą w trzcinie, a my tymczasem spokojnie wrócimy do domu wprost na górę, gdzie schowałam w dwóch kufrach pościel i żywność na cały tydzień. Legry, aby odszukać nas, urządzi prawdziwe polowanie, lecz spełźnie to na niczym. My zaś przez jakiś czas będziemy mieszkały na górze i, jak tylko zajdzie potrzeba, będziemy wszystkich straszyć różnymi sztuczkami. W końcu zapomną o nas, a wtedy już ostatecznie uciekniemy.

Obie kobiety przez nikogo nie zauważone, wyszły z domu, przeszły przez podwórze i skierowały się ku jezioru. Ale na wprost nich ukazał się sam Legry, który postanowił nagle przespać się pomimo strachu w domu.

– Cassy, ależ to on! – z przerażeniem krzyknęła Emmelina.

– Tym lepiej. Biegnij! – rzekła Cassy, biegnąc co sił starczyło i ciągnąc za sobą dziewczynę.

Zauważywszy uciekinierki Legry krzyżąc wściekle jął nawoływać Murzynów.

Emmelina bliska omdlenia chciała się zatrzymać, ale Cassy wyciągnawszy zza pasa sztylet zagroziła jej śmiercią. Pogróżka poskutkowała, Emmelina nie zemdląła i mężnie podążyła za Cassy. Po chwili znalazły się w trzcinie.

– Doskonale! – zawołał ze śmiechem Legry – same weszły w zasadzkę! Hej, Sambo, Quimbo. W trzęsawisku są dwie uciekinierki. Pięć dolarów daję za schwytanie! Spuścić wszystkie psy z łańcuchów.

Wkrótce zbiegła się zgraja Murzynów, zwabiona przyrzeczoną nagrodą.

– Czy można strzelać, jeśli nie uda się schwycić żywcem? – zapytał Sambo.

– Cassy możecie zastrzelić. Nawet będę wam za to wdzięczny. Lecz Emmelina jeszcze mi jest potrzebna.

Sambo pobiegł do domu po broń. Zaraz po tym tłum prześladowców z pochodniami w rękach, wyprzedzony szczerzącymi brytanami ruszył ku trzęsawisku.

Tymczasem uciekinierki dotarły do jeziora, przepawiły się na drugi brzeg i tylnym wejściem wróciły do domu, gdzie w tej chwili nie było żywej duszy.

– No, polowanie zaczęło się! – szepnęła Cassy, stojąc przy oknie w bawialni.

Naraz zauważyła pęk kluczy, pozostawiony przez plantatora na stole. Nie namyślając się długo, wzięła go, otworzyła kasę i wyjęła z niej paczkę banknotów na drogę.

Niedługo potem obie kobiety weszły na strych. Cassy zapaliła świecę i pokazała Emmelinie dwa posłania, skrzynkę z żywnością i wiele przedmiotów domowego użytku. Nie zapomniła nawet zaopatrzyć się w książki i robótki ręczne...

Była druga w nocy, kiedy straszliwa wrzawa obudziła obie uciekinierki. Emmelina zerwała się przerażona na równe nogi.

– Uspokój się! – pocieszyła ją Cassy – To wracają nasi prześladowcy. Powtarzam ci: nie lękaj się. Tym razem Legry trudzi się nadaremnie.

ROZDZIAŁ XXI

Męczeństwo

Legry wylał swą wściekłość na Toma, który był najstosowniejszym kozłem ofiarnym, tym bardziej, że Murzyn na wieść o ucieczce niewolnic, uśmiechnął się radośnie.

– Poczekaj, ty czarna bestio – mruknął, potrząsając pięściami.

Wszelako Tom był najdzielniejszym i najpewniejszym robotnikiem – Legry chcąc nie chcąc musiał go oszczędzać.

Tymczasem zwołał swych sąsiadów z psami, aby urządzić nagonkę na zbiegów...

– No, wesołe będzie polowanie! – mówiła Cassy, patrząc na podwórze przez szczelinę.

Rzeczywiście na murawie przed domem harcowało kilku jeźdźców. Wszyscy przyprowadzili ze sobą partie niewolników i sfory psów. Mimo swego skąpstwa Legry częstował ich trunkami i zakąskami.

Nagonka trwała bardzo długo, oczywiście bez skutku. Cassy złośliwie przyglądała się, jak Legry, zablocony i zmęczony zsiadał z konia i ucieszyła się na widok rozczarowanych min Quimbo i Sambo.

Legry wszedł do bawialni i polecił zausznikom:

– Przyprowadźcie do mnie Toma. Jestem pewny, że ten szubrawiec wie, gdzie się one ukryły.

Sambo i Quimbo nienawidzili się wzajemnie, ale przede wszystkim czuli silną nienawiść do Toma. To też z gorliwością niezwykłą pobiegli po Toma, wiedząc z góry, że nie obejdzie się bez cięgów.

Tom zaś od razu wyczuł, że zbliża się jego ostatnia godzina. Zawołał więc w zachwycie:

– Panie, w ręce Twoje oddaję swoją duszę!...

– A, nareszcie jesteś! – przyjął go Legry wściekłym rykiem. – Zakatuję cię, jak parszywego psa!... Wiedz, że cię zabiję!

– Jak pan sobie życzy – spokojnie odpowiedział Tom, zaglądając śmiało w nalane krwią oczy swego kata.

– Wiem bez ciebie, bydlę!... Powtarzam, że zabiję cię bez litości, jeśli nie powiesz mi, gdzie są uciekinierki.

Tom milczał.

– Słyszałeś czy nie?! – ryczał plantator, uderzając go pięścią po twarzy.

– Panie – odezwał się łagodnie Tom. – Z radością oddałbym na rozdarcie swe ciało, gdybym mógł uratować pańską duszę. I oto chce mnie pan zabić, ponieważ nie chcę popełnić złego uczynku. Przeto błagam pana, abyś nie gubił swej duszy zbrodnią!

Nastąpiło milczenie. Legry milczał, patrząc na Toma zgaszonym spojrzeniem, wyrażającym, przesadną zgrozę i głębokie zdumienie. W pokoju zaległa taka cisza, że można było słyszeć miarowe tykanie starego zegara.

Lecz czas prędko upływał.

Wydając głuchy krzyk, plantator rzucił się na swą ofiarę i jednym silnym ciosem przewrócił ją na ziemię...

Tej długiej i ciemnej nocy nieszczęsny niewolnik, który tak mężnie znosił wszystkie męki w imię swych przekonań, nie był samotny. Przy nim był ktoś zesłany na pomoc, ktoś, czyja obecność przejmowała go dreszczem błogości.

Był to anioł światłości, który wspierał nieszczęsnego męczennika do ostatniej chwili. I póki Tom mógł mówić, wymawiał słowa przebaczenia, wiary, nadziei i miłości.

Zdumiony jego nadziemską cierpliwością Sambo rzekł:

– Wkrótce zdechnie, panie, nie warto się z nim guzdrać.

– Cóż ty rąk swych żałujesz? – zawołał Legry, błyszcząc oczyma. – Bij go, póki nie zdechnie!

Tom z trudem otworzył oczy, zalane krwią i uważnie spojrzał na Legry'ego.

– Biedny nieszczęsny człowieku – rzekł. – Władza twoja nade mną skończyła się... Nie możesz mi już nic złego wyrządzić... Przebaczam ci.

Zamknął powieki, po czym głowa jego opadła. Stracił przytomność.

– Czy skonał? – zapytał Legry, nachylając się nad ofiarą. – Zdaje się, że to koniec... Teraz już nie będzie szwargotał. Dogadał się!

Lecz Tom jeszcze nie umarł. Jego męstwo i cierpliwość wywarły głębokie wrażenie na Murzynach. Zauważyli, że jeszcze żyje, lecz ukryli to przed panem. Skoro odszedł, ostrożnie ułożyli swego towarzysza na posłaniu i zaczęli go pielęgnować, jak gdyby życie posiadało dlań jakąś wartość.

Quimbo pobiegł do gospodarza, wyprosił szklanekę wódki, rzekomo dla siebie i wlał ją do gardła Tomowi, który wnet zaczął wracać do przytomności.

– O Tomie, jakżeśmy się źle z tobą obeszli! – mówił klęcząc i podtrzymując jego głowę.

– Przebaczam wam z całej duszy – odpowiedział słabym głosem Tom.

– Tomie, kim jest ten Chrystus, którego stale wzywałeś? – zapytał Sambo, który również klęczał.

Naiwne pytanie ożywiło Toma. Oczy jego rozbłysły ogniem wiary i miłości, głos jego okrzepł i zachwyconymi słowami jał wielbić Boga.

Sambo i Quimbo płakali gorzko, słuchając konającego.

– Biedni bracia moi – szepnął Tom – z radością zniósłbym gorsze męczarnie, gdybym was mógł nawrócić. Boże mój, błagam cię, oświeć łaską swej nauki te dwie zabłąkane duszyczki!

Ostatnia modlitwa Toma została wysłuchana. Sambo i Quimbo zmienili się gruntownie i niebawem stali się szczerymi chrześcijanami.

ROZDZIAŁ XXII

Śmierć Toma

W dwa dni potem przed gankiem domu plantatora zatrzymał się elegancki powóz, z którego wyskoczył młody przystojny pasażer.

Był to Jerzy Shelby. Trzeba wiedzieć, że list miss Ofelii utknął gdzieś po drodze na dwa miesiące i przybył do celu dopiero wówczas, gdy Tom znajdował się na plantacji nad rzeką Czerwoną. Niestety w tym czasie pan Shelby chorował ciężko. Wkrótce potem umarł. Żona i syn uporządkowali powikłane sprawy majątkowe. Sprzedali fermę i urządzili się na nowym gospodarstwie. Dopiero wówczas mogli pomyśleć o wykupieniu Toma. W tym też celu pani Shelby wyprawiła Jerzego w podróż.

Po długich a płonnych poszukiwaniach, natknął się przypadkowo na pewnego staruszka, który znał osobiście Legry'ego i Toma. Poinformowany wsiadł natychmiast na statek, kursujący po rzece Czerwonej.

Lecz w domu Legry'ego czekała go smutna nowina. Pobiegł do spichrza, gdzie leżał Tom. Biedny niewolnik żył jeszcze, ale nie czuł już żadnych cierpień. Ledwo dyszał, a jednak dusza jego była tak silna, że walczyła ze śmiercią; wieczorami, gdy zbierali się w około niego po kryjomu skruszeni niewolnicy, starał się jeszcze ich krzepić słowami otuchy.

Jerzy na widok skatowanego ciała swego wychowawcy, omal nie stracił przytomności.

– O Panie! – zawołał. – Jak mogłeś do tego dopuścić?! Wuju Tomie, drogi stary przyjacielu, czy poznajesz mnie?

Tom z ledwością podniósł powieki i cicho wyszeptał:

– Niewypowiedziane miłosierdzie Pana naszego dało mi na łożu cierpień najwyższe pocieszenie.

– O, Tomie... drogi Tomie... spójrz na mnie... powiedz mi jeszcze kilka słów! Czy poznajesz mnie Tomie?... Jestem twoim Jerzym... którego... tak kochałeś?

– Tak... master... Jerzy – z wysiłkiem wykrztusił Tom wyteżywszy siły, złożył dłonie i dodał: – Chwała Ci, Panie!... Myślałem, że zapomniano o mnie... a ty... pozwoliłeś mi... przekonać się... że mnie pamiętają... O, jakież to dla mnie szczęście... – mówił ożywiając się – że ujrzałem pana, master Jerzy! Teraz umrę spokojnie...

– Nie drogi Tomie, nie umrzesz – zawołał Jerzy, okrywając go pocałunkami. – Uratuję cię... przyjechałem po ciebie, aby cię zabrać do domu... zawołam lekarzy, wyleczę cię i wszystko będzie po dawnemu...

– Nie, master Jerzy, spóźnił się pan. Najwyższy wezwał mnie. Tam będzie mi lepiej, niż gdziekolwiek będzie na ziemi...

– Ach, Tomie, nie mów tak! To mnie zabija! O biedny mój przyjacielu!

– Nie nazywaj mnie biednym, master! Przedtem byłem biedny, ale teraz skończyło się moje cierpienie... Przedem mną wrota niebios stoją otworem... Zwyciężyłem... Pan pomógł mi zwyciężyć... Niech się święci imię Jego na wieki wieków!... Nie opowiadaj panie biednej Chloe, w jakim mnie stanie znalazłeś. To będzie zbyt bolesny cios dla niej... Miłe dzieciaki moje... moja droga dziewczynka... Powiedz im, żeby brali ze mnie przykład... Powiedz panu, dobrej mej pani i wszystkim domownikom... że kochałem ich bardzo... i że teraz kocham... kocham wszystkich ludzi... Nic nie ma dobrego poza miłością... O master Jerzy... Jakże to szczęście być chrześcijaninem...

Wysiłek zmęczył go bardzo. Czarna jego twarz przybrała wyraz nieziemskiego spokoju i powagi uroczystej.

– Kto może... odebrać... nam... miłość Chrystusa? – wyszeptały jego zsiniałe usta.

Jeszcze jedno westchnienie i Tom wyzionął ducha.

Jerzy Shelby długo spoglądał na zwłoki męczennika w pobożnym milczeniu... Wreszcie, słysząc za sobą szmer, odwrócił się. Za nim stał Legry. Majestat śmierci poskromił nawet dziką naturę tego okrutnika.

– Wycisnął pan z niego wszystko co było możliwe – rzekł Jerzy, wskazując na zwłoki Toma. – Martwe ciało nie jest panu potrzebne. Niech mi pan je sprzeda... Pragnę je sam pogrzebać.

– Nie handluję padliną – warknął Legry. – Może pan wziąć je za darmo i pochować gdzie chce.

W pewnej odległości od plantacji wznosił się wysoki pagórek. Tu właśnie Jerzy przy pomocy Murzynów z plantacji wykopał mogiłę i tu złożono zwłoki starannie zawinięte w płaszcz.

– Panie! – zawołał Jerzy, padając na kolana przed świeżą mogiłą starego przyjaciela. – Przysięgam ci, że będę czynił wszystko, co jest w mej mocy, aby zmyć z mej ojczyzny hańbę niewolnictwa.

ROZDZIAŁ XXIII

Duchy

Coraz częściej rozpowiadano na plantacji Legry'ego, że w domu gospodarza „straszą” duchy. Przeróżne opowiadania, „naocznych” świadków napędzaly trwogi Murzynom, a nawet samemu plantatorowi.

W dniu pogrzebu Toma, Legry czując jakiś niepokój, pojechał do sąsiadów i upił się do upadłego. Osmielony pod wpływem winnych oparów, wrócił późną nocą do domu, przeświadczony, że tym razem nie ulęknie się żadnych diabłów i duchów. Ledwo zdążył wejść do domu, ogarnęło go straszliwe przerażenie. Bezprzytomnie wbiegł do swego pokoju, zamknął drzwi za sobą na klucz i schował go pod poduszką. Następnie umieścił parę nabitych pistoletów na stoliku nocnym i położył się w ubraniu na łóżku. Wkrótce zmorzył go sen. Śniły mu się jakieś jęki, krzyki i dziwne koszmarnie oblicza. Ocknął się i ujrzał krzątającą się w pokoju zjawę w długim prześcieradle. Chciał krzyknąć, skoczyć – na próżno, był jak gdyby sparaliżowany. Zjawa podeszła do stołu i zgasiła lampę. Następnie przysunęła się doń, dotknęła jego czoła zimną jak lód ręką i głuchym głosem trzykrotnie wymówiła jedno słowo:

– Pójdź! Pójdź! Pójdź!

Przy świetle księżyca ujrzał, jak mara momentalnie znikła, jak gdyby rozplywając się w powietrzu.

Na koniec zdołał się poruszyć. Skoczył na równe nogi i rzucił się ku drzwiom. Niestety, były zamknięte. Wydając straszliwy krzyk, Legry osunął się na podłogę i zemdłał.

Nawet jego potężna natura nie wytrzymała, skutków ciągłego pijaństwa i zbyt okrutnych przeżyć. Odtąd gorączka nie opuszczała go. Majaczył, miotał się niespokojnie, trapiiony straszliwymi zmorami. Ponieważ szła jego stał się niebezpiecznym, więc trzeba go było związać. Niebawem, nie odzyskawszy przytomności, umarł...

Tymczasem nazajutrz po pogrzebie Toma, dwaj Murzyni widzieli jak z domu pańskiego wyszły dwie białe postacie i z błyskawiczną szybkością znikły w trzęsawisku.

Zjawami były oczywiście Cassy i Emmelina, które zdecydowały się wreszcie skorzystać ze sprzyjających warunków i uciec. Skoro dotarły do lasu, zdjęły z siebie prześcieradła, które siały taki postrach na plantacji. Cassy nosiła czarną suknię. Gęsta droga woalka zakrywała jej twarz. Dzięki swej powierzchowności, stosownemu strojowi, znajomości języka

hiszpańskiego i pięknym manierom mogła uchodzić za znakomitą kreolkę. Emmelina miała grać rolę jej służącej.

W hotelu, w którym zamieszkały po przybyciu do miasta, zetknęły się z Jerzym Shelby. Cassy domyślała się, kim jest, słyszała bowiem wiele o nim od Toma i obserwowała go ze swego ukrycia. Toteż na statku, na który wsiedli, zwierzyła mu się ze wszystkiego i prosiła o pomoc. Jerzy przyrzekł doprowadzić je do celu podróży.

Obok Cassy zajmowała kajutę jakaś dama, Francuzka, nazwiskiem Tou, z dwunastoletnią córką. Dowiedziawszy się, że Jerzy pochodzi z Kentucky, nawiązała z nim rozmowę o jego ojczystym kraju.

Cassy słyszała wszystko, co się w sąsiedniej kajucie mówiło. Pewnego razu słyszała, jak pani Tou powiedziała Jerzemu, że swego czasu mieszkała w pobliżu majątku jego rodziców.

– A czy zna pan farmera Harrisa? – zapytała go.

– Znam go – odpowiedział Jerzy. – Mieszka niedaleko nas.

– Nie wie pan, czy ma jeszcze młodego niewolnika, imieniem Jerzy.

– Nie. Jerzy, którego dobrze znałem, ponieważ był mężem służącej mojej matki, uciekł do Kanady...

– Uciekł? – zawołała pani Tou, składając ręce. – Dzięki Bogu! O, jaka jestem szczęśliwa... Niech się pan nie dziwi: Jerzy jest moim bratem... Jest pan zdumiony? O, to bardzo proste, Jerzy był jeszcze dzieckiem, kiedy sprzedano mnie jakiemuś plantatorowi z Południa. Był to niezwykle szlachetny człowiek. Zawiózł mnie do Zachodnich Indii, wyzwolił mnie tam i ożenił się ze mną. Umarł niedawno, więc wracam do Kentucky poszukać swego brata.

– Słyszałem, jak mówił o siostrze Emilii, którą sprzedano na Południe – zauważył Jerzy.

– To właśnie ja jestem. Niech mi pan powie, co pan wie o losie mego brata.

– Jest to wspaniały człowiek, bardzo przystojny i zdolny. Lecz pan jego prześladował go bardzo.

– A żona jego?

– Młoda, piękna, mądra i zdolna. Moja matka wychowała ją jako własną córkę. Mój ojciec kupił ją, kiedy miała dziesięć lat, w Nowym Orleanie.

Cassy ze skupioną uwagą przysłuchiwała się tej rozmowie. Skoro Jerzy wyszedł na korytarz, dobiegła doń i zagadnęła:

– Czy nie wie pan, u kogo ojciec pański kupił dziewczynkę, o której pan opowiadał.

– Zdaje się, że był to niejaki Simon.

– Wielki Boże! – zawołała Cassy i upadła nieprzytomna na ziemię.

Okazało się bowiem, że Eliza jest córką Cassy.

ROZDZIAŁ XXIV

Starzy przyjaciele

Pani Tou zaprzyjaźniła się z Cassy. Razem pojechały do Kanady i zaczęły szukać Jerzego Harrisa i jego żony. Wkrótce wpadły na ślad misjonarza i dowiedział się od niego, że Harris'owie znajdują się w Montrealu.

Istotnie, Jerzy Harris z rodziną od pięciu lat mieszkał w Montrealu i pracował w zakładzie mechanicznym.

Mieszkał w małym, bardzo schludnym i ładnym domku. Oprócz syna mieli jeszcze czteroletnią córeczkę.

Jerzy w wolnych chwilach czytał wiele i studiował ulubioną mechanikę.

Można sobie wyobrazić radość, jaka zapanowała w tym domu, kiedy przyjechała matka Elizy, Cassy i siostra Jerzego, pani Tou. Oczywiście Cassy została już u swoich dzieci, pani Tou zaś była u nich kilka tygodni w gościnie. Cassy w krótkim czasie stała się głęboko wierzącą i praktykującą chrześcijanką.

Ulegając prośbom pani Tou, wszyscy razem, nie wyłączając oczywiście Emmeliny, pojechali do Francji, gdzie pani Tou posiadała majątek ziemski. Podczas przejazdu przez ocean Emmelina tak się spodobała pomocnikowi kapitana, że od razu oświadczył się o jej rękę. Był młody i przystojny, więc niebawem pozyskał jej serce.

Jerzy wstąpił we Francji do instytutu technicznego i skończył go po czterech latach z doskonałym świadectwem. We Francji zaczęły się rozruchy, więc rodzina Harris wróciła do Ameryki.

O zamiarach jego na przyszłość niechaj opowie wam zakończenie listu, napisanego przezeń do jednego z kolegów z instytutu;

„Jeszcze nie zdecydowałem się na określony wybór. Oczywiście mógłbym stosować się do Twojej rady i przypisać się tu do białych, od których się nie różnię powierzchownością. Ale nie czuję do tego żadnej ochoty.

Wszystkie moje sympatie pozyskała czarna rasa.

Wyznam Ci szczerze: najgorętsze moje życzenie to – odrodzenie afrykańskiej nacji. Chcę być członkiem tylko wolnego i niezależnego narodu.

Więc dokąd się zwrócić, aby znaleźć właściwą ojczyznę? Rozumie się tylko do Afryki. Istotnie na wybrzeżach tego kontynentu widzę młodą republikę, Liberię, utworzoną przez energicznych i wybitnych ludzi, którzy złamali jarzmo niewoli. Tam pójdę i tam znajdę dla siebie teren do pracy.

Kiedy będę na miejscu, napiszę do Ciebie. Tymczasem żegnaj.

Twój Jerzy Harris.

Wkrótce potem Jerzy z rodziną i z siostrą wyjechał do Afryki, gdzie rozpoczął ożywioną działalność społeczną.

Nie trzeba też zapominać o miss Ofelii i o Topsy. Wielkoduszna stara panna zawiozła ze sobą swą młodą niewolnicę do Vermontu. Topsy tak się nawróciła, że mając lat szesnaście przyjęła chrzest, wstąpiła do gminy misjonarskiej. Wkrótce potem wyróżniła się i została wysłana jako misjonarka do Afryki.

Dodajmy jeszcze, że Cassy po długich poszukiwaniach znalazła wreszcie swego syna. Ten młody i energiczny człowiek uciekł kilka lat przed wyzwoleniem Cassy na Północ, gdzie przyjaciele ludzkości przyjęli go gościnnie, dali mu wykształcenie i umieścili na dobrej posiadzie.

ROZDZIAŁ XXV

Jerzy Shelby

W domu Shelby oczekiwano Jerzego z wielkim zniecierpliwieniem. Pani Shelby siedziała w bawialni, kiedy na progu stanęła ciotka Chloe. Jej okrągła czarna twarz błyszczała radosnym oczekiwaniem.

– Czy nasz panicz nie napisał nic o moim staruszkę? – zapytała ciotka Chloe.

– Nie. Prawdopodobnie chce nam sprawić niespodziankę.

– Kiedy mój stary wróci, nie pozna swych dzieci – kontynuowała ciotka Chloe. – Chłopcy są już wyżsi ode mnie, a dziewczynka jest niezmiernie tęga... Boże wielki, czyż nie zaturkotały koła?

– Tak jest, jada! – I mrs. Shelby wybiegła na ganek. Póki matka i syn obejmowali się czule, ciotka Chloe rozglądała się w okóło w milczeniu. Słowa uwięzły jej w gardle.

– Biedna ciotko Chloe – odezwał się wreszcie Jerzy. – Gotów byłem oddać wszystko, co posiadałem, aby sprowadzić wuja Toma, lecz... nie mogłem już nic zrobić... Pan nasz zabrał go do siebie...

Mrs. Shelby krzyknęła, lecz ciotka Chloe zachowała milczenie.

Mrs. Shelby wprowadziła ją do bawialni – i usadziła na kanapie obok siebie.

Ciotka Chloe opuściła siwiejącą głowę na ramieniu swej pani i głośno zaszlochała. Przez kilka chwil słyszało się w bawialni jedynie westchnienie i łkanie.

W końcu Jerzy opanował się. Przysiadł się do biednej wdowy, ujął jej dłoń i w prostych słowach zdał sprawę z ostatnich chwil Toma.

– Żył jak święty i jako święty umarł – ocierając mokre oczy rzekła ciotka Chloe.

W trzy tygodnie po powrocie Jerzy Shelby zebrał wszystkich swych niewolników. Ku ich najwyższemu zdumieniu, Jerzy podszedł do nich ze stosem dokumentów. Były to akta wyzwolenia niewolników.

Lecz Murzyni płakali i wzbraniali się przyjąć wolność z rąk swego pana.

– Na co nam wolność? – mówili niektórzy. – Czy źle jest nam u pana? Nigdzie nie będzie nam tak dobrze.

Jerzy z ledwością uspokoił ich i rzekł:

– Moi przyjaciele! Nie zamierzam was wypędzić, jak zdaje się myślicie. Możecie zostać, jeśli chcecie, ale od dnia dzisiejszego jesteście ludźmi wolnymi i za swą pracę będziecie pobierać zapłatę. W razie mojej śmierci, nie będziecie już pod groźbą, że możecie wpaść w złe ręce. Mam nadzieję, że nie będziecie nadużywać wolności i zostanieie nadal uczciwymi i pilnymi pracownikami. Dziękujcie Bogu przyjaciele, że darował wam wielki dar wolności.

Wszyscy osunęli się na kolana i zaintonowali hymn dziękczynny.

– Jeszcze jedno słowo – odezwał się następnie Jerzy. – Czy pamiętacie wuja Toma?

– Jakże moglibyśmy zapomnieć naszego dobrego nauczyciela? Słyszeliśmy, że nieborak umarł.

– Tak, umarł – odparł smutnym głosem Jerzy i opowiedział im, w jakim stanie znalazł Toma i co mu biedny męczennik powiedział. – Nad jego grobem, przyjaciele – zakończył – złożyłem przyrzeczenie, że nigdy nie będę miał u siebie niewolników i że wszystkich was wyzwolę. Nie zapominajcie, że zawdzięczacie swą wolność właśnie nieboszczykowi Tomowi. Pamiętajcie o tym zawsze gdy zobaczycie jego chatkę lub kogoś z jego osieroconej rodziny. Niechaj chata wuja Toma będzie dla was pomnikiem tego pięknego człowieka, pomnikiem, który zawsze będzie wam przypominał go i budził w was pragnienie pójścia w jego ślady. Obyście byli równie pobożnymi, uczciwymi i dobrymi chrześcijanami, jakim on był do grobowej deski.

KONIEC